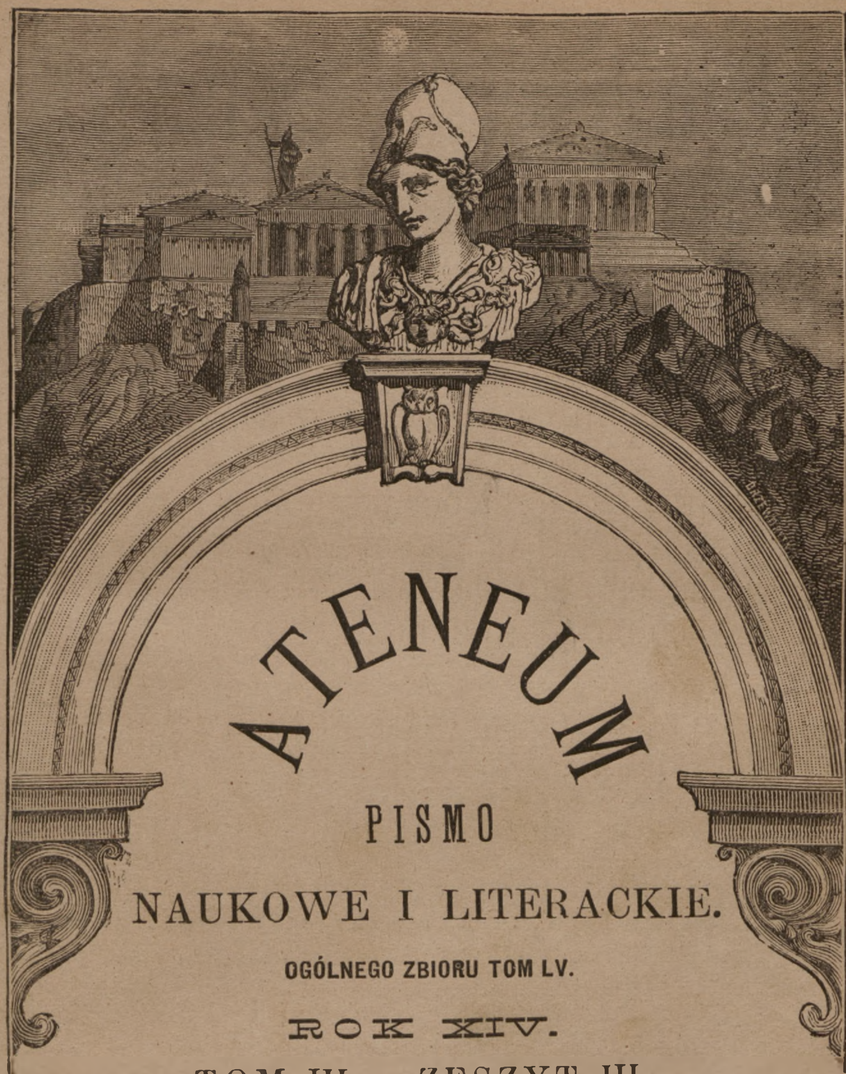


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LV.

ROK XIV.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

Druk ukończono 4 Września 1889 r.



LETNICY.

Kogo spotkasz w m. lipcu, na ulicach Warszawy, pyta zdumiony: więc na bruku, nie na trawie? Ależ trzeba koniecznie wyjechać, ażeby odpocząć, odetchnąć świeżém powietrzem, pogadać z naturą zamiast z kamieniami. Miasto opustoszało, Warszawa się wyludniła, niéma z kim pomówić, kogo odwiedzić, czas nieznośny, śmiertelne nudy. Więc się Warszawa wyludniła? Tak mówią. Ależ Warszawa liczy coś tam z górą czterysta tysięcy mieszkańców, a z téj liczby wyjechało za granicę na kuracyą lub wystawę paryzką i na letnie mieszkania może z 15 tysięcy; więc na takie duże miasto procent kuracyuszów i letników nie tak znaczny, ażeby brak ich w ciągu miesiąca lub dwóch miał stanowić o wyludnieniu. Tak jednakże zdaje się tym, dla których ludność stanowią ich krewni lub znajomi. Prawda, że po ulicach mniéj się snuje próżniaków płci obojéj, nie wiedzących co z sobą robić, ale ubytek ten widoczny zaledwie na główniejszych ulicach; reszta, tj. przynajmniéj 95 setnych tak samo latem jak zimą krząta się, zabiega, pracuje po warsztatach i fabrykach, nareszcie próżnuje. Z miasta ucieka ten, kto może, a najwięcéj takich, na których inni pracują; ponieważ takich wszędzie jest niewielu, zatém i z Warszawy tylko mała cząstka kosztuje świeżego powietrza, kwaśnego mléka z kartoflami, przeklina komary i muchy, złorzeczy twardym kotletom i zarzeka się, że już na drugi rok nie popełni takiego głupstwa, żeby wygodne mieszkanie i soczysty *roastbeef* zamieniać na szopkę zwaną willą i zsiadłe mléko zwane lodami. Swoją drogą na przyszły rok zrobią to samo, głównie dla dzieci i matek, a potroszę i dla siebie. Nic w tém dziwnego. Wrażenia się zacierają i bąble po komarach nie trwają wiecznie. Do uzupełnienia obrazu i zrównoważenia ubytków wypadałoby tylko, ażeby mieszkańcy wiejscy emigrowali na lato do Warszawy.

Jakoż, zrobiliby to, zwłaszcza więksi dziedzice i dziedziczki, gdyby Towarzystwo Kredytowe chciało raty za nich zapłacić lub przynajmniéj kredytować je w nieskończoność. Bo to, proszę pana, bez kredytu każdy człowiek, a szczególniéj rolnik, kompletnie głupiuteńki. Oj ten kredyt, ten kredyt! Życie wyrobnika i życie teraźniejszych państw, wszystko to odbywa się na kredyt.

Po téj głębokiéj sentencyi ekonomicznéj i stwierdzeniu, że nie cała Warszawa ulotniła się na letnie mieszkania, zauważmy daléj, iż ta emigracya na wieś od niedawna się datuje. Kto pamięta czasy z przed lat trzydziestu, ten sobie przypomni, że wtedy nie było jeszcze zwyczaju opuszczania miasta podczas letnich miesięcy i osiedlania się na wsi; kogo stać było lub kto musiał z powodu choroby, wyjeżdżał za granicę; reszta, z bardzo małym wyjątkiem, siedziała w mieście. Dopiero pobudowane cztery nowe drogi żelazne ułatwiły komunikacyą Warszawy z dalszemi częściami kraju i pozwoliły na te tłumne wycieczki, na czas dłuższy lub krótszy, jakich teraz jesteśmy świadkami. Czy moda życia wpłynęła na rozwinięcie tego gustu i u nas, nie wiemy, ale i bez tego wpływu samo zbliżenie odleglejszych punktów kraju dzięki komunikacyi łatwiejszéj i tańszéj, wystarczyłoby do wytworzenia zwyczaju, czy téż mody.

Co ludzi, osobliwie miejskich i to głównie wielkomiejskich popycha do osiedlania się na wsi w czasie letnich miesięcy? Potrzeba odpoczynku i usunięcia się od gwaru miejskiego, potrzeba świeżego powietrza, nudy i znużenie jednostajną pracą, a wreszcie moda. Wielkie miasta w naszych czasach dochodzą, jak np. Londyn, potwornych rozmiarów; skupiły one i zogniskowały w sobie wszelki żywszy ruch umysłowy i przemysłowy kosztem prowincyi, stały się gniazdami wielkiego zbytku i większéj jeszcze nędzy, wysokich cnót i niskich występków, słowem wessały w siebie życie narodów. Dlatego téż reformatorowie dzisiejsi pragnęliby, między innemi ulepszeniami, zmienić ten stosunek wielkich miast do prowincyi przez odprowadzenie trochy krwi i ruchu od serca do kończyn dotkniętych atrofią.

Życie w tych mrowiskach ludzkich ma wszakże wiele stron dodatnich, większe wygody materyalne i rozkosze towarzyskie, żywszy puls umysłowy, większe środki ukształcenia, wyższe zarobki: nic téż dziwnego, że się do nich ściąga ludność wszelkiego stanu. Rosną one szybko nietyle naturalnym rozwojem swojéj ludności, co napływem żywiołów prowincyonalnych, rosną nietyle wszerz co na wysokość i dochodzą takiéj gęstości zaludnienia, iż wszelkie środki sanitarne nie wiele pomagają do zmniejszenia śmiertelności.

Nie dziwimy się zatém, że mieszkańcy wielkich miast o ile mogą, uciekają latem na wieś, ażeby uniknąć zgiełku, turkotu, kurzu i zabójczych wyziewów, podnoszących się ze starych i nowych kanałów, z gnijących odpadków organicznych. Gdyby więc ten nowy jeszcze zwyczaj emigrowania na wieś przyczynił się do podniesienia zdrowotności téj szczupłéj garstki mieszkańców, którzy sobie mogą na ten zbytek pozwolić; gdyby zmniejszył liczbę pielgrzymujących za granicę i sporą sumę marnowanych pieniędzy zostawił w kraju, między ludnością wiejską: byłby godzien uznania i propagowania. Jakoż, wierzymy, iż przynajmniéj cząstka tych przypuszczalnych rezultatów spływa na samych letnich emigrantów i na ludność miejscową.

Dokąd się letnicy udają dla zażycia wczasu? Na wieś. Ściślej jednak mówiąc, nie na wieś, bo na wsiach mniéj ich zamieszkuje, lecz do tak zwanych willi. Nim się tym willom przyjrzymy, zauważmy, iż dwa są rodzaje miejsc, do których mieszkańcy większych miast latem uciekają: miejsca lecznicze, gdzie chorzy przebywają, i stacye klimatyczne lub wprost osady, gdzie zdrowi szukają wypoczynku. Pierwsze, jak Ciechocinek, Busk, Nowe-Miasto, a w części Nałęczów, wzorują się, o ile stać je, na podobnych zakładach cudzoziemskich; drugie, których coraz więcéj przybywa ciągną się po większéj części wzdłuż dróg żelaznych i bardziéj po swojsku wyglądają. Miejsca lecznicze pomijamy w téj chwili; rozwój ich zależy od wartości leczniczéj źródeł lub kąpieli. Korespondencye z tych miejsc do pism warszawskich skarżą się na wiele braków i niedogodności, szczególniéj na drożyznę. Korespondentom przychodzą zaraz na myśl zakłady zagraniczne, gdzie jeżeli nie taniéj, to wygodniéj żyć i leczyć się można. Porównywanie swojskich zakładów z cudzoziemskiemi i narzekania na krajowe, o tyle chybiają, że zagraniczne istnieją setki lat, mają źródła leczebne wypróbowane, gromadzą przybyszów z całego świata, leżą w okolicach z natury uprzywilejowanych, mogły się więc urządzić wygodnie a nawet wspaniale. Nasze miejsca lecznicze mają zaledwie po jakieś pół wieku a nawet mniéj istnienia, pozbawione są głośnych leczebnych wód (z wyjątkiem może Ciechocinka i Buska), leżą w okolicach niebardzo oko nęcących, gromadzą ludność uboższą, a tém samém mogą dużo pozostawiać do życzenia. Niemniéj jednak, kogo natura choroby nie zmusza do szukania jakichś specyalnych zakładów leczniczych obcych, powinienby zamiast narzekania, raczéj korzystać ze swojskich, ażeby się przyczynić do ich podniesienia. Uważamy to za drobny ale obywatelski obowiązek. Chociażby w domu było jeszcze mniéj komfortu, godziłoby się spół.

działać w jego osiągnięciu; za sto lub dwieście lat mogłoby wszystko inaczéj wyglądać, może nie tak, jak w Karlsbadzie, Marienbadzie lub Akwisgranie, ale zawsze wygodniéj, niż dzisiaj. Albo my tam tego doczekamy, a co nas to obchodzi jak tam za sto lat będą wyglądały Ciechocinek lub Nowe-Miasto? Jest to nasza śpiéwka we wszystkich sprawach. Jeżeli owocu sam jeść nie będę, sadu nie założę.

O miejscach leczniczych więcéj nie piszemy, bo to sfera lekarzy i oni powinni pracować nad wybijaniem z głowy pacyentom tego powszechnego uprzedzenia, iż tylko to, co zagraniczne, warte jest zalecania.

Miejsca klimatyczne, lub wprost osady letnie ciągną się głównie wzdłuż linii dróg żelaznych. Wyglądają one rozmaicie, stosownie do gustu i zamożności letników. Niektórzy z nich zakupują po mordze lub więcéj ziemi, budują domki zwane pompatycznie willami, jedni dla własnéj przyjemności, inni na spekulacyą. Ubożsi znów, nie mogąc ani willi budować, ani w willi z powodu słonego komornego mieszkać, wynajmują u włościan niskie, ciasne, brudne chaty i mieszczą się jak mogą. W tych ostatnich niby-willach przechodzi się istne tortury, a wszystko to gwoli świeżemu powietrzu. Jakoż, tuż pod oknami masz dół, w którym się wyrabia nawóz, przez ścianę chléwek, gdzie prosięta, kury, gęsi, kaczki pieszczą koncertami uszy mieszczuchów, a tam nieco daléj bagno, gdzie żaby zawodzą melancholijne swoje nukanie. Urocza sielanka. Ależ powietrze, powietrze, panie dobrodzieju, dopiéroż-to się pełną piersią oddycha. Zaprawdę, jest to powietrze, co się inaczéj morem nazywa. Cóż jednak począć, ubogiemu wszędzie i zawsze wiatr w oczy.

Dobra wola, nadzieja poprawy zdrowia rodziców i dzieci, a nadewszystko szczupłe środki materyalne każą ludziom zapominać o tych niewygodach; zresztą nie wszędzie są one tak rażące, ani atmosfera nie wszędzie jest zapowietrzoną, nie wszędzie cielęta sąsiadują z letnikami. Są przecież inne braki oprócz wymienionych, które trudniéj pokonać przy naszém niedołęstwie i ubóstwie. Mamy na myśli drogi lub raczéj dojazdy do tych rajskich, letnich przybytków. Drogi nasze już w dawnych wiekach były głośne w Europie; można się o tém doczytać w opisach podróżników cudzoziemskich. Dzisiaj podróżując kolejami żelaznemi, i my sami i cudzoziemcy, zatraciliśmy wyobrażenie tych dróg i mostów sławetnych. Ale jak tylko opuścisz wagon kolejowy i wsiądziesz na wehikuł przedpotopowéj konstrukcyi (a wsiadać trzeba po drabinie), przekonasz się, ile nam brak do cywilizowanego życia. Część sie-

dzib letnich stoi tuż przy drogach żelaznych i do tych oczywiście łatwo się dostać; inne o dwie, trzy wiorsty, a wówczas już bez dorożkarza obejść się trudno. Okoliczni włościanie i Żydkowie czekają na każdy pociąg kolejowy i ochotnie zabierają podróżnych. Dopieroż zaczyna się jazda po korzeniach drzew, wybojach, błotach i piaskach, że aż boki trzeszczą. Improwizowany dorożkarz śmieje się złośliwie, że te „warsiawiaki“ lud taki niemocny i kaducznie kruchy. On, jego ojciec, dziad i pradziad jeździli na takich samych wozach i temi samemi drożynami, a nikomu się nie śniło narzekać na nie. Otóż, jego syn, wnuk i prawnuk będą znowu tak samo jeździli, aż nareszcie słońce się wytli, ziemia ostygnie i jazda ustanie. Czyżby tych dróg nie można poprawić? Na to odpowiadają, potrzeba milionów lub przynajmniéj kroci. Zkąd ich wziąć? włościanin ubogi i niedbały, letnicy przybywają na parę miesięcy, i także nie są bogaci. Gwarno tu i rojno przez kilka tygodni, a potém nastanie cisza długa, monotonna aż do przyszłego lata. Nikt nie ma interesu budować dróg bitych dla przelotnych gości, więc niech zostaną jak były te karkołomne ścieżyny. Jest-to i romantyczniéj i na chorobę pomoże, bo albo ją, albo duszę z człowieka wytrzęsie. Wreszcie warszawskie bruki nie wiele są lepsze od tych wiejskich gościńców, a mimo to ludziom dobrze i jeżdżą jak szaleni.

Zobaczmy teraz, jak się letnicy wiktują? Sprawa to wielce żyżowotna, owszem najżywotniejsza ze wszystkich, bo gdy żywot nienaprawiony, do żadnéj nie ma ochoty, człek jest markotny i nawet ptasie melodye go nie bawią. Znając tę nizką naturę człowieka, letnicy płci obojéj a zwłaszcza gospodynie zabierają z sobą sprzęty i naczynia kuchenne, pakują w skrzynie i ładownemi wozami ciągną do ziemi nieobiecanéj, lecz za to wydzierżawionéj lub kupionéj. Ale w rondlach i garnkach trzebaż coś gotować, bo szyszkami sosnowemi, lubo pachną, żołądka nie oszukasz i gotować ich nie warto. Tu dopiéro rzecz nabiéra tragicznego wyglądu.

Jakoż, byłaby, jeżeli nie czysta tragedya, to tragi-komedya, gdyby nie było Żydów. Opatrznościowy ten naród jest wszędzie i rośnie tam gdzieś go nie posiał. On to letników, w moc swoich wyzwolicielskich przeznaczeń, wyzwala od głodnéj śmierci, dostarczając im mięsa z krajowych opasów, które na uwiąd starczy świat ten pożegnały, on sprowadza albo raczéj znosi kwaśne bułki, najświeższe masło, piskorze i płotki, ogórki i przedczasem otrząśnięte owoce, on pieniądze zmienia, pocztę obsługuje, on u nas w mieście i na wsi jest prawie jedynym czynnikiem, który się rusza. Przetoż, gdy on szabasuje, życie jakby zamarło i letnicy nie mają czego do garnka włożyć. Wprawdzie, jest jeszcze włościanin,

ale ten dostarcza zaledwie kartofli, kwaśnego mleka, grzybów i jagód, co jak wiadomo, bardzo lichy stanowi pokarm. Gdy zaś oba te źródła zawiodą, pozostaje rekurs do Warszawy.

Jest to wielce budujące zjawisko, jakie się widzi, jadąc latem którąkolwiek z dróg żelaznych skupiających się w Warszawie. W każdym niemal pociągu, szczególniéj też w wigilią świąt i soboty ku wieczorowi, jadą mężowie obładowani węzełkami, tobołkami, koszykami z wszelkiego rodzaju produktem, począwszy od mięsa a skończywszy na cebuli. Napracowawszy się przez cały tydzień po biurach, sklepach, kantorach, mają jeszcze dość siły, ażeby od głodnéj śmierci ocalić swoich pieszczochów. I wtenczas łatwo się przekonać jaką prawdę wyrzekł mędrzec biblijny, że mocna jest jako śmierć, miłość. Oprócz wielu stron komicznych ma to niezaprzeczenie swój urok sielankowy, podnioślejszy od widoku gry w Monte-Carlo.

Co téż letnicy porabiają w swoich willach? Jak-to, co porabiają? Alboż na to wynieśli się z miasta, uciekli od stolików i zza kantorów, ażeby jeszcze co robić? Więc jedzą kilka razy dziennie i śpią tyleż razy, a potém się nudzą, wzdychając do miasta. Tak czynią panowie; panie smażą konfitury, gotują na zimę soki, zbierają grzyby, suszą je i w wianki związują. Znajdzie się téż godzina do czytania, na wycieczki, gdy okolica piękniejsza, na teatr improwizowany, słowem czas jakoś schodzi niepostrzeżenie, z wyjątkiem pory dżdżystéj, kiedy z muchami w ciasnych izbach trzeba pokutować. Ale i to idzie letnikom na duszny pożytek, przypomina im bowiem, że na tym świecie niemasz róży bez kolców. Tak upływa parę miesięcy na rajskiéj sielance, którą czasami tylko zakłócają ploteczki lub karteczki, bo bez nich u nas mężczyzni nigdzie obejść się nie mogą,

Przychodziło nam nieraz na myśl, że te letnie wakacye oprócz nasycania świeżém powietrzem płuc mieszczańskich mogłyby być połączone z pewną umysłową indywidualną i ogólną korzyścią. Oto narzekamy, iż nasza znajomość kraju jest nadzwyczaj ułomkowa; gdyby nie te letnie wycieczki, niejeden, osobliwie z wielkomiejskich obywateli, nie widziałby na oczy jak wyglądają pola, zboża, łąki, lasy, zbiór zboża, uprawa roli, jak wygląda lud przy pracy, zabawie, weselu, pogrzebie. Bliższe, przelotne chociażby zetknięcie z tą szarą masą sprostowałoby w tak zwanych inteligentnych głowach wiele niedorzecznych wyobrażeń, jak np. o krzepkości i długowieczności naszych włościan, o ich religii i filozofii, o ich zwyczajach i obyczajach. Badania etnograficzne i archeologiczne, przyglądanie się ludowi wiejskiemu i obserwacya czaszek, wzrostu, za

barwienia skóry w rozmaitych okolicach kraju, gdzie się letnicy znajdują, dostarczyłyby warszawskiéj „Wiśle“ materyału do studyów bardziéj specyalnych, uczyłyby samych obserwatorów na żyjących egzemplarzach tych faz rozwoju, jakie wszędzie przechodzą język, wiara, obyczaje. Do tego trzebaby oczywiście i zamiłowania w swojskich rzeczach i pewnego przygotowania, ażeby umiéć obserwować i wiedziéć, co w mnóstwie szczegółów godniejsze jest zanotowania. Mogłoby się z tém połączyć poznanie fauny danéj okolicy nietylko z pieczonych kurcząt, a flory z pietruszki; słowem, letnie wakacye dałyby się połączyć z pewną i bardzo wdzięczną umysłową pracą, przyczyniłoby się do zamiłowania natury i ludu.

— A niechże mnie Bóg broni, żebym sobie miał głowę trudzić takiemi głupstwami: siadajmy do winta.

K.





ŚMIERĆ I POGRZEB U SERBÓW

I ODNOSZĄCE SIĘ DO NICH

WIERZENIA, ZWYCZAJE I OBRZĘDY LUDOWE.

Vuk S. Karadžić. Kovčežić za istoriju, jezik i običaje Srba sva tri Zakona. u Beču 1852.—Tenże. Srpski Rječnik. u Beču 1852, -- Vuk Vrčević. Niz Srbskih Pripovjedaka. Pančevo 1881. — V. M. Medakowić. Život i običaji Crnogoraca. u Novom Sadu 1860. — M. G. Milićević „Život Srba Seljaka" (Glasnik Srpskog učenog Društva. Knjiga V. Beograd 1867. — Bogoljub Petranović „Običaji Srpskog naroda u Bosni" (Glasnik Srp. uč. društwa. Knj. XI, XII i XXX. Beograd 1870—1871).—Stevo Trifković „Gatanja Srpskog naroda oko Sarajeva" (Bosanska Vila. god. I. Sarajevo 1886).

Pod wpływem potężnym chrześciaństwa, jego nauki i praktyk religijnych dawne wierzenia, obyczaje i obrzędy ludowe wszędzie zniknąć musiały wraz z kultem pogańskim i jego uroczystościami dorocznemi, które się zamieniły w święta kościelne. Lecz nie dość tego: tam nawet, gdzie wpływ ten był tylko pośrednim, tj. w tradycyjnych zwyczajach i obchodach domowych, np. przy narodzinach, weselach, pogrzebach itp. właściwa im obrzędowość pierwotna albo znikła zupełnie, albo w większym lub mniejszym stopniu otrzymała cechę chrześciańską.

Dla etnologii przeto jest to zadaniem wielce zajmującém i wdzięczném zarazem, przez badania porównawcze rzeczonych obrzędów domowych, istniejących obecnie u pewnego ludu, dochodzić, jak wiele i co mianowicie w nich pozostało z dawniejszych, przedchrześciańskich wyobrażeń, wierzeń i praktyk i jak dalece charakter pierwotny tych obrzędów zmienił się pod wpływem chrześciaństwa?

Pomijając na teraz ludy zachodnie, u naszego ludu polskiego i ruskiego, jedne tylko obrzędy weselne i G o d n e ś w i ę t a, tak zwane podobno od czasów pogańskich, zachowały jeszcze poniekąd dość znaczną część starodawnych tradycyjnych zwyczajów, praktyk i wróżb wszelkiego rodzaju, obok obrządków właściwie

religijnych, chrześciańskich. We wszelkich zaś innych, tak świętach dorocznych, jak i obrzędach domowych, jak to: przy chrzcinach, pogrzebach, zakładzinach domu, poświęceniu nowego mieszkania, płodów itp. szczegóły tradycyjno obrzędowe i zwyczajowe stały się tylko dodatkami do akcyi głównéj, kościelnéj, tj. do modlitw, błogosławieństwa i czynności sakramentalnéj.

Całkiem inaczéj jest znowu u Serbów. U nich wesela, pogrzeby, t. zw. „*Krsno ime*" (tj. święto patrona rodu), „*Božić*" (wigilia Bożego Narodzenia) itp. mają wyraźnie charakter tradycyjnych uroczystości domowych, w których kościół uczestniczy tylko jako świadek poniekąd, uświęcając je swoją powagą i błogosławieństwem. Główny zaś urząd obrzędowy spełnia w nich głowa domu (domaćin), domownicy i odpowiednie osoby z pomiędzy gości.

Różnica istniejąca pod tym względem okazuje się nam najwidoczniéj przy porównaniu obrzędów pogrzebowych ludu naszego i serbskich.

Ażeby ułatwić to porównanie naszym etnologom, zamierzam przedstawić tutaj według najpoważniejszych źródeł, podanych na wstępie, opis dokładny i możliwie wyczerpujący obrzędów pogrzebowych u ludu serbskiego wraz ze wszelkiemi odnoszącemi się do nich wierzeniami, praktykami i zwyczajami.

Podług wierzeń ludowych serbskich, są w życiu powszedniém pewne czynności, najniewinniejsze na pozór, które jednakże jakimś tajemniczym sposobem bywają w następstwach swoich zabójczemi dla życia ludzkiego. I tak np. w okolicach Sarajewa wystrzega się każdy iść tyłem naprzód, bo od tego matka może mu umrzéć. Tamże wystrzegają się trzymania w domu koguta, mającego wklęsłość na grzebieniu; ba gdyby ten z kroplą deszczą zatrzymaną w grzebieniu obszedł dom trzy razy wokoło, toby w nim wszyscy domownicy wymarli (1). Podobnaż śmierć grozi całemu domowi, w którymby zabito chowającego się w nim węża.

Jak wszędzie, tak i u Serbów znane są pewne poznaki, zapowiadające śmierć czyjąś. W Bośni wierzą, że kto ujrzy zająca pomykającego od jego domu, ten do roku umrze. Jeżeli w domu jakim pęknie nagle obraz świętego, to ktoś z domowników w nim umrze.

W Serbii każdy człowiek poważny, czując się bliskim śmierci, zwykł czynić testament, spisywany najczęściéj przez spowiednika

(1) St. Trifković. l. c. str. 269. N. 175

wobec świadków; a w nim oprócz ostatniéj woli umierającego, wyraża się zwykle i jego przebaczenie chrześciańskie nietylko ludziom wszystkim, lecz i „każdemu zwierzęciu w lesie, wszelkiemu ptakowi w powietrzu i rybie w wodzie i żmii pod kamieniem“.

W braku osoby piśmiennéj, jak to bywa u Czarnogórców, umierający oświadcza ustnie swoję wolę ostatnią dwóm świadkom, a ci obowiązani są święcie pamiętać każdy jéj szczegół. Poszanowanie zaś woli i pamięci zmarłego jest u Serbów tak głębokie, że np. w Bośni żadna córka, czy to zamężna, czy nie wydana, nie odważy się upominać sama o swój spadek po zmarłym ojcu; gdyż przez takie wystąpienie zhańbiłaby siebie tak, iż nie znalazłaby miejsca wśród uczciwych ludzi (2).

Spełniwszy ostatnie swe rozporządzenie, człowiek umierający żegna się z rodziną i błogosławi dzieci, tak np. „bądź oczyszczon z grzechu i błogosławiony, mój synu, na tym i na tamtym świecie, i każda słomka na domu twoim“. Potém opatrzony św. Sakramentami oczekuje zgonu, a przy skonaniu trzymają mu nad głową zapaloną świécę woskową, gdy już sam jéj utrzymać nie zdoła.

Gdy umrze kto, to nie ma zwyczaju ogłaszania śmierci jego dzwonami cerkiewnemi, tam nawet, gdzie one istnieją; lecz dowiadują się o tém bliżsi sąsiedzi, słysząc lament w domu zmarłego, a od nich wieść rozchodzi się po całém siole.

Na tę wieść śpieszą krewni i przyjaciele odwiédzić i pocieszać zasmuconą rodzinę, któréj żal po zmarłym wyraża się zwykle niepohamowanym jak najgłośniejszym płaczem i jękami; a niekiedy, jak np. u Czarnogórców, niezmiernie gwałtownemi oznakami rozpaczy: rwaniem włosów, tłuczeniem się pięściami w głowę i rozdrapywaniem twarzy aż do krwi.

Odwiedzający pozdrawia domowników słowami: „Boże dopomóż! bodajście zdrowi zostali!“ i usiadłszy, wynurza żal swój po zmarłym; poczém domownicy częstują go gorzałką i kawą.

Ciało zmarłego nim jeszcze stężeje, obmywszy starannie wodą i mydłem, ubierają według miejscowego zwyczaju. W Czarnogórzu np. na mężczyznę wkładają tylko czystą bieliznę, czapkę na głowę i pończochy kobiece na nogi, które związują do kupy białą tasiemką. Przytém wszędzie podwiązują umarłego chustką po pod brodę i zamykają mu jak najszczelniéj oczy, aby półotwartemi nie upatrzył kogoś z żyjących i nie pociągnął za sobą.

---

(1) Bogol. Petranović. „Glasnik“ XXX. str. 353.

Obmywanie zwłok odbywa się zwykle nie w izbie lecz przed domem, gdzie nad ogniskiem, umyślnie rozłożoném, grzeją na to wodę w osobnym kotle. Wszystkie zaś naczynia, które służyły do tego obmywania nie wnoszą się zaraz do izby, lecz przewrócone dnem do góry pozostawiają się przez noc całą na dworze.

Nie godzi się także czesać tym grzebieniem, ani mydła tego używać, które służyły przy oporządzaniu zmarłego. Ubierając zaś nieboszczyka, nie zawiązują na nim żadnego ze zwykłych węzłów w jego odzieży, a tę bieliznę i odzież, w któréj on umarł, wynoszą za wieś i rzucają na krzaku cierniowym, aby tam zniszczały.

W Bośni na umarłém dziecku malutkiém nie wolno jest nic zgoła przewinąć, ani zdjętéj z niego rzeczy żadnéj przechowywać, bo matka jego stałaby się niepłodną.

W Krainie serbskiéj, tj. w okręgu Negotyńskim, na pograniczu z Bułgaryą i Rumunią, między Dunajem i Timokiem, jest zwyczaj, przeważnie u Wołochów tamtejszych, lecz przejęty po części przez Serbów, że chorego będącego już blískim śmierci umywają przed samym zgonem i ubierają w najpiękniejsze odzienie. Jeżeli zaś śmierć zaskoczy go przedtém, to ani go myją, ani przeodziewają, lecz chowają w tém, w czém skonał (1).

W niektórych okolicach, wprzód nim obmyją i ubiorą dorosłego nieboszczyka, palą mu na ciele włosy porosłe bujniéj niż zwykle. W tym celu kładą na te miejsca kłaków potrosze i zapalają je tą gromnicą, którą zmarły trzymał przy skonaniu.

Tym zaś, o których wiadomo, że byli za życia zabójcami, krzywoprzysiężcami lub dopuszczali się innych zbrodni, ściągających na duszę potępienie wieczne, nacinają skórę na podeszwach lub innéın miejscu, albo ucinają im palec u nogi, albo wbijają gruby gwóźdź w potylicę. Czynią to dla tego, ażeby dyabłom nie udało się uczynić z niego upiora, gdy będą one w tym celu nadymały na nim skórę po dokonanym pogrzebie (2).

Odziane zwłoki nieboszczyka wnoszą do izby, składają na środku tejże, na tym samym materacu, na którym skonał i przykrywają całunem z białego płótna. Przytém, rzecz to niezmiernie godna uwagi, płótna tego nie rozcinają nożem, ani nożycami, boby się stępiły na zawsze („*ostalo bi mrtvorezno*“), lecz krają je ostrym krzemieniem! (3).

W Czarnogórzu, gdzie umarłych grzebią bez trumien, ciało nieboszczyka składają na cerkiewny „*odar*“ (łoże), tj. na mary, czyli nosze wzięte z cerkwi i na nich też potém niosą ciało do grobu.

(1) M. Milićević l. c. str. 200—201.—(2) Tamże str. 201.—(3) Tamże str. 198.

Tym lub innym sposobem złożone w izbie zwłoki osób młodych, tj. chłopców, dziewcząt lub młodych mężatek, otaczają wszelakiem kwieciem i wonnemi ziołami. Starszym zaś i żonatym tego nie robią, ani téż małym dzieciom; tym ostatnim dla tego, aby „cmentarze nie zakwitły“, tj. aby więcéj dzieci nie umiérało.

W miarę znaczenia jakie nieboszczyk miał w rodzinie, siole lub okolicy, jest on na swéj śmiertelnéj pościeli przedmiotem zwykłego, lub téż nadzwyczajnego i powszechnego żalu i czci, nietylko ze strony domowników i najbliższych krewnych, lecz i od dalszych, a nawet nieznanych sobie przyjaciół i wielbicieli, zwołanych wieścią o jego zgonie.

W tym ostatnim przypadku, jeżeli zmarły jest głową rodziny lub jéj członkiem kochanym i poważanym powszechnie, to opłakują go przedewszystkiém niewiasty z własnéj rodziny, tj. żona, siostra, synowa lub córka, które od czasu do czasu zawodzą nad nim tak zwane „*naricanja*“, tj. półśpiewy rzewne, z miłością i żalem głębokim zwrócone ku zmarłéj osobie. Treny te, których parę podam na końcu, po największéj części improwizowane, bywają przy całéj swéj prostocie tak wysoce poetyczne, że po znanych powszechnie pieśniach junackich, należą niewątpliwie do najpiękniejszych utworów ludowéj poezyi Serbów.

Obok tych „*pokajnic*“ (płaczek) domowych, przychodzą jedni po drugich „*na pokajanje*“, tj. aby odwiédzić i opłakiwać zmarłego, krewni, przyjaciele i znajomi jego z bliska i z daleka.

W Czarnogórze i w Boce Kotarskiéj jest zwyczaj, że gdy zdaleka przybywa razem zebranych mężczyzn kilku, to zbliżając się już ku domowi zmarłego, idą oni uszykowani jeden za drugim, ze strzelbami przewróconemi „na opak“ w znak żałoby, a jeden z nich wybrany zawodzi na głos z daleka i opłakuje nieboszczyka. Przed samym zaś domem mieszają oni szyk i śpieszą bez ładu jeden przed drugim, jęcząc chórem, ile głosu starczy każdemu. Gdy zaś przybędą już po pogrzebie, to domownicy wynoszą im z domu i pokazują im odzież i zbroję nieboszczyka, a oni opłakawszy je, udają się w szyku na grób jego i tam powtarza się taż sama scena, co przed domem (1).

Niektórzy, nie umiejąc sami opłakać godnie zmarłéj osoby, przed lub po odwiédzeniu osobistém jéj ciała, posyłają na swe miejsce uproszoną płaczkę, zwaną „*narikača*“, tj. kobietę słynącą w okolicy z pięknego i wymownego opłakiwania umarłych. Ta przybywszy do domu zmarłego, na początku swego trenu oznajmia

---

(1) V. Karadžić. Srpski Rječnik, wyraz *pokajnice*.

w czyjém imieniu przybyła; a wysławiwszy i opłakawszy zmarłego, kończy swe „*naricanje*“ pozdrowieniem wszystkich zmarłych jego rodu i domu od téj osoby, która ją przysłała (1).

U Czarnogórców musi to być nawet obowiązującym niejako zwyczajem, ażeby kobiety udawały się jako pokajnice opłakiwać każdego niemal zmarłego; albowiem Medakowicz podaje, iż przy niektórych nieboszczykach naliczono po 200—400 takich pokajnic. Między niemi wszakże dziewcząt nie bywa wcale; te albowiem zwykły opłakiwać zmarłych tylko we własnym domu i z własnéj rodziny.

Dopóki nieboszczyk jest w domu, nie wolno jest izby zamiatać, ani gotować w niéj, ani trzymać czegokolwiek kwaśnego, nawet ciasta lub chleba. Przez cały ten czas domownicy czuwają nad nim bez ustanku, we dnie i w nocy, nie opuszczając go ani na chwilę. Strzegą przytém jak najpilniéj, ażeby nic żyjącego, np. kurczę, pies albo kot, nie przeszły po nieboszczyku; gdyż skutkiem tego on by się w upiora zamienił.

Bośniacy z téjże obawy nie wpuszczają wcale kota do téj izby, gdzie leży umarły. W ich wyobrażeniu albowiem kot jest jakąś istotą demoniczną tak dalece, że nawet przeszedłszy przez przędzę nasnutą do tkania, sprawia to, iż człowiek, który nosi koszulę z téj przędzy, staje się upiorem („*vampiri se*“) po śmierci.

Wiara w upiory, czyli wilkołaki i ich szkodliwość jest mocno rozpowszechniona u Serbów. Mają téż oni mnóstwo sposobów rozpoznawania grobu upiora, uczynienia go nieszkodliwym i zapobiegających przeupiorzaniu się zmarłych. W Krainie np. w tym celu wtykają umarłemu do pępka igłę, lub jeszcze skuteczniéj cierń z czarnego głogu, posiadającego największą moc na upiory.

W sam dzień pogrzebu zrana, uproszeni przyjaciele udają się na cmentarz i wykopują grób. Nie czynią tego w przeddzień pogrzebu, bo gdyby przygotowany grób pozostał próżnym przez noc, to oprócz nieboszczyka pójdzie do grobu jeszcze ktoś z żyjących.

Przed samym pogrzebem, wprzód nim zwłoki zostaną włożone do trumny, odbywa się oczyszczenie téjże przez dwie stare babki, a to w następujący sposób: na dnie trumny układają one krzyż z pakuł, które zapalają gromnicą, trzymaną przez nieboszczyka w chwili zgonu, i przewracają patykami, dopóki się całkowicie nie spalą.

---

(1) V. Karadžić, Srpski Rječnik, wyraz *narikača*.

Gdy nieboszczyk był dwa razy żonatym, to wkładają mu do trumny zarzniętą kurę czarną, ażeby po śmierci zapomniał o drugiéj swéj żonie, a połączył się z pierwszą w niebie. Toż samo robią i kobiecie zmarłéj po powtórném małżeństwie.

W Krainie serbskiéj istnieje wierzenie, że jeśli w którym domu umrze dwie osoby wkrótce jedna po drugiéj, to za niemi nieodzownie pójdzie do grobu ktoś trzeci, przez nie zwabiony. Zapobiegając więc temu, do trumny ostatniego zmarłego wkładają, lub osobno z nim do grobu zakopują żywe kurczę, albo kurę. Tamże, w Krainie, tudzież w innych okolicach Serbii wierzą powszechnie, że dwaj rówieśnicy, urodzeni w tym samym miesiącu, powinni też i umierać jeden wkrótce po drugim. Rówieśnik jeszcze żyjący ratuje się od tego losu *pobratymstwem*, zawartém z umarłym w sposób następujący: Przystępuje on do złożonego w trumnie rowieśnika i jakakolwiek baba nakłada połowę pęta końskiego na nogę jemu, a drugą połowę na nogę nieboszczyka i zamyka je. Wówczas do stojącego obok towarzysza odzywa się on pytając: „czy podejmujesz się ty dla Boga i św. Jowana, wydobyć mnie niewolnika z grobu?“ Na odpowiedź daną przez tego, że się podejmuje, baba otwiera pęto na chwilę i na nowo zamyka. To się powtarza trzykrotnie, poczém pęto się zdejmuje i obaj rowieśnicy zostają sobie *pobratymami*, t. j. zbratanymi jak gdyby za życia bracia rodzeni. Gdyby to się stać nie mogło przy zwłokach nieboszczyka w trumnie, to tenże sam obrzęd może się odbyć na jego grobie, przyczém pęto nakłada się na krzyż utkwiony nad nim (1).

Obrzęd pogrzebowy rozpoczyna się odprawieniem przez popa zwykłych przepisanych modłów kościelnych nad zwłokami nieboszczyka za jego duszę.

Po odśpiewaniu tych modłów wynoszą nieboszczyka przed dom i składają trumnę na przygotowanych marach, które czteréj ludzie biorą na barki i z całym orszakiem pogrzebowym wyruszają na cmentarz.

Na samym przodzie orszaku ktoś niesie krzyż; za krzyżem postępuje gromada ludzi przybyłych na pogrzeb; za nimi kapłan tuż przed ciałem nieboszczyka, a za tym na końcu kobiety z jego rodziny i inne „pokajnice“, które przez całą drogę głośno opłakują zmarłego.

Pośród tych płaczek, lub też za niemi idą dwie niewiasty, niosące w naczyniach szklanych, lub w małych garnuszeczkach zupeł-

(1) M. Milićević l. c. str. 197.

nie nowych, jedna wodę a druga wino zmieszane z oliwą. Do tego zaś ostatniego uwiązują na czerwonéj nici lub tasiemce małą kukiełkę pszennego chléba kwaśnego. W drodze do cmentarza orszak pogrzebowy zatrzymuje się trzykrotnie na chwilkę, ażeby trącić o kamień napotkany w tém miejscu. Czarnogórcy zaś przeciwnie, wystrzegają się trącenia trumną nawet o próg domu lub cerkwi, do któréj niosą nieboszczyka i przy któréj znajduje się cmentarz.

Przybywszy na cmentarz, trumnę niosą na samym przodzie i okoliwszy z nią cały cmentarz w kierunku słońca, ustawiają ją po prawéj stronie przygowanego grobu.

Gdy kapłan odśpiewa ostatnie modlitwy nad zmarłym, spuszczają trumnę do grobu najbliżsi krewni, z wyjątkiem tych, którzy się jeszcze spodziewają miéć dzieci; ci albowiem w ostatniéj posłudze zmarłemu mogą tylko nieść jego trumnę.

W Krainie serbskiéj podczas śpiewania owych ostatnich modłów nad grobem, wspomnione naczynia z wodą i z winem zmieszaném z oliwą stoją u głowy nieboszczyka; po skończeniu zaś tych modłów wstawiają się do trumny nieboszczyka i w niéj zamknięte spuszczają do grobu.

W okolicach Szabca w Serbii wino i oliwę wylewają na nieboszczyka przed samém spuszczeniem go do grobu, a naczynia szklane po nich tuż rozbijają o trumnę. W Bośni zaś, po spuszczeniu trumny do grobu, pop wylewa na nią wino z oliwą i posypuje ziemią, a za nim każdy z obecnych rzuca po garści, mówiąc: „wieczna ci pamięć, wieczna ci radość“. W Serbii, oddając tymże sposobem ostatnie pożegnanie zmarłemu, polecają mu zarazem pozdrowić na tamtym świecie swych zmarłych rodziców, rodzeństwo i krewnych.

Na ostatek nad zasypanym grobem osadzają na mogiłce krzyż drewniany lub kamienny nad głową. Potém zaś jeszcze u Bośniaków skrawują od rękojeści każdéj motyki, którą grób kopano, po kilka trzaseczek drzewa i grób niemi posypują.

U Czarnogórców pogrzeb odbywa się prościéj, lecz żal po nieboszczyku wyraża się na nim daleko gwałtowniéj. Złożonego już na marach biorą na barki czteréj ludzie i przy rozdzierającym płaczu i krzyku wszystkich obecnych niosą do cerkwi.

Tam, całując zmarłego wszyscy po kolei, żegnają się z nim, a potém odnoszą go do grobu. Nad grobem, zdjąwszy zwłoki z *odra* dwoje ludzi spuszcza je do grobu; tam zaś rozwiązują na zmarłym węzły u bielizny, przykrywają go całunem i grób zasypują. Tu dopiero powstają płacze i jęki rozpaczliwe wszystkich i to na cały głos, że rzekłbyś świat się kończy. Na grób zaledwie zasypany padają na twarz wszyscy krewni, pięściami tłuką się po głowie i twarz

sobie rozdrapują do krwi. Najbliżsi z rodzeństwa obrywają włosy na sobie, mężczyzni z czubów, a kobiéty z warkoczów i rzucają je na grób. Niektórzy włosy te wcisnąwszy w rozszczepione laski, zatykają na grobie; inni rzucają jabłka na znak miłości itp. Potém powracają wszyscy do cerkwi, gdzie wysłuchawszy nabożeństwa żałobnego, umywają się i całują krzyż po kolei. Naostatek, wyszedłszy z cerkwi, częstują się gorzałką i powracają do domu.

W Krainie serbskiéj, u Wołochów przeważnie, a niekiedy téż i u Serbów praktykują się następujące dwa osobliwsze zwyczaje pogrzebowe. Po śmierci młodzieńca lub dziewczyny wykopują młodą gruszę, jabłoń lub morelę, mające wydać pierwszy owoc i zawiesiwszy na każdéj gałęzi potasiemce, skrawku sukna lub nici czerwonych, niosą to drzewko przed umarłym i zakopują mu nad głową na jego grobie. Na pogrzebie chłopca jedna z dziewcząt, ustrojona jak do ślubu i w asystencyi dwóch „*dziewierzy*“ (drużbów), postępuje za owém drzewkiem, niosąc na tacy dwa wieńce i dwa pierścienie. Jeden z tych wieńców i pierścieni składają zmarłemu na trumnie spuszczonéj do grobu, a drugi oddają tejże dziewczynie; ta zaś nosi je na sobie przez czas niejaki, chociażby narzeczoną zmarłego nie była.

Po skończonym pogrzebie mężczyzni udają się do domu nieboszczyka na stypę, na którą sprasza ich nie kto inny tylko ten, kto zapraszał przyjaciól do wykopania grobu.

Na tę stypę zabija się tak zwane „bydle zaduszne“ (*dušni brav*), tj. barana, lub owcę, jeżeli nieboszczyk umarł w dzień wolny od postu. Gdy zaś umarł on w dniu postnym, to ów „*dušni brav*“ odkłada się do wielkiéj stypy w dniu 40-ym po śmierci; pogrzebowa zaś stypa w takim razie odbywa się skromniéj.

Wracających z pogrzebu uczęstników spotykają przed progiem domu dwie domownice, jedna z dzbanem wody i miednicą dla umycia rąk, a druga z żarownicą pełną węgli żarzących się. Każdy z przybywających po kolei umywa sobie ręce, potém chwyta z żarownicy węgiel rozżarzony i przerzuciwszy go parę razy z ręki do ręki, odrzuca po za siebie, mówiąc: „jak zagaśnie ten węgiel, tak niech ugaśnie żałość rodziny po zmarłym“.

W okolicy Sarajewa, oprócz wody i żarownicy, spotykają gości pogrzebowych z kadzielnicą. Każdy z nich najpierw się okadza, potém węgiel rzuca po za siebie, a na ostatku umywa ręce i nie obtarłszy ich wchodzi dopiero do izby.

Wszedłszy do izby, zasiadają wszyscy do stołu już zastawionego, przy którym posługują domownicy z obnażonemi głowami, częstując gości gorzałką i winem.

Uczta odbywa się w milczeniu prawie, lub przy rozmowie prowadzonéj półgłosem i to wyłącznie o życiu zmarłego, o jego przymiotach i ostatniéj chorobie. Ciszę tę przerywają od czasu do czasu uroczystym głosem wnoszone „*zdrawice*“, brzmiące tak np.

„U stołu żałobnego zdrowi mi bądźcie, wy bracia kraśna, na prawo i lewo! Oby nam wszystko pięknie i szczęśliwie się działo, daj Boże! Pierwsze i pomyślne zdrowie niech nam będzie na szczęście wielkie, daj to Boże! Dałby to Bóg i łaska Boża i Piotr święty, aby to zgromadzenie nasze było szczęśliwe, daj Boże!

Zdrowi bądźcie bracia! na radość duszom zmarłych, które już odeszły z tego rodu i z tego domu; wieczna im pamięć i odpoczynek błogi; dusze ich niech będą oczyszczone, a ziemia dla nich lekką; niechaj ich ciała spoczywają, a dusze królują w królestwie niebieskiém przed tronem bożym wraz z duszami świętych i sprawiedliwych Izaaka, Abrahama i błogosławionego cara Łazara w królestwie niebieskiem!

Bóg niech miłościw będzie naszemu bratu N. N. (lub siostrze N. N.); wieczna mu pamięć i odpoczywanie błogie; ciało jego niech odpoczywa, a dusza jego niech króluje! Daj Boże duszy tego zmarłego raj biały, pobyt uroczy i spokój w przedwieczném królestwie niebieskiém pośród dusz świętych i sprawiedliwych! Amen!“

Na to obecni odpowiadają z za stołu:

„Wieczna im pamięć! Bóg niechaj duszyczkom ich odpuści i będzie miłościw!“

Po kilku przemowach podobnych spełniwszy ucztę, również cicho i poważnie rozchodzą się wszyscy do domów, żegnając osieroconą rodzinę i pocieszając ją słowem życzliwém.

U Czarnogórców stypa pogrzebowa, zwana s t o ł e m ż a ł o b n y m („*trpeza od koritadi*“) (1), odbywa się zupełnie inaczéj. Po przybyciu popa, który poświęca wodę w domu żałoby, zasiadają wszyscy do stołu, lecz pożywają w milczeniu, bez żadnych zdrawic. Natomiast nastrój żałobny wzmaga się do najwyższego stopnia przez dwie kobiéty najbliższe z rodzeństwa, które pośród stypy występują z ostrzyżonemi i obnażonemi głowami na znak żałoby najgłębszéj i chodząc po izbie, głośno opłakują zmarłego w trenach wspomnionych wyżéj.

Toż samo powtarza się u nich przez 10 dni następnych, tylko już nie w izbie, lecz przed domem na dworze, przy osobnym stole,

(1) *Koritadj* = *korota* żałoba; *korotati* opłakiwać. żałować zmarłego.

urządzonym na pamiątkę zmarłego, a który zowie się téż **stołem zmarłego** (*„mrtvačka trpeza„*). Na tym stole znajduje się tylko sama odzież i cała zbroja nieboszczyka, ułożone tak, jak on na sobie je nosił; a nawet do czapki nieboszczyka przyszywają jego własny czub (*perčin*), ucięty mu po śmierci; przez co naśladują poniekąd postać zmarłego, niby leżącą na stole w całém swém ubraniu i uzbrojeniu.

Stół ten stoi przed domem przez cały czas tych dni dziesięciu, a do izby wnoszą go na noc tylko. Drugi zaś stół, przeznaczony dla stypy, zastawiają codziennie dla pokajnic, przybywających z bliska i z daleka dla opłakiwania zmarłego na jego grobie.

W Krainie, po skończonéj stypie lub nawet wcześniéj, tegoż dnia przed wieczorem, te same kobiety, które zrana rozporządzały się przed pogrzebem, udają się na cmentarz dla spełnienia ważnéj tajemniczéj czynności. Z pękiem pakuł, napuszczonych prochem i siarką i przyniosłszy z sobą 5 nożów starych, lub jeden nóż i 4 duże kolce cierniowe, przychodzą one do grobu nieboszczyka, okładają go w około owemi pakułami i zapalają je ze czterech stron na krzyż. Gdy się te spalą do szczętu, wbijają w nasyp grobowy nóż jeden nad piersiami nieboszczyka, a 4 kolce cierniowe lub pozostałe 4 noże wtykają po jednym nad każdą ręką i nogą; a to w tym celu, ażeby zmarły natknął się na te ostrza i nie mógł powstać z grobu, w razie, gdyby po śmierci stał się upiorem (1).

Z wiary powszechnéj, że dusza zmarłego w pierwszą noc po pogrzebie wraca do swego domu, powstał powszechny téż zwyczaj u Serbów, ustawiania na tę noc przyjęcia dla nieboszczyka na tém samém miejscu, gdzie skonał. Najpospoliciéj stawia się sól w solniczce, kawał chleba lub kołacza i kubek wina. W okolicach Szabca dodają jeszcze zapaloną świecę woskową i kadzielnicę. W Krainie zaś, najskromniéj, poprzestają na winie i wodzie w kubkach.

Nie tylko Serbowie, lecz podobno i inni chrześcianie wschodniego kościoła, jeśli nie wszyscy, to przynajmniéj nad Dunajem, wierzą, że dusza zmarłego w pierwszych dniach 40 po zgonie przebywa okres wstępny swojego żywota zagrobowego, nie mając stałego miejsca. Serbowie mniemają, że w tym czasie dusza zmarłego odwiédza wszystkie te miejsca, w których człowiek bywał za życia; a oprócz tego, ażeby się dostać do nieba, musi ona być pierwéj na Św. górze Athos i na grobie Pańskim w Jeruzalem.

(1) M. Milićević l. c. str. 201—202.

Ów okres 40 dniowy jest też w zwyczajach serbskich dalszym niejako ciągiem obrzędów i praktyk żałobnych, poświęconych uczczeniu pamięci zmarłego.

Najpowszechniejsza z tych praktyk jest Ż a ł o b a, obowiązująca dzieci po rodzicach, małżonków po sobie nawzajem i siostry po braciach rodzonych. Czas trwania żałoby, od 7 do 40 dni, bywa różny, według miejscowych zwyczajów każdéj okolicy i stosownie do osoby zmarłego.

Na znak żałoby, u Serbów mężczyzni chodzą z gołą głową aż do końca pogrzebu, a niekiedy przez tydzień cały po odbytym pogrzebie. Kobiéty zaś przez całe dni 40 nie splatają włosów w warkocze; a potém aż do końca roku na znak żałoby układają warkocze inaczéj, niż zwykle i ubierają się inaczéj: kobiety zamężne w niektórych okolicach zawiązują sobie głowy czarnym zawojem, dziewczęta nie noszą żadnych kwiatów ani ozdób, a jedne i drugie wdziewają żupaniki zwierzchnie na wywrót. Przytém młodzieży w żałobie nie wolno jest przez cały rok tańczyć, ani śpiewać lub grać. A w pierwszych dniach 40-tu żałoby kobiety i dziewczęta idąc w pole, zamiast pieśni zwykłych nucą sobie n a r z e k a n i a za swoim zmarłym.

Czarnogórcy na znak żałoby nie golą sobie brody, ani podgalają głowy przez 6 tygodni; a przez rok cały noszą czarném obszyte czapki, pasy i szamerowania na kurcie, a kobiety biorą czarne chustki i zawoje.

W téj żałobie po zmarłym bierze nieraz udział cała wieś, na cały rok przerywając wszelkie zabawy i śpiewy, a przekleństwem karcąc każdego, ktoby tę żałobę naruszył.

W Bośni, po śmierci głowy rodziny, córki jego i synowe chodzą przez trzy dni, lub przez tydzień cały, każdego rana na grób jego, gdzie jedna z nich głośno go opłakuje, np. w te słowa:

„Na dzień dobry, ojcze ukochany,
Otom przyszła, kukułeczka siwa,
Spojrzéć tutaj na twój domek wieczny,
Gdzie masz mieszkać sobie na wiek wieków.
Jak ci się w nim nockę nocowało?
Czy dość miękko ci w ziemnicy czarnéj?
Czy ci ciepło pod zieloną trawką?
Czy potrafisz oswoić się, biedny,
Z twoim dworem tym, na wieki ciemnym,
Bez słoneczka i serduszka swego,
I bez synów swych, sokołów siwych
I bez córki, jedynaczki swojéj,
Dziś, mój ojcze, kukułeczki biednéj?
Z Bogiem dworze wieczny ojca mego,

Jutro znowu powrócę tu do cię,
bym odeszła, jak i dziś żałośna!“ (1)

W Serbii i Bokce opłakiwanie grobu odbywa się tylko na trzeci dzień po pogrzebie przy liczniejszém zgromadzeniu krewnych i przyjaciół i przy skromnéj stypie, nad grobem wyprawionéj.

W Krainie jest zwyczaj, Wołoski właściwie, że nazajutrz po pogrzebie młoda dziewczyna z rodziny zmarłego, lub w braku téj inna przez rodzinę jego najęta, roznosi wodę świeżą po domach krewnych i przyjaciół; a powtarza się to codziennie przez dni 40, jako ofiara dla pamięci zmarłego, zwana „*pomana*“. Tamże w 40-tym dniu po zgonie zmarłego odbywa się na jego cześć obchód następujący.

Kobiety kierujące tym obrzędem sporządzają chorągiewkę trójkolorową, umocowaną do łaski; osobno zaś przygotowują tykwę, którą wypróżniają po ucięciu szyjki, a włożywszy do niéj kołaczyk pszenny zamiast proskurki i nieco kwiatów i owoców, osadzają w niéj trzy zapalone świeczki woskowe. Chorągiewkę tę przodem niesie chłopczyk jaki, a za nim ta sama dziewczyna, która wodę codziennie roznosiła, postępuje z ową tykwą w ręku. Za niemi zaś idą dwie kobiety: jedna niesie garnuszek z winem i oliwą, a druga kadzielnicę z żarem i próżny garnuszek nowiutki. Cała ta malutka procesya udaje się ku jakiejbądź płynącéj wodzie. Stanąwszy nad jéj brzegiem, dziewczyna 40 razy, raz po raz, zaczerpuje wody nowym garnuszkiem i wylewa na powrót do rzeczki, którą za każdym razem uprasza, aby zaniosła dar jéj zmarłemu niedawno ojcu, bratu i t. p. i pozdrowiwszy go w imieniu żyjących, prosiła o modlitwy za nimi. Gdy dziewczyna skończy to czerpanie i wylewanie, natenczas do tykwy wstawiają oba przyniesione garnuszki, z których jeden napełniają wodą, a okadziwszy tykwę naładowaną darami, puszczają na wodę (2).

Oprócz tych osobliwszych obrzędów, właściwych rzeczonéj okolicy jednéj, daleko większe mają znaczenie i po wszystkich krajach serbskich są rozpowszechnione uczty spominkowe po zmarłych, t. j. stypy wyprawiane przez rodzinę.

Istnieją one wszędzie, z wyjątkiem, podobno, ubogiéj Czarnogóry, gdzie się one zastępują w piérwszych dniach dziesięciu przez opisane wyżéj stypy u nieboszczykowego stołu, a następnie przez całoroczną żałobę. Po serbsku uczty te zowią się „*daća*“ czyli

(1) B. Petranović. „Glasnik“. XXX. str. 352.
(2) M. Miletić. l. c. str. 202.

„podušije“ i wyprawiają się stale 4 razy w ciągu piérwszego roku po śmierci zmarłego, a mianowicie: piérwsza w tydzień po pogrzebie, druga 40-go dnia po śmierci, trzecia w pół-rocznicę, a ostatnia w rocznicę zgonu. Dniem tygodnia, poświęconym temu obchodowi jest zawsze Sobota a niekiedy Niedziela. Soboty trzymają się oni szczególnie dla drugiéj stypy, jako ze wszystkich najważniejszéj. Przyczém zwykli zawsze wybierać Sobotę poprzedzającą, ów dzień 40-ty, jeżeliby nie przypadała na ten sam dzień; nigdy zaś Sobotę następującą po nim, bo to byłoby grzechem, albowiem uczta ta, wyprawiana tutaj na cześć zmarłego, na tamtym świecie chybiłaby celu, przybywając za późno i pozostawszy „za plecami nieboszczyka.“

Pierwsza stypa, w tydzień po pogrzebie, odbywa się bardzo skromnie. W Krainie serbskiéj np. poprzestają na 40—50 kołaczach z kwaśnego ciasta pszennego, z których każdy przysypują z wierzchu kupką obwarzanéj pszenicy, zwanéj *„koljivo“* lub *„panahija“*, a w środek téj kupki wtykają świéczkę woskową. Po przybyciu popa i odprawieniu przez tegoż modłów przepisanych za duszę zmarłego, zasiadają wszyscy do stołu i pożywają owe kołacze z *koljiewem*, przygotowane dla każdego. Stoły te zastawiają zwykle nie w domu, lecz przy drodze przed domem, a zchodzi się na te uczty najwięcéj dzieci.

Najuroczystszą i najhojniejszą jest stypa, wyprawiana w 40-m dniu, a po niéj obie następne. Nie wszędzie odprawiają się one jednako, lecz wszędzie koniecznie występuje na nich wspomniane wyżéj *bydle zaduszne* i *koljivo*, nie obchodzi się téż nigdy bez wina i *zdrawic.*

Na zaduszne bydle nie zabijają nigdy kozy lub kozła, lecz tylko barana lub owcę i to nigdy czarnych, lecz tylko białe; przytém barana podają na stypę po zmarłym mężczyznie, a owcę po zmarłéj kobiécie. Na większą ucztę pada niekiedy ofiarą jałoszka lub byczek, a jak najrzadziéj nierogacizna i to tylko z konieczności, gdy innego mięsiwa dostarczyć nie podobna. Na stypy po drobnych dziatkach, około 6-tygodniowych, w niektórych okolicach, np. w Walijewskiém, za bydlę zaduszne wystarcza gołąb pieczony; w innych zaś, np. w Aleksinackim okręgu, nie dają w takich razach żadnego *„brava“*, tylko ryż gotowany.

Koljivo, dla każdéj stypy przygotowywane i ułożone na osobnéj misie wraz z proskurką oraz z wetkniętym w nie krzyżykiem i świéczką woskową, jeden z domowników niesie z rana do popa, aby je poświecił przy modlitwach za duszę zmarłego. Odprawiw-

szy te modły, pop oblewa winem przyniesione *koljiwo* i oddaje posłańcowi, a krzyżyk woskowy i świéczkę zatrzymuje dla siebie (1).

Następnie tenże sam, lub jednocześnie ktoś inny z domowników obchodzi wszystkie domy krewnych, przyjaciół i znajomych i zaprasza na stypę, mówiąc: „przyjdźcie wieczorem wspominać zmarłych.“

Stół dla stypy zastawia się przed domem na dworze. Zaproszeni schodzą się zewsząd, nawet po kilka osób z jednego domu, podczas gdy na inne uczty, np. na „*krsno ime*“, może przyjść tylko jeden z zaproszonéj rodziny. Każdego z przybywających, szczególnie krewnych i osobistych przyjaciół zmarłego spotykają zdaleka kobiety w żałobie i z rozpuszczonemi włosami, a lamentując i zawodząc rzewne *naricanja*, wprowadzają gościa do domu.

Gdy się wszyscy zgomadzą i wokoło stołu zasiędą, to przed rozpoczęciem jedzenia powstają wszyscy i głowy odkrywszy, modlą się przez chwilę, stojąc w milczeniu. Potém każdy po kolei, okadziwszy się podaną sobie kadzielnicą, bierze kilka ziarn koljiwa i pożywa je, mówiąc: „duszy zmarłego niech Bóg odpuści, a żyjącym daje żywot i zdrowie“.

Wówczas dopiero siadają wszyscy i uczta rozpoczyna się na dobre, przy któréj domownicy z odkrytemi głowami stojąc za gośćmi, posługują im i częstują najpierw gorzałką, a potém winem. Gość przyjmując nalany kubek, każdy raz powiada: „za czyją duszę mam pić, niech jéj Bóg odpuści, a żyjącym da żywot i zdrowie“.

Jeden z poważniejszych gości, a przedewszystkiém najwymowniejszy z nich, uproszony na „*dolibaszę*“ tj. na mówcę, wygłasza od czasu do czasu, przy podanym sobie puharze wina, dłuższe „*zdrawice*“ tj. przemowy na cześć zmarłego, podobne do przytoczonéj już wyżéj (str. 401), na które obecni odpowiadają chórem: „wieczna mu pamięć!“ itd. Wymową tego rodzaju, tak na stypach jak i przy innych uroczystych obchodach domowych, odznaczają się szczególnie Bośniacy i Hercegowińcy, prawdopodobnie dla tego, że do niedawna jeszcze usunięci zupełnie od obcych wpływów cywilizacyjnych, zdołali oni ustrzedz i lepiéj zachować całą uroczystość i obrzędowość pierwotną swych narodowych obchodów domowych, niż ich współrodacy Dalmaccy, Chorwaccy i Srjemscy, a nawet w wolnéj Serbii.

W wielu okolicach jest zwyczaj, że każdy z zaproszonych na stypę przynosi w worku flaszę drewnianą wina lub gorzałki, bułkę

---

(1) Według V. Karadżića, pop zaproszony na stypę, przed rozpoczęciem tejże poświęca koljiwo w domu rodziny zmarłego.

pszenną i pieczoną kurę w dniu mięsnym, w dniu postnym zaś séra w miseczce.

Gdzie ten zwyczaj istnieje, tam w drugiéj połowie uczty występuje jeden z sąsiadów przybyłych na ucztę i stanąwszy przy końcu stołu, w te słowa wygłasza dary przez każdego z gości przyniesione, które mu w owych workach po kolei podaje służba domowa: „Sąsiad nasz i przyjaciel Miłoj, przyszedłszy uspokoić duszę zmarłego brata naszego Marka, przyniósł z żałością ową bułkę i flaszę wina, które Bóg niechaj mu zwróci w radości.“

Wszyscy odpowiadają z cicha: „daj Boże!“ poczém wygłaszacz („*prikazivač*“) składa dar ten na stole, a biesiadnicy raczą się nim jeden po drugim.

Jeszcze się to składanie darów żałobnych nie ukończyło, aż tu rozpoczyna się nowa scena obrzędowa, wielce ciekawa i dramatyczna: naraz wychodzi z domu i staje przy tymże końcu stołu, gdzie się wygłaszają dary, najbliższa krewna zmarłego, tj. siostra lub matka, z rozpuszczonemi włosami, z wyrazem rozpaczliwéj boleści na twarzy i oburącz za pas się ująwszy, a głowę przechyliwszy ku jednemu ramieniu, czeka w milczeniu. Tuż za nią wszystkie inne niewiasty téjże rodziny, tj. synowe, córki i siostry ustawiają się i czekają w milczeniu i smutku.

Skoro wygłaszacz ukończył swoje, natenczas stojąca na przodzie owa *pokajnica* wraz ze swym orszakiem niewieścim puszcza się krokiem bardzo powolnym na około stołu i na cały głos żałośnie wyśpiewując, jak może najwymowniéj opłakuje zmarłego w jednym z tych rzewnych i prostych, lecz wysoce poetycznych *naricanij*, o których mówiliśmy wyżéj (str. 396).

Wszyscy z głębokim smutkiem, a wielu do łez wzruszeni, słuchają tych trenów. Aż gdy *pokajnice* parę już razy obejdą wkoło stołu téj uczty żałobnéj, jeden z poważniejszych gości, lub która kobiéta starsza kładzie koniec tym żalom, powiadając: „dość już Maryjo, dość już siostro dla Boga! Boża to wola! wszystkich nas ten koniec czeka! nie gniewajcie Boga! tym co zostali daj Bóg życie i zdrowie!“

Gdy opłakiwanie się skończy i kobiety owe odejdą, to i goście, pogwarzywszy przez czas jakiś u stołu, powstają także i rozchodzą się do domów.

Owe *naricanja*, stanowiące u Serbów jeden z głównych i najwydatniejszych aktów obrzędu pogrzebowego, wyrażają się we właściwéj, powszechnie ustalonéj formie.

Są to półśpiewy nie rymowane. Rym albowiem jest u Serbów tylko ozdobą krasomówczą, używaną jedynie w przemowach

(*„zdrawicach“*) weselnych i świątecznych; wszelkie zaś utwory poetyckie, tj. pieśni, do których i owe naricanija należą, są ściśle rytmiczne. Rytm w pieśniach serbskich jest ich szatą ulubioną i jedyną, zastępującą nietylko rym, lecz i właściwe im ubóstwo i monotonią melodyi.

W trenach pośmiertnych serbskich rytm bywa dwojaki: albo taki jak w podaném wyżej (str. 403) naricaniju bośniackiém nad grobem, tj. 10-zgłoskowy z cezurą po 4-éj zgłosce (2+2 || 2+2+2), albo 8 zgłoskowy (2+2+2+2).

Pierwszy, właściwy, jak wiadomo, pieśniom epicznym, używa się rzadziéj w trenach i to przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, daje się słyszéć tylko u Bośniaków. Jeden i drugi przytém przybiéra w tych pieśniach pośmiertnych wyraz całkiem odmienny od zwykłych pieśni i jakiś niepospolicie bolesny przez to, że po każdym wierszu; zawierającym zwykle coraz to nową myśl osobną i skończoną, wplatają się do pieśni krótkie wykrzykniki 4 zgłoskowe, złożone z jednego lub co najwięcéj z trzech krótkich wyrazów. Wykrzykniki te wyglądają prawdziwie jak gdyby westchnienia i jęki, z bólu wielkiego przerywające tok saméj pieśni żałobnéj. Porównanie to może opiéra się zresztą na faktyczném istnieniu pieśni przerywanych jękiem, jak np. następujące z okolic Risna (Rizano), podane przez Wuka Karadzića, które w przekładzie przytaczam:

1. *Matka nad synem.*

Biédnaż matka, czego ja dożyłam,
ąch, ach ach!
bym własnego syna w grób składała.
ach, ach, ach!
O tém biédna nie myślałam matka,
ach, ach, ach!
że się tego ja doczekam kiedyś,
ach, ach, ach!
Bądź pochwalon wszakże, Boże miły!
ach, ach, ach!
choć dotknąłeś mnie tym ciosem biédną,
ach, ach, ach!
Choć utratę szczęścia opłakuję
ach, ach, ach!
méj przyszłości i mojego serca!
ach, ach, ach!

2. *Siostra pocieszając matkę.*

Potrudziłam się do ciebie
siostro biédna!
boś mię srodze rozraniła
swą boleścią,
gdyś się tego doczekała
biédna bardzo!
że dziś szczęście opłakujesz
swéj przyszłości,
serdecznego serca twego,
nieszczęśliwa!
Czyż jest rana gdzie bez leku?
bolu srogi!
Każdéj ranie lek się znajdzie,
siostro biédna!
Lecz serdeczna leku nie ma,
srogi bólu!

W piérwszym z tych trenów wiersze 10-zgłoskowe przerywają się tylko jękiem samym, zastępującym niejako wyrazy, na któ-

re zdobyć się trudno osieroconéj matce; w drugim zaś 8-zgłoskowe wiersze przeplatają się wykrzyknikami, jak gdyby w połowie urwanemi.

W takiéj to formie ujęta, treść owych żalów, lubo zawsze żałobna i rzewna, różni się wszakże bądź głębokością i potęgą uczucia, które się z nich odzywa, bądź sposobem wyrażenia tych uczuć; a to zależnie od osoby zmarłego, równie jak i od daru poetyckiego téj, która ją opłakuje.

Rzadko bardzo zawierają one w epicznych wierszach 10-zgłoskowych obrazowe lub przenośne opowiadanie o zmarłym, np.

„Rozsuły się perły po kamieniach;
i rzuciła się Jokicy matka,
biédna matka wraz z żałośną lubą (1)
zbierać perły rozsute wśród głazów.
Żmija na nie wypadła z pod głazu
i wyżarła oczy im obojgu,
a Jokicę ugryzła śmiertelnie“ i t. d.

albo:

„W wiecu radzą panowie banowie
po nad brzegiem głębokiego morza:
„„Komuż mamy zdać dziś banowanie?““
Stary Joka (2) dostał laskę srebrną,
Rista żupan otrzymał zielony,
Jowie dano blachy na ramiona,
a Łukecie pozłocistą szablę,
Mit'i (3) kołpak piękny darowali,
a Jokicy czarny bajrak (4) dali,
by nim matka biédna powiewała,
biédna matka jego wraz z lubeczką (5)“
[i t. d.

Zwykle jednak w tych pieśniach żałobnych żale są zwrócone wprost do zmarłéj osoby, a wypowiedziane tak rzewnie i poetycznie, że z kilkudziesięciu pieśni, jedna od drugiéj piękniejszych, z trudnością nam przyszło wybrać na wzór parę następujących.

W Pasztrowickiéj okolicy pod Czarnogórą, nad morzem między Budwą i Burem, za czasów Wuka Karadżića śpiéwano najpiękniejsze pieśni tego rodzaju. Oto jedna z nich, śpiéwana nad świéżym grobem męża, gdy wdowie jego zawijano głowę czarną chustką (6).

Czemu ciężki ból zadałeś
młodéj swojéj kukułeczce,
któréj wiernie przysięgałeś,
że jéj nigdy nie opuścisz?
Otoś wiarę dziś jéj złamał;
oblekłeś ją dzisiaj czarno,
imie srogie jéj nadano,
srogie imie twéj wdowicy.
Gdzie usiędzie, — nie usiedzi,
gdziebądź pójdzie,—jakby nie szła,
co chce wyrzec,—mowy nie ma.—
Lecz cię błaga kukułeczka:
ach! nie rzucaj ty jéj biédnéj,
dla miłości coście mieli
i dla dziatek twych nie mądrych,
co ojczulkiem ciebie zwały.
Ale ona ma nadzieję,
w tobie i twéj głowie mądréj,

(1) Żona zmarłego. — (2) Ojciec zmarłego Jokicy. — (3) Dymitrowi.— (4) Chorągiew.—(5) Z żoną. — (6) Wuka Karadżića: „Srpske narodne Pjesme“. T. I. u Beču 1841, Str. 94. N. 154.

że jéj saméj nie opuścisz,
ni poczciwéj pracy twojéj,
którąś znoił się za życia
od dziecięcia malutkiego;
ani dziatek swych sierotek
bez porady i nauki,
bez całunków i uścisków
i bez wszego dobra twego".—

Zowice za snachą (1).

(bośniacka)

„Biadaż nam, och! snaszko ukochana!
biadaż nam, och! nasz kwiateczku strojny!
Wczoraj jeszcze kwitłaś nam w ogrodzie,
do wiązanki brałyśmy cię rade.
i twe liczko nam się rumieniło,
a dziś oto pociemniało strasznie!
Och jak ciężko młodéj ci w ciemności
młodość swoję unosić pod ziemię,
by ci liczko pod ziemicą zwiędło,
jak kwiat róży opadły na ziemię!
Nam, och, ciężko płakać tu po tobie.
a drogiému twemu żalów słuchać!
Gdy się dowié twoja matka miła.
kędyż k'tobie przyjść ma w odwiedziny
i żałobne podarunki przynieść?
Snacho nasza, kwiecie ty nasz złoty!
Czyż ci nie żal rzucać tu co drogie
i najmilsze jest ci na tym świecie?
Czyż ci nie żal?—Biédnaż matka twoja!"

Córki za matką.

(bośniacka)

Biadaż matko! biada nam kukułko!
biada ptaszko, nasza ty jaskółko.
Czemuż gniazda swego odleciałaś,
opuściwszy swe pisklęta drobne?
Z kim ptaszęta twe dziś latać będą,
przy kim dziatki twoje pozostaną?
któż dziecięta twoje wabić będzie,
któż je teraz popieści, matulu?
Och biada nam matko, jaskółeczko,
och biada nam kukułeczko siwa!
Dokądkolwiek odchodziłaś matko,
zawsześ wcześnie wracała do dzieci
i z radością je przywoływałaś
i na łonie przytuliła białém.
A dziś nie ma komu iść przywołać,
bo ci usta zaniemiały matko!
Biada matko, kukułeczko siwa!
Tyś odeszła i nas opuściłaś
i już nigdy do nas nie powrócisz,
upominki niosąc i pieszczoty.
Biadaż matko, żalu nasz niezmierny!
Biada twoim synkom nieżonatym
i twym młodym córkom niewydanym.
Któż wyprawne stroje im posprawia,
któż je, matko, za mąż powydaje,
i kto do nich w odwiedziny pójdzie?
Gdym się zakląć miała, to na matkę:
by tak żyła mi i mnie wołała,
by tak strzegła i rozkazywała.
A dziś nie ma komu spojrzéć na mnie,
ni zawołać, ani mi rozkazać!
Świeciło mi słonko, a dziś zgasło,
matkę miałam, lecz mi dziś odeszła.
Biadaż matko, kukułeczko siwa!
Za co żeś się zagniewała na nas,
że nas biédne porzuciłaś same?
Czy powrócisz ty matulu do nas,
czy téż nas na wieki opuściłaś?
Czyż ci nie żal nas, sierotek biednych,
co dziś płaczem i łzy wylewamy?
Pomne na cię córki twe wydane
przyjdą tutaj rozweselać ciebie,
lecz już w domu cię nie znajdą, matko!
Któż bez ciebie córki twe powita,
Kto tu gwarzyć z niemi będzie, matko?
Przyjdą one opłakiwać ciebie.

---

(1) Siostry mężowskie za bratową.

I twój wieczny żywot tam, matulu,
i sieroctwo nasze tu po tobie.

Któż tu do nas odezwie się, matko
zamiast ciebie i z miłością twoją?

Na zakończenie, oto jeszcze jedno *naricanije*, najpiękniejsze ze wszystkich mi znanych, a którém synowa opłakiwała świekra swego, bogatego 80-letniego kmiecia z Banjany, w dawnéj Hercogowinie, a dziś w Czarnogórze. Podał je Wuk Wérczewić, jako pochodzące z roku około 1814, a słyszane przez niegoż za młodu w Risnie.

„W jakąż drogę to odszedłeś,
świekrze banie?
taki krzepki i wspaniały,
biednaż snacho!
taki strojny i orężny,
rozpacz moja!
jako orzeł na swych skrzydłach
orle ojcze!
Czy do cerkwi między braci,
braci chlubo!
czy do wiecu między kmiecie,
wodzu kmiecy!
gdzie śmiertelne krzywdy sądzą,
domu głowo!
między rody skrwawionemi?
mój junacze!
Czy do baszy na układy?
chwało braci!
czy pod namiot do wezyra
głowo mądra!
czy na senat do Cetynji
rado moja?
Czy do swatów za starszyznę?
swatów chlubo.
Czemuś zamilkł, nie przemówisz?
świekrze bracie!
Na co ręce skrzyżowałeś
mój mołojcze!
Czemuś czarne oczy zamknął,
oczu świetło!
wąsy ciemne na dół zwiesił,
ludzka chlubo!
i miodowe usta zawarł?
głowo mądra!
Czyś się na mnie tak zagniewał?
biadaż moja!
Ni mnie karcisz, ni miłujesz?
za co świekrze!
Strach mnie srogi zdjął o ciebie,
dniu mój smutny!
byś ty od nas nie odeszedł
gdzieś daleko!
w drogę ciężką bez powrotu,
biednyż dom twój!
kędy szczęście większe znajdziesz,
dobry ojcze!
braci sławnych i rodaków,
a nam pusto!
wojewodów i serdarów,
szczęście dla nich!
Będą witać cię i ściskać,
ojcze drogi!
o nas żywych rozpytywać,
ludzi biédnych!
jak żyjemy tu z Turkami?
ze wrogami?
Ja cię tylko błagam ojcze,
nieszczęśliwa!
nie zabawiaj się tam długo,
orle świekrze!
Uderz w skrzydła, trząśnij siłą,
domie silny!
Otrząśnij się z prochu ziemi,
prędzéj świekrze!
jako sokół z rannéj rosy,
mój sokole!
powróć do nas i rozraduj,
gdzieś mi zniknął?
i pokochaj nas lub pokarć
mój witeziu!
i obejmij nas i popieść!
ukochany!

---

(1) V. Vrčević. l. c. str. 272—73.

Jak to tobie już zwyczajne,
och, my biedni!
będzie komu cię powitać,
będzie ojcze!
i o zdrowie cię rozpytać—
nam sierotom!
Któż twym domem rządzić będzie?
mój ty panie!
kto krainie przewodniczyć?
braciom skrzydło!
kto nam młodzież w bój powiedzie?
mój junaku!
kto od Turka nas obroni,
raję biedną!
z ostrą szablą w mężnéj dłoni.
mieczu ostry!
i zagrzewać młodych będzie?
orle ojcze!
. . . .
. . . .





NAD HORYNIEM,

POWIEŚĆ. (*)

Adam i panna Helena prowadzili dość ożywioną rozmowę, w którój ona wygłaszała tak śmiałe przekonania, że on był zdziwiony, słysząc je z ust kobiéty téj sfery. Rozpytywała się też z takiém zajęciem o sposób wykładania nauk w instytucie ukończonym przez Adama, o poglądy i nastrój ducha studentów, że Adam zauważył z uśmiechem:

— Przypuszczam, że nie wiedząc o tém, miałem wśród kolegów kogoś, kim się pani mocno interesuje?

— Wiecznie to samo!—zawołała żywo.—Nigdyż nie będziecie nas panowie uważać za ludzi, tylko zawsze za kobiéty, w średniowieczném znaczeniu tego słowa? Więc książka naprzykład, o tyle tylko może zwrócić moję uwagę, o ile ładny chłopiec przewraca jéj kartki? Więc mogę, nawet podług pana, zainteresować się zakładem naukowym, pojęciami i celami młodzieży, tylko jako rozgruchana synogarlica, widząca w którym z pionierów przyszłości jedynie ładny wąsik i czułe oczy?

— Daruje mi pani, żem mówił do niéj jak do każdéj innéj, nie wiedząc o tém, że należy pani do wyjątków. Nie dostrzegłem żadnéj powierzchownéj wskazówki, któraby mi pozwoliła domyślać się tego.

— Ach! zapewne nazywasz pan powierzchownemi wskazówkami objawianie pretensyi do męzkości umysłu przez noszenie okularów, palenie cygar, lub strzyżenie włosów? Są to już dzisiaj wskazówki tylko nieuzasadnionych pretensyi w tym względzie. Kobiéta zrozumiała już przecie, że nie cechy zewnętrzne zrównają ją z mężczyzną, że równouprawnienie leży nie w ubraniu lecz w myśli i w czynach. Ja ubieram się, jak pan widzisz, ciemno i skromnie,

(1) Ob. „Ateneum", zeszyt sierpniowy, str. 202—235.

bo gardzę próżnością i kokieteryą, ale nie widzę potrzeby psucia sobie płuc dymem, wzroku szkłami, i obcinania warkocza, który mi nie zawadza.

Mówiąc to, wstrząsnęła głową, a gruby splot czarnych włosów, niedbale spięty dużą srebrną strzałą, osunął się na ramiona, do pasa.

Adam uśmiechnął się na tę zalotność w czynie, idącą bezpośrednio po potępieniu jéj słowami, lecz rzekł grzecznie.

— Rzeczywiście, że obcięcie takiego warkocza byłoby czarną niewdzięcznością względem hojności natury. Więc pani należy do kobiét dążących do równouprawnienia, bez wyrzeczenia się kobiecości?

— Owszem; wyrzekam się kobiécości takiéj, jak ją dotąd pojmowano. Miękkość uczuć, subtelność wysłowienia, przyozdabianie postaci, i wszystko, co się składa na tak zwany wdzięk niewieści,—to drobnostki niegodne zajmować poważniejszego umysłu, którego celem—nie pociąganie głupców komedyą jakiejś anielskości, lecz wywalczenie sobie niezależności, stanowiska i praw człowieka.

Adam spojrzał na uwieszoną u jego ramienia małą osóbkę, ciskającą wielkie frazesy, i przyszło mu na myśl, że to, co ona nazywa pogardliwie komedyą anielskości, jest przecież milszém dla oka najpozytywniejszego nawet mężczyzny, niż popisywanie się traktowaniem z wysoka tych słabości, stanowiących siłę kobiéty. Twarz panny Heleny była doskonałą ilustracyą jéj słów: ciemna cera, ostry nos, wązkie usta szerokie brwi czarne, złączone nad bystremi siwemi oczyma, składały się na całość nawet wcale nie brzydką, lecz zupełnie pozbawioną miękkości, słodyczy i wdzięku. Zrobiwszy tę uwagę, Adam był w kłopocie jak daléj prowadzić rozpoczętą rozmowę. Przeczyć nie mógł z zasady, potwierdzać jakoś nie miał ochoty. Rzekł więc wymijająco:

— Żałuję, że za mało jestem z panią znajomy, abym mógł bez niedyskrecyi zapytać, jakie to stanowisko i w jaki mianowicie sposób pani zamierza sobie wywalczyć?

— Do czego te czcze formułki o niedyskrecyi?—odpowiedziała. Jesteśmy już dobrymi znajomymi, bo nas łączy wspólność przekonań; możemy więc zwierzać się sobie jak koledzy.

— Jeśli tak, to i owszem; a więc bez formułek, ponieważ jestem do tego upoważniony, zapytuję koleżkę o jego zamiary i cele?

— Nim opowiem panu moje na przyszłość zamiary muszę pierwéj przeszłość opowiedziéć otwarcie. Ludzie nazywają mię skrytą, a nie wiedzą, że dlatego tylko nie wywnętrzam się przed nimi, że

mię nie zrozumieją. Z panem będę szczerą, bo lubię podzielić się myślą z kimś, co jéj sobie fałszywie nie wytłómaczy.

— Dziękuję za zaufanie i słucham pilnie.

— Moja przeszłość była niewesoła wcale. Ojciec mój stracił powiększony swoją pracą majątek żony, która wychodząc za niego, zrobiła to, co jéj krewni ze zgrozą nazywali mezaliansem. Owdowiawszy, moja matka traciła resztki dawnéj zamożności na moje wychowanie, pojmowane na swój sposób. Poséłała mnie na francuską pensyę, stroiła i psuła, zamiast nauczyć jakiéj specyalności, któraby mi mogła przyszły byt zapewnić. To też po jéj śmierci zostałam z niczém i do niczego, i musiałam przyjąć opiekę jéj krewnych, którzy przez dumę nie pozwolili kuzynce swojéj szukać przytułku u obcych; lecz i ja miałam swoją dumę, więc nie chciałam jeść ich chleba darmo, tylko umówiłam się jako panna do towarzystwa ciotki. Gorzki to przecież chléb, taka synekura pracy, bez jasno określonych obowiązków i zajęć. Sprzedawszy myśl, czas i humor na czyjąś rozrywkę, bawić nudnych i znudzonych, śmiać się gdy ciężko na sercu, rozmawiać z musu, nie mieć nigdy siebie dla siebie, lecz zawsze dla kogoś, znosić z uśmiechem chłodną grzeczność i uprzejme lekceważenie, być zerem które miejsce zajmuje ale nic nie znaczy, i w takich warunkach zachowywać zawsze wesołe usposobienie, bo przecież za to płacą—to los panny do towarzystwa. Buntowałam się też wewnątrz przeciw takiemu losowi, trułam się żółcią, obmyślałam środki wyjścia z nieznośnego położenia, i nic praktycznego wymyśléć nie mogłam. Aż znalazła się ludzka istota, która mię odgadła, zrozumiała, i wskazała drogę do wyjścia. Był to korepetytor moich kuzynków, student uniwersytetu. Od niego dowiedziałam się, że jestem człowiekiem, że mogę mieć byt niezależny i męzkie stanowisko w społeczeństwie, że do jakich zechcę rezultatów dojdę własną tylko wolą, za pomocą wytrwałéj pracy i poważnéj nauki. Przynosił mi książki, które pochłaniałam nocami, tłómaczył je doskonale, odbierał mi jedne po drugich przesądy, mrzonki, złudzenia, aż przejrzałam i stanęłam do walki o byt z materyą i siłą. Wtedy-to postanowiłam silnie zbierać choćby przez całe lata zasoby, tak intelektualne jak materyalne, aby módz wyjechać na kursa zagranicę, a ukończywszy je, mieć chléb, dach własny i stanowisko w społeczeństwie.

— I zrobiwszy to postanowienie, przyjechała pani do Horyniec?

— Jedno drugiemu nie przeszkadza,—przeciwnie; w Horyńcach mam wszelkie ułatwienia do odpowiedniego przygotowywania się.

— Jakże przyszło do tego, że pani zmieniła miejsce pobytu?

— W przeszłym roku odwiedziła moich krewnych nasza wspólna kuzynka Nina. Ja wtedy byłam w najsmutniejszém może stadyum mego nie wesołego życia; zawiodłam się na jedyném sercu ludzkiém, które mi prawdziwą życzliwość okazywało, studya moje stały się trudniejszemi odkąd musiałam je prowadzić bez przewodnika, a ciotka okazywała mi coraz większe niezadowolenie z moich, jak mówiła, niemożliwych pojęć i zuchwałych zdań. Nina jest romantyczna i ciekawa; zajmuje ją żywo wszystko, co nowe i niezwyczajne. Przylgnęła więc do mnie i starała się pozyskać moje zaufanie, poczém zapaliła się do moich planów i ofiarowała mi swą pomoc do ich wykonania. Ponieważ nie chciałam przyjąć nic darmo, zaproponowała mi u siebie miejsce sekretarza i lektorki, z oznaczeniem godzin zajęcia, tak abym bez skrupułu mogła wolny czas poświęcać studyom, w czém biblioteka hrabiego i światłe jego rady miały mi być pomocą. I tak już rok mija, jak tu jestem, a zapas tak wiadomości jak finansów moich niedługo będzie już dostatecznym dla spełnienia moich zamiarów, jeśli im co nadzwyczajnego nie przeszkodzi.

— Zbywasz pani ogólnikowo swój pobyt tutaj. Czy dawne przykrości w stosunkach towarzyskich tu już się nie powtórzyły?

— Ponieważ ludzie tu, jak wszędzie, są w znacznéj większości źli i głupi, więc spotkałam się jeszcze nieraz z pychą i lekceważeniem; ale przynajmniéj nie potrzebowałam znosić tego od domowych .

— Pozwól mi pani być szczerym.

— Zdaje się, że dostatecznie wyzywam pana na to przykładem.

— Pani postępowe dążności nie przeniknęły jeszcze téj sfery towarzyskiéj, która z dumy, z zasady i z lenistwa jest ultrazachowawczą; czy wygłaszanie przekonań, fanatycznie przez nich potępianych, nie stawia pani w kolizyi właśnie z osobami, z któremi pani ciągle przebywa?

— Te należą do nielicznych wyjątków. Hrabia Janusz, to umysł wyższy, człowiek z inteligencyą i wykształceniem, dyletant-myśliciel i amator-literat. Przez nałóg wychowaniem nabyty, trzyma się on niby jeszcze niektórych form przestarzałych, lecz to tylko powierzchownie, w gruncie zaś sympatzuje z wielu nowemi ideami, dla wszystkich zaś ma nieograniczoną tolerancyą.

— A pani Nina?

— Och! Nina to ciekawska, która kosztuje łakomie każdéj nowości, jak dzieciak skradzionych matce konfitur, i tém większy

ma apetyt na zakazane owoce, im surowiéj się jéj zakazanemi być zdają. Dla niéj wszystko niczém, byle się chwilkę czémś nowém zabawić. Nieraz w poważném gronie zacofańców wyprowadza mię sama na dysputy z nimi, aby się uśmiać ze zgrozy dewotek i oburzenia księdza kanonika, przed którym potém bije się w piersi w konfesyonale. Jak u jéj męża głębokość myśli, tak u niéj właśnie lekkomyślność jest źródłem tolerancyi.

— Zostaje jeszcze panna Marya.

— Maryjka patrzy na wszystko, co się sprzeciwia wyznawanym przez nią zasadom, z pewną dumną i pogardliwą litością, którą nazywa chrześciańskiém pobłażaniem. To harda i uparta dziewczyna.

— Powiédz mi pani, jakie właściwie stanowisko zajmuje tutaj ta panna Maryjka? Nie znając dotąd tych pań, nie miałem ciekawości wypytywać się o nie, i wiem tylko od mojéj gospodyni, że „grafinia“ ma przy sobie młodą wychowankę, którą bardzo kocha. Ta opieka hrabiny musi miéć swoję historyę, którą radbym teraz wiedziéć.

— Mogę panu opowiedziéć co o tém słyszałam nietylko od postronnych, ale nawet od saméj Maryjki, która mówi o swojém pochodzeniu z pewnym naciskiem, dla pokazania, że się go nie wstydzi. Ojciec Niny, sprzedając jakieś ukraińskie dobra, wyekscypował sobie kilka ulubionych koni, i ulubionego kozaka, którego specyalnością było ujeżdżanie dzikich tabuńczyków z pańskiego stada. Kozak, przesiedlony z żoną tutaj, do Horyniec, nie miał zajęcia, bo stada nie było, więc pan zrobił z niego inny użytek i mianował go dworskim kowalem. Chłop nie miał pojęcia o rzemiośle, ale był silny i zręczny, a pańska wola wiele może, więc wyuczył się czego trzeba, i kuł żelazo dla dworu do uwolnienia włościan, a po uwolnieniu na własny zarobek, nie myśląc już o powrocie w rodzinne stepy, bo zżył się z nowém zajęciem, nową stroną, i odtęsknił od Ukrainy, skupiając całe swoje serce kozacze w kołysce Maryjki. Ale nim ta rok skończyła, przyszła jakaś epidemia i zabrała kozaka i jego żonę. Dziedziczka, która z małą Niną mieszkała, owdowiawszy, zagranicą, była właśnie tego lata u siebie, w Horyńcach, i zaopiekowała się sierotką; oddała ją na wykarmienie wiejskiéj kobiécie mającéj dziecko w tym samym wieku, z zamiarem wzięcia małéj, gdy podrośnie do garderoby. Kiedy Nina wyszła za mąż, matka, oddając jéj Horyńce, przypomniała sobie zobowiązanie zaciągnięte względem sieroty, i poleciła ją opiece córki. Nina kazała sobie przyprowadzić dziewczynkę, już wtedy prawie dziesięcioletnią, podobno niebrzydką i roztropną, i swoim zwyczajem, zachwy-

ciła się nią, rozentuzyazmowała i postanowiła ten dyament oszlifować salonową edukacyą. Po paru latach umarła maleńka córeczka Niny, po któréj rozpaczała z całą właściwą sobie egzaltacyą, i całą tę egzaltacyę w kierunku uczuć macierzyńskich zwróciła do Maryjki, dając jéj najświetniejsze jakie być mogło wychowanie, którém zainteresował się także hrabia Janusz, w skutek czego przybrało poważny kierunek. Pod tym wpływem Maryjka rzeczywiście wiele skorzystała intelektualnie, a pomimo pieszczot i zbytku wyrosła na energiczną kozaczą naturę, i z czasem tak zawojowała Ninę, jak to najczęściéj bywa w stosunku silnych charakterów ze słabemi. Zdaje się, że dziś Nina oddałaby za nią nietylko swój błękitny buduarek, ale nawet swego eleganckiego Henryczka.

— Henryczka? jakto?

— Jakżeś pan niedomyślny!

— Czémże jest pan Henryk dla pani Niny?

— Czém? przecież to widoczne... Ale to prawda, że mężczyzni częściéj patrzą a nie widzą, niż kobiéty słyszą a nie rozumieją.

— I to stosunek ścisły?

— O ile, nie wiem... wieczna obłuda konwenansu nie daje zbadać rzeczy dokładnie. Zresztą, nie pierwsza to i nie ostatnia fantazya kokietki. Nina jest kapryśném dzieckiem, które coraz nowego pajaca do zabawy potrzebuje.

Panna Helena, mówiąc o sobie i o Ninie, zręcznie wykazywała różnicę dwóch typów kobiécych, uwydatniając niby nieumyślnie wyższość kobiéty-człowieka, nad kobiétą-dzieckiem, i nie wątpiąc, że pozytywny i postępowy mężczyzna uczci w niéj poważnego członka społeczeństwa a pogardzi tamtą bezużyteczną zabawką. I loicznie takby być powinno, bo Adam podzielał zupełnie przekonania panny Heleny w teoryi. Ale w praktyce... W praktyce odwrócił właśnie głowę od dzielnéj pionierki postępu, wspartéj na jego ramieniu, aby ścigać oczami wiotką postać jasną, która tam przed nim na zakręcie ulicy wynurzyła się z klombu drzew jakby urocze nocne widziadło... Adam mówił sobie w duchu, patrząc na nią, że ta wietrzna istota jest bardziéj puchem łabędzim, skrzydełkiem motylém, egzotycznym kwiatkiem lub barwnym kolibrem niż człowiekiem, i mówił to sobie zupełnie szczerze; a jednak... jednak śledził wzrokiem biały szal Niny z tak żywém zajęciem i upodobaniem, że zapomniał zupełnie o idącéj przy nim Helenie, która przecież o tyle lepiéj wyobrażała uznawany przez niego typ kobiéty przyszłości.

Tacyście wy zawsze, moi panowie! nam tylko niekonsekwencyę zarzucacie a sami... Wśród milczenia, które zapanowało pomię-

dzy tą parą, do uszu panny Heleny doleciało kilka wyrazów z rozmowy, którą prowadziła druga para idąca o kilkanaście kroków naprzód. Janusz opowiadał właśnie Maryjce swoję przeszłość, a Helena łowiła pilnie ostrym swym słuchem oderwane frazesy ich rozmowy, ale jednocześnie chciała od niéj odwrócić uwagę swego towarzysza. Zadała mu więc jakieś pytanie, wymagające dłuższéj odpowiedzi, potém drugie i trzecie, i udawała, że go pilnie słucha, rzeczywiście zwracając całą swą uwagę na inny przedmiot. Gdy idący naprzód umilkli, ona także przestała rzucać pytania, Adam nie podtrzymywał téż rozmowy, i tak wszystkie trzy pary milczały zamyślone, zszedłszy się na tarasie przed werendą. Wtedy dopiéro dźwięczny głosik Niny przerwał ogólną ciszę, oznajmiając, że łaskawa kasztelanka najmiłościwiéj dozwalać raczy, aby wszyscy, widocznie już znużeni, udali się po poniesionych trudach na zasłużony wypoczynek. Zamieniono życzenia dobréj nocy; hrabia podając rękę Adamowi, obiecał mu na jutro swoje odwiedziny, a hrabina dodała uprzejmą prośbę, aby jako młodszy nie liczył się na wizyty z jéj mężem, i chciał pamiętać, że zawsze będzie u nich miłym gościem. Poczém panie oddaliły się każda do swoich apartamentów, a goście każdy w swoję drogę.

Henryk, rozparty na poduszkach szykownego powoziku, unoszonego szybko przez dwa rasowe szpaki, ogryzał z nerwowém rozdrażnieniem cygaro hawańskie, gonił roztargnionym wzrokiem ulatujące chmurki błękitnawego dymu... i myślał o Ninie.

Adam szedł szybkim równym krokiem po ścieżce wijącéj się łąkami, patrzył uważnie przed siebie, aby nie zbłądzić na tych przestrzeniach, z których nocne opary i światło księżyca zrobiły jednostajne jezioro srebrzystego tumanu, prętem wyłamanym w parku strącał kryształowe paciorki z pochylonych główek śpiącego złocienia... i myślał o Ninie.

Hrabia Janusz został jeszcze na werendzie, aby wypalić papieros na świeżém powietrzu. Ten nie myślał o Ninie—była już dość dawno jego żoną, aby miał czas wszystko przemyśléć o niéj. Ale myśli jego nie były miłe, bo chodził czas jakiś niezwykłym u niego przyśpieszonym krokiem, a potém rzuciwszy się na kanapkę pod dzikiem winem, potarł czoło niecierpliwie i mruknął do siebie:

— Znalazłem się głupio, a może... może nikczemnie... Uczciwość—niby rzecz względna—*et pourtant*...

Zsunął brwi i zamilkł. Wzdłuż werendy szła prosto ku niemu cichym, elastycznym krokiem kotki panna Helena. Owinięta w biały podwłośnik, z odpiętym warkoczem, który jak czarny wąż prze-

wijał się jéj przez ramię, stanęła przed nim i rzekła przyciszonym lecz dobitnym głosem:

— Wiész, że z tobą trzymam się zawsze systemu otwartości; przyszłam więc powiedziéć ci bez ogródek, że postępujesz jak człowiek bez sumienia.

Janusz zaśmiał się ironicznym swoim śmiechem.

— Cóż to nowego?—zapytał;—zkąd raptem w dykcyonarzu twoim wyraz sumienie? Wierzysz w przyrodzone popędy i determinizm, a przychodzisz z jakiémś kazaniem o sumieniu..... kobiéca loika!

— Łapiesz za słowo, więc je zmieniam: zamiast bez sumienia powiédzmy: bez honoru.

— Druga, równie ścisła konsekwencya... Cóż to honor? jeden ze zwietrzałych feudalnych przesądów, który nie znajduje swojéj racyi bytu w żadném z praw natury!

— Bawisz się w obracanie przeciw mnie zdań moich, kiedy ja chcę poważnie rozmówić się z tobą. Dawno już szukam sposobności po temu.

— Uważałem to, i właśnie unikałem téj rozmowy, spodziewając się, że będziesz domyślną i oszczędzisz mnie i sobie niepotrzebnego poruszania drażliwéj kwestyi.

— Nie byłam domyślną... długo kładłam twoje zobojętnienie na karb jakiegoś ataku splinu czy złego humoru tylko; ale dziś wiem już czego się trzymać, bo słyszałam w parku twoję rozmowę z Maryjką.

Janusz wyprostował się nagle.

— Moję rozmowę z Maryjką?...

— Słyszałam coś jéj mówił, kiedy odpowiedziała, że cię nie rozumié. O! ja zrozumiałam...

Janusz z żywém niezadowoleniem cisnął daleko niedopalony papieros, i milczał, namyślając się co powiedziéć.

— Zaprzeczyć nie możesz,—ciągnęła daléj Helena, bo toby się na nic nie zdało, ponieważ słyszałam wszystko sama. Więc proszę cię, bądź szczerym i powiédz, z którą z nas dwóch grasz komedyę?

— Chyba nie gram z tobą komedyi miłości, kiedy przed chwilą zarzucałaś mi zobojętnienie.

— Więc powiédz otwarcie, że już mię nie kochasz!

— Będę otwartym, ale ty bądź rozsądną, i skończmy z sobą *à l'amiable*, jak dwoje rozumnych ludzi, a nie para gruchających turkawek.

Wziął ją za rękę i posadził obok siebie.

— Zanalizujmy nasz stosunek poważnie głową nie sercem, jak na nas oboje przystało. Wiész dobrze, że nie myślałem nigdy bawić się z tobą w Don-Juana. Czytywałem z tobą, rozmawiałem chętnie, bo mię zainteresowała twoja oryginalna inteligencya; ale musisz przyznać, że w rozmowach z tobą nigdy pierwszy nie wyszedłem po za sferę kwestyi czysto naukowych, że w inną sferę wprowadziłaś mię sama. Chcesz otwartości, więc wybacz co powiem: z twojém uczuciem narzuciłaś mi się sama. Pamiętasz zapewne, jak z początku stanąłem nawet względem ciebie w roli niewinnego Józefa, i jak mi wtedy dowodziłaś, że to z mojéj strony śmieszne i przesadzone pojęcie honoru, że ty nie jesteś naiwną gąską, a ja wyzyskującym jéj niewiadomość uwodzicielem, że uznając siłę wrodzonych skłonności a potępiając przesądy, byłoby grubą niekonsekwencyą poświęcać pierwsze dla drugich. Twoje materyalistyczne poglądy nie byłyby mię może przekonały, ponieważ na każdy system patrzę ze sceptyczną niepewnością, gdyby nie to, że jednocześnie z rozumowaniem, działałaś wrażeniami, elektryzując wytrwale i systematycznie moje zobojętniałe nerwy—tak też w końcu rozbudziłaś we mnie cośkolwiek z dawnego temperamentu, i—pocałowałem cię po raz pierwszy. Nie wiem, czym dobrze czy źle postąpił, ulegając pokusie. Zapewne dobrze, jeśli życie jest głupią farsą, z któréj nic lepszego nad krótką chwilę przyjemności wycisnąć się nie da; może zaś źle, *jeżeli*... ale to *jeżeli* zawiodłoby nas za daleko od rozbieranéj tezy; więc przypomnę ci jeszcze, żem nie udawał przed tobą Donkiszota z Lamanszy; bez żadnych romantycznych komedyi wyznałem ci, że nie czuję dla ciebie nic silniejszego nad pociąg chwilowy, a gdyś mi odpowiedziała, że ci to wystarcza na początek, nie obiecywałem nawet innego końca.

— Milczeniem upoważniłeś właśnie nadzieję.

— Nadzieję czego? Nie chodziło ci o rozbudzenie we mnie z czasem głębszego uczucia tylko dla zadowolenia swego serca, bo—ja znam kobiéty—nie czułaś i ty dla mnie nic silniejszego nad przelotną skłonność; więc chyba chciałaś doprowadzić do rozwodu i małżeństwa? Wolę nie posądzać twego trzeźwego umysłu o taką próżną mrzonkę... Cóżbym zyskał na zamianie?

Blada twarz Heleny oblała się ciemną purpurą. Nie była to natura tak delikatna, żeby nawet niesłuszne posądzenie biło jéj krwią do głowy; musiał więc trafić na prawdę. Naturalnie przecież zaprotestowała żywo:

— Co za niegodne przypuszczenie!

— Dlaczego?—odparł. Walka o byt—*ôte-toi, que je m'y mette*... byłby to czyn konsekwentnie wychodzący z zasad.

— Więc ostatecznie wynika—rzekła, odwracając rozmowę od drażliwego tematu,—że w całéj téj historyi zachowałeś się bardzo delikatnie i honorowo?

— W każdym razie, bardziéj niż przyznajesz, bo prawie każdy mężczyzna na mojém miejscu wyzyskałby sytuacyę w zupełności i zaprowadził cię daleko daléj niż ja...

Helena zaczerwieniła się znowu rozgniewana i zerwała się, chcąc odejść; lecz on zmusił ją, aby usiadła, i rzekł, dotknąwszy ustami jéj ręki:

— *Pardon, ma chère*; wierz mi, żem nie chciał obrazić cię. Proszę cię, nie unoś się, i pozwól sobie wytłómaczyć, że w moich słowach nie było złośliwéj intencyi. Nie wyraziłbym się w ten sposób do żadnéj przeciętnéj panienki, ponieważ ubliża się kobiecie, posądzając ją o możność odstąpienia od zasad, które uznaje; do ciebie zaś mówię inaczéj, bo twój kodeks moralności jest przecież odrębny. Jeżeli przypuszczam, że moja, nie twoja, wola zatrzymała cię na pochyłości, to dlatego, że nie wiem w imię czego miałabyś się krępować; chyba nie w imię praw przyrodzonych i nieograniczonéj wolności osobistéj? Nie gniewaj się więc na mnie, i skończmy z sobą zgodnie.

— Uważasz zatém za wysoką wspaniałomyślność wyrządzić komu pół krzywdy, zamiast całéj krzywdy?—odparła. Cobyś jednak powiedział, gdyby kto pochwalił się przed tobą, że zabawił się tylko darciem pasów ze swojéj ofiary, wtedy gdy mógłby był nawet ściąć jéj głowę?

— Porównanie byłoby trafném, gdyby darcie pasów miało miejsce, to jest, gdybym rozkochał biedną dziewczynę, pobawił się i porzucił, a potém chwalił się swoją szlachetnością, że jéj tylko szczęście zabrałem, gdy mogłoby być gorzéj. Wiész jednak dobrze, że między nami nie tak się rzeczy miały. Nie starałem się wcale o pozyskanie twego serca, nie bałamuciłem cię, lecz tyś mię bałamuciła, a to zupełnie zmienia kwestyę.

— Dajmy na to, że mnie nie potrzebowałeś bałamucić; ale mię nie przekonasz, żebyś był do tego nie zdolny, ponieważ wiem, co mówiłeś dziś Maryjce. Chyba powiész, że i ona pociąga cię wbrew twéj woli?

Janusz poruszył się niecierpliwie.

— Proszę cię,—rzekł żywo, daj pokój Maryjce: chyba ty nawet nie możesz zarzucić jéj kokieteryi; jeśli ją pokochałem, nie jéj w tém wina, lecz twoja.

— Moja? to przynajmniéj pomysł oryginalny!

— Wiele rzeczy dziwacznie się wydaje, jeśli sądzimy z pozoru; lecz sięgnąwszy głębiéj, trzeba przyznać nieraz, że w gruncie jest loiczném to, co się powierzchownie inaczéj wydaje. Maryjkę lubiłem zawsze, jak ją wszyscy lubią, ale nie miałem dla niéj żywszego uczucia nad zwyczajną sympatyę, bo gdy dorosła, byłem już na wszystko zobojętniały, a przytém miałem jeszcze niektóre, jak je nazywasz, przesądy moralne. Dopiero ty rozbudziłaś we mnie resztki zastygłych namiętności i zachwiałaś ostatki moralnego instynktu, działając na mnie jednocześnie wrażeniami i rozumowaniem. Pojęcia etyczne i znieczulone nerwy były tamą, odgradzającą moje serce od jedynéj znanéj mi kobiéty, która jest godną miłości; gdy na tamę uderzył prąd przeciwny,—upadła, i pokochałem... Tak,—dodał po chwili, patrząc na nią z wyrzutem;—jest w tém część twojéj winy, że dziś wieczorem, wziąwszy objaw jéj współczucia za żywsze uczucie, straciłem panowanie nad sobą pod wrażeniem chwili i przemówiłem do niéj tak, jak nie mówi do uczciwéj kobiéty człowiek uczciwy!...

— Biédna, słaba istota!—rzekła z ironią.

— Tak,—mówił jakby sam do siebie, cisnąc skronie splecionemi rękami.—Biedna, słaba, nędzna istota!... istota, która nie wzięła ze krwi energii męzkiéj, z wychowania hartu ducha, którą życie osłabiło, zdenerwowało, wypaczyło do reszty i została trzcina słaniająca się za lada podmuchem po błocie—z tą różnicą, że głupia roślina nic nie rozumié, a mądry człowiek sam na sobie robi wiwisekcyę, aby odkryć raka we wnętrznościach, i nie módz go wyciąć... Masz słuszność!—dodał, podnosząc głowę; jestem człowiekiem bez honoru i sumienia...

Jeśli on nie miał męzkiego hartu, ona nie miała kobiécego serca; nie wzruszyła ją najstraszniejsza z rozpaczy—rozpacz człowieka bezsilnego przeciw samemu sobie, i rzekła oschle:

— Tém lepiéj dla ciebie tym razem; będziesz mógł zejść z nią po owéj pochyłości, na któréj mnie miał niby twój honor zatrzymać.

Janusz zerwał się z miejsca.

— Nie mów o tém, czego nie rozumiész!—zawołał gwałtownie. Nie masz prawa sądzić jéj po sobie ani równać mego uczucia dla niéj z pociągiem, jaki miałem dla ciebie! Ty jesteś biegłym fizyologiem, ale psychologia przechodzi twoję kompetencyę: tyś nie zdolna pojąć miłości nie ze krwi, ale z ducha... a ja ci powiadam, że jeśli taką jak ona kobiétę pokocha nawet zepsuty do szpiku kości mężczyzna, to miłość jego jest czystą jak łza pokutnika!

— Więc czegoż ty chcesz od niéj?—zapytała patrząc z zadziwieniem na niezwykłe u niego uniesienie.

Janusz ochłonął i odrzekł powoli, jakby wahając się.

— Czego ja chcę od niéj?... doprawdy, sam nie wiem... ja już nietylko chciéć nie umiem, ale nie umiem nawet wiedziéć czego chcę... może chcę, żeby była moją Beatryczą... Ale ty tego nie rozumiész...

Helena wstała i skrzywiła usta sarkastycznym uśmiechem.

— Rzeczywiście—rzekła—twoje słowa za mądre są dla mego ciasnego umysłu; więc nie masz potrzeby mówić ze mną dłużéj... Dobranoc panu!

Ukłoniła mu się ceremonialnie, lecz on ją przytrzymał za ręce.

— Zaczekaj chwilę... o! proszę cię — mówił błagalnie i smutno—nie rozstawajmy się jak wrogi... przebacz mi, Helusiu, jeśli ci krzywdę wyrządziłem...

Głos mu drżał ze wzruszenia, bo ta słaba trzcina miała przecież serce. Ale ona roześmiała się na to.

— Tradycya przez ciebie przemawia — syknęła drwiąco—właśnie te same słowa raczył niegdyś wyrzec potężny kanclerz do niewinnie skazanego: „Przebacz mi, Zborosiu, że cię każę tracić“...

On puścił nagle jéj ręce. Szyderstwem bluznęła na pamięć człowieka, którego szlachetnéj krwi kropla i jemu się przez którąś z prababek dostała.

— Jeżeliś tak niewinna, jak był tamten, to nie mam sobie nic do wyrzucenia—rzekł dumnie.—Bądźże mi wrogiem, nie dbam o to!

I rozeszli się, każde w swoję stronę.

Nazajutrz mieszkańcy horynieckiego pałacu, zebrawszy się jak codzień, w jadalni przy drugiem śniadaniu, rozmawiali z sobą ze zwykłą uprzejmością i swobodą, a niewtajemniczony nie odgadłby, że zaszła jaka zmiana w czyimkolwiek stosunku, bo żadna powierzchowna oznaka nie mogła wzbudzić najmniejszego podejrzenia.

Wszechwładny konwenans ujmuje ściśle w swoję gładką foremkę wszystko, co się podnosi po nad strychulec zwyczajów przyjętych w dobrém towarzystwie. Łzy rzewne, głośny śmiéch, uniesienia gniewu, miłości, rozpaczy, wszelkie żywsze uczucie, każdy gwałtowniejszy poryw, czeka cierpliwie w ciasném zamknięciu ludzkiéj piersi na stosowny czas i odpowiednie miejsce, aby wyjść na wierzch z serca; w towarzystwie nie ujawnia się nigdy, bo to „*mauvais genre*“. Lecz ta niewola konwenansu nie jest maską obłudy, bo nie chytrość ją wymyśliła, tylko dumna godność, która swoje osobiste uczucia chroni przed cudzą ciekawością, tak jak dawne niewiasty zakrywały twarz przed obcymi, jak perły chowa się w skarbcu a śmiecie w dole. A nawet w stosownym czasie i miej-

scu, nawet wobec osób wtajemniczonych lub współdziałających, objawy uczuć ludzi dobrze wychowanych, zachowują pewną umiarkowaną powściągliwość, którą uprzedzeni nazywają fałszem, gdy ona jest tylko panowaniem nad sobą, odróżniającém cywilizowanego człowieka od dzikich ludzi. Dziki objawia swój żal nieludzkiém wyciem, lub tarza się w prochu jak ranione zwierzę, w gniewie ryczy i pianę z ust toczy, z radości wykrzywia się dziwacznie, pląsa i skacze jak szalony. Podobne, choć już nieco zmodyfikowane objawy uczuć widzimy i tam, gdzie jeszcze nie zanikła zupełnie szorstka kora przyrodzonéj prostoty, to jest w popędach dziecka i zwyczajach prostego ludu; lecz nie widzimy już ich wcale, gdzie cywilizacya uszlachetniła nawet powierzchowność człowieka, usuwając z niéj wszystko, coby mogło urazić zmysł estetyczny lub moralny. Dobrze wychowany człowiek z żalu nie krzyczy, z obrzydzenia nie pluje, w gniewie nie zgrzyta zębami, nie pocałuje przy świadkach ukochanéj, niewierną czasem zabije, lecz nie wybije nigdy.

Rozebrawszy ściśle każdą prawie z tak zwanych form przyzwoitości, słusznie dawniéj obyczajnością mianowanych, można w niéj zawsze odnaléść pierwiastek jakiegoś pojęcia piękna lub dobra. Uznanie potrzeby walki z namiętnościami, zwyciężania grubych popędów, ukrywania, przynajmniéj, rzeczy złych i brzydkich przez szacunek dla uczciwości publicznéj, zastosowane do obejścia i sposobu bycia, przetworzyło powoli grubiańską prostotę dzikiego, w miłą układność cywilizowanego człowieka.

Jeśli wrogowie spotkawszy się w towarzystwie, z pozorną życzliwością podadzą sobie ręce, a kochankowie z pozorną obojętnością zamienią lekki uścisk dłoni, nie jestto fałsz ani komedya, lecz ujęte w pewne formy poczucie godności osobistéj, które pięknych uczuć nie wystawia na profanacyę ciekawości ludzkiéj, brzydkiemi gorszyć nie chce lub się ich wstydzi, bezwzględną własność człowieka, wzruszenia jego duszy, każe mu miéć dla siebie tylko, lub dla małéj liczby wybranych, nie otwierając na widowisko dla wszystkich przybytku swojego serca. Starożytni zakrywali jeszcze togą bolesny skurcz oblicza; my już togi nie potrzebujemy, bośmy doszli do takiego panowania nad naszą fizyczną naturą, o ile ona jest tłómaczém psychicznych wzruszeń, że nasze wrażenia albo zupełnie zamykamy w sobie, albo przedstawiamy je oku widza tylko w najestetyczniejszych ich objawach, tylko w wyrazie oczu, grze fizyonomii, rumieńcu lub bladości twarzy.

Co zaś było najtrudniejszém do wykorzenienia, co należało do przyrodzonych właściwości wspólnych człowiekowi i zwierzęciu,

to zostało przynajmniéj zmodyfikowaném, ujętém w karby pewnego ładu i harmonii, przybraném w szaty artyzmu, odróżniające dobitnie objawy inteligentne od instynktowych tylko. Takiemi stały się z czasem krzyki rozpaczy i skoki radości, przetworzone w żałobne śpiewy i godowe tany. Dziki wyje boleśnie po swoim zmarłym, cywilizowany śpiéwa hymny pogrzebowe; dziki szalenie wyskakuje objawiając swoje zadowolenie, cywilizowany obchodzi miłą dla siebie uroczystość tańcami.

Tak więc hrabia Janusz i panna Helena zachowali z sobą pozornie dawniejszy stosunek, który był dość poufały z powodu powinowactwa, i jak pierwéj nikt nie mógł dostrzedz, że ich coś łączy, tak teraz nie było przyczyny domyślać się, że ich coś rozdziela. Maryjka także nie zmieniła swego sposobu bycia względem hrabiego, i dawny stosunek przyjaznéj zażyłości utrzymywała z tak naturalną prostotą, że Janusz mógłby to wziąć za rzeczywiste zapomnienie jego słów niebacznych, gdyby nie jéj staranne choć nieznaczne unikanie każdego z nim sam-na-sam.

W humorze wszakże Janusza zaszła pewna zmiana. Jego chłodna apatya zdawała się wzrastać, przerywały ją tylko czasem tłumione wybuchy rozdrażnienia, które jednak nie ujawniały się energiczniéj jak niecierpliwym jakim ruchem lub słowem, a domowy lekarz konstatował coraz większy rozstrój nerwowy.

Panna Helena poiła się octem i żółcią swoich myśli. Studya, ciągle z równą wytrwałością prowadzone, nie dawały jéj tego moralnego ukojenia, jakiém wielkość nauki zaciéra wszystkie drobne względnie do niéj cierpienia pojedyńczéj istoty. Dla niéj nauka była środkiem, nie celem; nie lubowała się nią duchowo, tylko wyzyskiwała praktycznie. Jedyném jéj pragnieniem było wyniesienie się na wyższe stanowisko; za środek dojścia do celu używała wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek szansę osiągnięcia go. Wśród swoich zabiegów opanowania Janusza, aby zająć miejsce Niny, nie zaniedbywała przecież i studyów, uważając za rzecz rozsądną miéć naukę w zapasie, na wypadek niepowodzenia na innéj drodze. Rozwianie się tych planów nie zakrwawiło jéj serca, bo serce grało w nich podrzędną rolę; zawód był jednak ciężkim, i bolało ją bardzo gorzkie upokorzenie, otrzymane zamiast spodziewanego tryumfu. Najdotkliwszym zaś, bo bijącym w jéj miłość własną ciosem, było przeniesienie nad nią takiéj Maryjki, która, w jéj pojęciu, całą swoją osobą nie przeważała jednego grana materyi mózgowéj przyszłéj studentki. Gniéw, który w charakterach prawdziwie dumnych przechodzi w obojętną pogardę, w pysznych i zarozumiałych wytwarza nienawiść i żądzę zemsty. Helena, wychodząc z zasady, że

życie jest tylko na to, aby zeń wycisnąć możliwie największą dozę osobistego zadowolenia, zapragnęła namiętnie zemsty, jako obecnie największéj dla siebie rozkoszy; ale nie chcąc narażać na szwank swojéj karyery jakimś wybuchem nie w porę, trzymała namiętność na wodzy rozsądku i czekała na sposobność zadowolenia jéj w stosownym czasie, z doskonałym spokojem siedzącego z wędką rybaka, z prawdziwą cierpliwością kota, który jest zdolny, czatując na myszy, godziny całe leżéć nieruchomo, zdradzając wewnętrzną burzę tylko błyskami oczu i drganiem ogona.

Nina bawiła się jak zawsze, tylko zabawkę zmieniła. Biédny Henryczek nie słyszał już dwuznacznych frazesów, nie dostawał spojrzeń, domawiających czego nie skończyły usta, bo wszystko to szło teraz na benefis Adama. Zrozpaczony chłopak poszedł po rozum do głowy i wymyślił rzecz nie nową, lecz tém podług niego skuteczniejszą, że wypróbowaną. Postanowił rozbudzić miłość zazdrością. Środek okazałby się może skutecznym, gdyby nie to, że jego działanie neutralizowało ciągłe antydotum: nowa zabawka tak zajmowała Ninę, że utrata dawnéj stała się dla niéj rzeczą obojętną. Dowodziło to żywszego niż zazwyczaj zainteresowania się przedmiotem teraźniejszego kaprysu, bo dawniéj umiała nieraz więcéj niż dwóch jednocześnie przyciągać i odpychać po kolei.

Pan Henryk obrał za pierwszy swój punkt strategiczny Maryjkę. Przyjeżdżał, jak zwykle, co parę dni do Horyniec, z któremi przez rzekę sąsiadował, ale Ninie okazywał tylko zwykłą uprzejmość należną gospodyni domu, niezwykłą zaś grzecznością otaczał widocznie i niemal natrętnie Maryjkę.

Dziewczyna patrzyła na to z początku wielkiemi oczyma zdziwienia, późniéj z tym przykrym niesmakiem, jaki u małéj liczby kobiet wywołuje przymilanie się obojętnych im mężczyzn, nakoniec zauważyła, że Henryk uwydatnia swoje postępowanie względem niéj z widoczną ostentacyą, nieznacznie przytém obserwując Ninę. Zmiarkowała więc co się święci, a oburzona rolą narzuconą sobie w téj komedyi, postanowiła rozwiązać ją inaczéj niż być miało podług planu autora.

Pierwszego dnia, Henryk przywiózł dla pań trzy pyszne róże ze swojéj oranżeryi; różową ofiarował Ninie, żółtą Helenie, z purpurową zbliżył się do Maryjki.

— Ta róża— rzekł, podając jéj kwiat — pani odemnie należy; purpura jest godłem królewskiéj władzy.

— Nie mam — odpowiedziała — ani dziedzicznych ani osobistych praw monarchicznych.

— Ma pani przecież najwierniejszego poddanego—rzekł, składając jéj głęboki ukłon.

— Jestem republikanką — odparła — więc przeciwną poddaństwu.

— Kiedy tak, możemy znaleźć coś jeszcze w symbolice barw: dykcyonarz kwiatów każe czerwonéj róży wyrażać gorące uczucia, w tém więc znaczeniu ofiaruję ją pani.

— Zadaleko posuwa pan żarty — rzekła poważnie.

— Nie żartuję wcale, mówię z rozmysłem i na seryo — odparł równie poważnie, rzucając ukośne spojrzenie ku kanapce, na któréj siedziała Nina, rozmawiając z Adamem.

Maryjka wstała i odsuwając podawaną sobie różę, powiedziała z chłodnym spokojem:

— W takim razie bardzo mi przykro, że muszę być otwartą w niemiły dla pana sposób, ale nie mogę przyjąć téj róży, właśnie ze względu na znaczenie, jakie pan do niéj przywiązuje.

Pan Henryk zmieszał się mocno. Dostać odkosza, nie myśląc się żenić, to fatalna pozycya dla salonowego bałamuta. Odzyskał jednak po chwili pewność siebie, aby dowcipkowaniem ratować się z fałszywego położenia, a Maryjka pomogła mu litościwie obrócić w żart całe przejście, bo była teraz pewną, że po takiém zapuszczeniu kurtyny, komedya już daléj iść nie może.

Nina słyszała całą tę rozmowę, udając dyskretnie, że nie zwraca na nią uwagi i ubawiła się nią doskonale, żałując w duchu, że nie może pośmiać się z Maryjką ze zburzenia strategicznych planów Henryka; bo nigdy nie mówiła z nią wyraźnie o niczém, coby dotyczyło bezpośrednio jéj stosunków z wielbicielami. Pomimo swojéj lekkomyślności, bezwiednie prawie szanowała skromność téj „cnoty bez ustępstw", jak żartem nazywała Maryjkę, a chociaż nieraz w poufnych z nią rozmowach potrącała o kwestyę uczuć, robiła to przecież tylko ogólnikowo, nie mówiąc wyraźnie o sobie. Maryjka też z właściwym sobie taktem, umiała zawsze utrzymać ją na granicy tych połowicznych zwierzeń, które byłyby jéj tém przykrzejszemi, że pomimo wad Niny, kochała w niéj i szanowała swoją dobrodziejkę.

Pan Henryk przez kilka dni po niemiłém dla siebie przejściu, okazywał wszystkim trzem paniom jednakową obojętną uprzejmość, aż któregoś wieczora, podawszy na przechadzce ramie Helenie, poprowadził z nią dłuższą rozmowę, a potém zakomunikował Ninie, że zrobił miłe odkrycie.

— Panna Helena — mówił— wiele zyskuje na bliższém poznaniu. Nie jest ona ani zalotną ani skromnisią, ale ma pewien po-

wab świéży a ostry, jakby kwaskowatéj jeżyny, i przedstawia oryginalny okaz niewieści, zachęcający do robienia nad nim studyów.

Przygotowawszy grunt w taki sposób, rozpoczął owe studya, z początku ostrożnie, bojąc się powtórzenia przejścia z Maryjką, potém coraz śmieléj, zobaczywszy, że z tą łatwiéj mu idzie. Helena, nie w ciemię bita, domyśliła się odrazu, że na nią teraz koléj iść na haczyk dla złowienia grubszéj ryby, ale widząc, że udane uczucie przechodzi czasem w prawdziwe, postanowiła sprobować szczęścia. Uda się czy nie uda, a przynajmniéj nie będzie sobie miała do wyrzucenia, że zaniedbała wyzyskania sposobności, przedstawiającéj pewną szansę. Zabrała się więc gorliwie do pracy. Kokietowała Henryka we właściwy sobie sposób, wymykający się zupełnie obserwacyi osób trzecich a jednocześnie, także w sposób sobie właściwy, wychwalała przed nim Ninę, tak żeby każda pochwała była szklanką zimnéj wody, wylaną na jego uczucia dla pięknéj pani.

Robota postępowała szybko. Wkrótce Henryk zaczął znajdować pewną przyjemność w graniu swojéj roli i przejmował się nią tak żywo, że już na Ninę zwracał uwagę tylko o tyle, ile znajdował sposobność zrobienia jéj jakiéj złośliwéj przymówki co do Adama. Ninę to nakoniec rozdrażniło. Nie bawił już jéj jako ukryty wielbiciel, a przeszkadzał jako obserwator i krytyk; postanowiła więc pozbyć się go na dobre. Pozór do tego wynalazła sobie w obowiązku sumienia, które przecież nakazywało jéj opiekę nad młodszą kuzynką. Henryk się z nią nie ożeni, więc pocóż ma biedną dziewczynę bałamucić? mówiła sobie w duchu, wierząc nawet przez pół w bezinteresowność swojéj o Helenę troskliwości.

— Panie Henryku, mam z panem do pomówienia — rzekła raz do niego w ogrodzie, gdy układając bukiet z Heleną, zatrzymywał co chwila jéj ręce w swoich.

— Jestem na rozkazy — odrzekł, idąc za nią w boczną aleję z uczuciem tłumionego zadowolenia, bo myślał, że nadeszła dla niego nakoniec chwila tryumfu. Spodziéwał się ostrych przymówek do niestałości męskiéj, a może nawet wybuchu zazdrości, którym się zdradzi uczucie, rozbudzone nareszcie jego genialną dyplomacyą. I rozważał sobie w duchu jak ma się zachować w tym wypadku? przycisnąć skruszoną do serca, czy rozśmiać się szyderczo? Słaba już iskierka tak niedawno gorącéj miłości, ważyła się w nim z chęcią pomszczenia doznawanych upokorzeń, rozbudzoną zręcznemi insynuacyami panny Heleny i sam nie wiedział jeszcze na co się ostatecznie zdecyduje.

Pani Nina zerwała gałązkę akacyi i oskubując po kwiatku kwiatek, mówiła półgłosem, z figlarnym uśmiechem:

— Kocha, nie kocha, kocha, nie kocha, ach, kocha!... byłam tego pewną!...

— Nie kocha!—odrzekł z przyciskiem—kwiaty kłamią jak kobiety...

Spojrzał na nią, gotując się pogardliwym spokojem odeprzéć piorunujące spojrzenie.

Ale jéj oczy zmrużyły się tylko filuternie.

— Nie kocha? — zapytała — więc pocóż udawał?

— Dla zabicia czasu — odparł z ironią. — Na wsi tak nudno! nie ma cyrku ani baletu...

Czekał na pewny tym razem wybuch i zawiódł się znowu; usta Niny zadrgały tylko wstrzymywanym uśmiechem.

— Biedne serce kobiece! — westchnęła sentymentalnie— czyż domyślało się, że jego bicie zastępuje tylko skoki konia lub baleryny...

— Powinno było domyśléć się, że przeciągnięta struna pęka, jak to pani kiedyś bardzo słusznie zauważyła.

— Och! wtedy mówiłam o mojém sercu, które przecież nie biło na seryo; teraz zaś chodzi o biedne serduszko dziewicze, mogące wziąć na seryo nawet pana.

Henryk zatrzymał się nagle.

— O kim mówimy?

Zrobiła naiwną minkę.

— Ależ o panu i o Helence... Mówimy, zdaje się, jasno i rozumiemy się doskonale!

Rozśmiała się teraz serdecznie, jak rozbawione dziecko. Henryk miał ochotę zgrzytnąć zębami, ale nie wypadało.

— Czekam — rzekł — aż przejdzie ten atak śmiechu, którego przyczyny nie rozumiem i pani raczy powiedziéć mi poważnie, o co tu właściwie idzie?

Przestała się śmiać i przybierając komiczną powagę rzekła.

— Idzie o to, że będę mocno zadowoloną, jeśli pan jest tak szczerze zajęty Helenką, jak się wydaje, i wezmę nasiebie skojarzenie małżeństwa. Jeśli zaś to tylko przelotna skłonność z pana strony, w takim razie nie pozwolę dłużéj bawić się spokojem, a może i opinią młodéj osoby, zostającéj pod moją opieką. Dla tego daję panu tylko dzisiejszą noc do namysłu, a jutro zechce pan zakomunikować mi ostateczną swoję decyzyę, po któréj moja kuzynka będzie pana widywać jako narzeczonego, albo przestanie go widywać zupełnie.

— Więc pani mi drzwi pokazuje?

— Cóż znowu! odwołuję się tylko do pańskiego honoru i serca. Powinien pan przecież miéć wzgląd na biédną dziewczynę i nie zawracać jéj głowy, nie mając zamiarów na seryo. Gdyby więc ostatecznie nie zdecydował się pan na kobierzec i stułę, nie ma na to innego środka jak zniknąć zupełnie z jéj oczu, aby mogła uspokoić się po doznanym zawodzie i zapomniéć. Zdaje mi się zresztą, że z pana strony nie byłoby wcale wielką ofiarą wyjechać naprzykład na czas jakiś zagranicę i oddać się tym przyjemnościom cyrku i baletu, bez których tak nudno w naszém wiejskiém towarzystwie.

Henryk chciał coś odpowiedziéć, ale nie dopuściła do tego.

— Czekają na nas z herbatą—rzekła.— Śpieszmy się, bo przeciągnie.

I poszła szybkim krokiem w kierunku werendy, nucąc jakąś barkarolę.

Przez kilka dni nie widziano w Horyńcach Henryka, aż wreszcie wpadł na godzinkę, śpiesząc się bardzo, ponieważ był zajęty przygotowaniami do podróży. Jego doktor, używany dla silnéj newralgii, orzekł, że cały organizm pacyenta potrzebuje natychmiastowego wzmocnienia i nieledwie pod karą śmierci zaordynował Ostendę.

Pani Nina przyjęła tę wiadomość z ubolewaniem nad stratą tak miłego sąsiada, panna Helena nie powiedziała ani słowa, tylko mocniéj zacisnęła wązkie usteczka. Henryk wyobraził sobie, że milczy, bo ją w gardle ścisnęło, i boi się, aby przemówiwszy nie módz powstrzymać łkania. Uczuł też wspaniałomyślną litość nad mniemaném cierpieniem i zapragnął złagodzić je trochę, a przytém może wyzyskać jeszcze cośkolwiek na rachunek własnéj przyjemności. Upatrzywszy więc chwilę, kiedy przechodziła przez cieplarnię do ogrodu, wszedł tam za nią pod pozorem obejrzenia jakiéjś rośliny i między palmą a agawą ujął jéj rękę w obie dłonie.

— Daj mi pani — rzekł z cicha i tkliwie — choć kwiatek na pamiątkę najpiękniejszego snu mojego życia... O! gdyby nie to fatum, które nas rozdziela...

Objął ją wpół, chcąc przyciągnąć do siebie, ale dziewczyna błysnęła oczyma jak rozdrażniona tygrysica, szarpnęła się gwałtownie i rękawiczką, którą trzymała w ręku uderzyła go po twarzy.

Zdobywca serc osłupiał, ona rozśmiała się głośnym, niemiłym śmiechem i szybko wybiegła z cieplarni do ogrodu.

Pozbywszy się niewygodnego obserwatora, Nina oddała się już bez przeszkody zadaniu rozkochania Adama. Miała teraz wszelką łatwość po temu, bo prawie codzień po parę godzin spędzała z nim sam na sam. Tryb życia w domu urządzony był na sposób angielski;

każdy miał nieograniczoną swobodę bawienia się lub nudzenia, jak mu się podobało; więc schodzono się tylko do stołu i wieczory spędzano razem; przez resztę zaś dnia, kto chciał, siedział we wspólnych apartamentach, kto nie chciał, zostawał u siebie, i to ostatnie zwykle miało miejsce. Gości najczęściéj aż do wieczornéj herbaty bawiła tylko sama pani; tak bywało z Henrykiem, a teraz z Adamem; odwiedziny zaś innych sąsiadów, zdarzały się dość rzadko, bo hrabia nie lubił towarzystwa wogóle, hrabina zaś była w jego wyborze wybredną.

Janusz większą część dnia spędzał u siebie, na górze. Układał swoje kolekcye numizmatów, wiele czytywał, przeglądał nawet sprawozdania gospodarskie, ale nie często, bo miał zagranicznego agronoma, na którego spuszczał się z całém zaufaniem nieprzezwyciężonego lenistwa. Nie pochodziło to z nieznajomości rzeczy, bo pojmował dobrze obowiązki obywatelskie i potrzebę zajęcia się sprawami majątkowemi, a nawet w swoim czasie pisywał artykuły społeczne i ekonomiczne, które znajdowały ogólne uznanie. Ale od kiedy powiedział sobie, że mu się nic nie chce, i że niczego chcieć nie warto, coraz mu było ciężéj wydobyć z siebie choć odrobinę czynnéj energii, i ostatecznie najwięcéj już czasu przepędzał w fotelu u okna, z cygarem w ustach i rozpaczliwém znudzeniem na twarzy.

Panna Helena dnie spędzała w bibliotece, otoczona książkami, wypisami i notatami, a wypoczywała po umysłowéj pracy, chodząc samotnie po parku. Jéj zajęcia lektorki i sekretarza były prawie żadne, bo Nina pisywała zwykle listy sama, a czytywała teraz najczęściéj z Adamem. Przychodzącą do jéj gabinetu co rana Helenę odprawiała jakiém uprzejmém słówkiem, pogawędziwszy z nią chwilę, a potém spacerowała po ogrodzie i dziedzińcu, czasem bukiet ułożyła, trochę grała, trochę śpiewała lub rysowała, wreszcie ubierała się, i tak czas jéj schodził do obiadu, po którym z robótką lub książką w ręku oczekiwała przybycia codziennego gościa.

Gospodarstwo domowe, cała ta działalność kobieca, na pozór drobnostkowa i małoważna, lecz rzeczywiście układająca z małych kamyczków ładu i porządku podstawę zamożności rodziny, a przez nią dobrobytu społecznego, cała owa sfera kłopotów śpiżarnianych, warzywnych, drobiowych i tym podobnych, wzbudzała obrzydzenie w wykwintnéj królowéj horynieckiego salonu i przeszła powoli w energiczne ręce Maryjki, która rozciągnęła ścisły dozór nad wyzyskującemi niepraktyczność hrabiny szafarkami. Razem z krótką sukienką zrzuciła ona z siebie zaraz jarzmo pracowitego próżniactwa eleganckich panien, które zajmują się zwykle wyłącznie tylko

uprawianiem literatury i sztuk pięknych, bez względu na to, czy mają lub nie w tych kierunkach zdolności warte wyrobienia. Maryjka nie zaniedbywała wcale strony intelektualnéj i artystycznéj, ale poświęcała jéj tylko czas wolny od praktycznych zajęć, na rozrywkę i wypoczynek przeznaczony, a miała go bardzo dosyć, jak każda kobiéta, umiejąca porządnie ułożyć i skupić swoje domowe prace. Wstawała wcześnie, wszędzie zajrzała, wszystkiego dopatrzyła, wszystkiém na cały dzień zarządziła, a rozporządzenia jéj były ściśle spełniane, bo wydawała je z tą łagodną i poważną stanowczością, która nie drażni, nie upokarza podwładnych, lecz imponując im, nie dopuszcza nawet myśli o możliwości nieposłuszeństwa. A jak nie zaniedbywała umysłu dla gospodarstwa, tak téż nie poświęcała mu swojéj powierzchowności i wychodząc z obory lub śpiżarni, była równie starannie ubrana jak wchodząc do salonu; bo praca tylko w warunkach ciężkiego ubóstwa nie da się pogodzić z wymaganiami porządku i okrzętności, w warunkach zaś średniéj choćby zamożności, nie potrzebuje wykluczać nawet miłéj estetycznemu zmysłowi kobiety elegancyi, która dobrze świadczy o jéj poczuciu piękna i wyrobieniu dobrego smaku.

Rozszerzając powoli zakres właściwéj kobiecie działalności, Maryjka rozciągnęła z czasem troskliwą opiekę nad całą wsią, któréj mieszkańców znała po imieniu i nazwisku, pamiętała ich stosunki rodzinne i sprawy sąsiedzkie, co bardzo ujmuje chłopa, którego zwykle za każdém przyjściem do dworu nie poznają i za dziesiątym razem jak za pierwszym pytają, jak się zowie. Obeznana z interesami i wszelkiego rodzaju potrzebami włościan, pomagała im ile mogła dobrą radą, wpływem moralnym, pośrednictwem u dworu, specyalną opieką otaczając dzieci i nędzarzy. Apteczkę domową miała pod swojém zawiadywaniem bezpośredniém i leczyła skutecznie rumiankiem lub kamforą, w ważniejszych wypadkach, uciekając się do wezykatoryi lub baniek, a proste organizmy pacyentów, do lekarstw nie nawykłe, wracały do równowagi za pomocą środków dla nas już nie skutecznych. Słynęła téż we wsi jako wielka znachorka i serdeczna opiekunka, a ludzie obojętni dla swojéj dziedziczki, którą z daleka tylko widywali, Maryjkę kochali i szanowali wszyscy bez wyjątku.

Nie łatwo jednak przyszło jéj pozyskanie miłości tego nieufnego ludu. Chłop małoruski patrzy na dwór z zastarzałą, nałogową niechęcią, posądza go z wieczną podejrzliwością o ciągłe intrygi, mające na celu przywrócenie dawnego porządku rzeczy, poddaństwa i pańszczyzny. Tradycye staréj niedoli wrosły w szpik jego kości, a zapominając, że już nieraz oddał za nią z lichwą,

wspomina pańską tyranię,—nie pomni kozaczéj zemsty. W jego pieśni, baśni, przysłowiach, żyją obrazy lackiéj przemocy, lecz krwawy odwet kozackich wojen i niejeden późniejszy zatarł się w pamięci—zwyczajnie po ludzku; człowiek zwykle złe, które cierpiał, długo pamięta, a które sam wyrządził—zapomina. Szlachcic tak samo, zamiast powiedziéć sobie, że już się skwitowano wzajemnie, żywi o chłopie swoje gorzkie wspomnienia, tém żywsze, że jeszcze na kartach historyi nie zastygłe,—świeże, więc nie beznamiętne. I tak stoi tam z sobą dwór i chata w stosunku wzajemnéj niechęci, przez rozmaite okoliczności obustronnie podsycanéj i ciągle jedni nie chcą, drudzy nie umieją zrozumiéć wspólnego interesu.

Maryjce tém trudniéj było zjednać sobie lud wiejski, że sama wyszła z ludu; długo więc patrzono na nią podejrzliwie jak na odstępcę, opierając nieufność na zasadzie przysłowia „nie daj Boże z chama pana“. Pamiętano, że chłop spanoszony zwykle bywał dla chłopów najgorszym; bo gdy prawdziwy pan z panów z obojętną wspaniałością lwa względem myszy nie raczył sam znęcać się nad nimi, panek tém bywał okrutniejszym z im bardziéj niskiego stanu wyniósł grube popędy i przyzwyczajenia. To uprzedzenie, wielu faktami rzeczywiście uzasadnione, przetrwało poddaństwo, i w obecnym wypadku zwróciło się ku Maryjce; ale jéj niewyczerpana dobroć i wytrwała cierpliwość zdołała z czasem wykorzenić je do gruntu. Wiele jéj w tém pomogła stara Kułyna, u któréj chowała się do lat dziesięciu, a późniéj odwiedzała co święta i niedzielę, stale utrzymując serdeczny stosunek. Baba wynosiła pod niebiosa swoję pannuńcię przed wszystkiemi kumami i swachami, że zaś wpływ kobiécy bywa potężną sprężyną nietylko w stronnictwach politycznych, lecz i w opiniach głuchego zakątka,—więc żony zrobiły powoli ze wszystkich mężów gorliwych zwolenników pannuńci.

Ta wyjątkowa istota, która umiała sobie wytworzyć najważniejsze warunki szczęścia,—miłość ludzką, spokój ducha i pożyteczną pracę, nie była przecież doskonale szczęśliwą. Źródło jéj zmartwień stanowiła Nina, nad któréj lekkomyślném postępowaniem bolała całą siłą swego dla niéj przywiązania, bo choć usprawiedliwiała ją przed drugimi, przed sobą jednak nie zawsze mogła tego dokazać.

Smutnym jest widok fizycznych ułomności drogiéj istoty; ale duszę szlachetną bardziéj jeszcze smucą jéj moralne niedostatki, które tém lepiéj widzi im mocniéj kocha. Przekonanie, że miłość zaślepia, tak utarte, że już nikt go nie poddaje krytyce, jest przecież w bardzo wielu razach fałszywém. Zaślepia tylko najniższą z odmian miłości, namiętność, ponieważ na zewnętrzne jedynie zalety

zwracając uwagę, wad zewnętrznych nie dostrzega. Ale każde przywiązanie podnioślejszéj natury rządzi się tą bezwiedną loiką serca, które dla ukochanéj istoty pragnie moralnéj doskonałości, aby miéć za co kochać,—posiada więc zdolność rozróżniania w niéj dobrego i złego, i tém lepiéj złe widzi, im bardziéj samo dobre widziéćby pragnęło. Takie przywiązanie, straciwszy szacunek, traci racyę bytu, lub jeżeli z obowiązku musi trwać pomimo wszystkiego, wtedy zamiast być szczęściem, staje się cierpieniem, bo najwyższą rozkoszą miłości jest możność szanowania drogiéj osoby, a najcięższą boleścią—utrata wiary w jéj moralną wartość.

Maryjka po odjeździe Henryka odetchnęła swobodnie, bo pozbyła się z nim ciągłéj trwogi o spokój serca a nawet dobrą sławę hrabiny, o któréj stosunku z sąsiadem z za rzeki już ludzie ze złośliwą przesadą mówić zaczynali. Postępowanie zaś jéj z Adamem brała tylko za chęć podrażnienia Henryka, myśląc, że oboje chcą w sobie wzajemnie zazdrość rozbudzić i robią sobie na złość, jak często zakochani. Gdy po wyjeździe sąsiada z okolicy, Nina nie zmieniła obejścia z Adamem, Maryjka miała to za zwykłą, nałogową już u niéj zalotność, nie posądzając jéj wcale o żywszą sympatyę dla człowieka innéj sfery, i takiego zresztą, który podawał się za niedostępnego uczuciom serdecznym,—jak to pamiętała z jego pierwszéj rozmowy; a czyż dumna bogini mogłaby pokochać—niekochana? Nie wiedziała niedoświadczona dziewczyna, że właśnie najdumniejsze boginie gardzą nieraz hołdami, któremi są przesycone, a zwracają się sercem lub wyobraźnią tam, gdzie je obojętność drażni. Tak było teraz z Niną. Adam z początku zajął się nią trochę; ona wtedy swoim zwyczajem zaczęła się nim bawić w kotka i myszkę, przyciągając i odpychając po kolei. Lecz ten prostak nie znał się na salonowych igraszkach, a ta mu się specyalnie nie podobała, więc po paru próbach tego rodzaju towarzystwo jéj straciło dla niego znaczną część swego uroku, i znajdował więcéj przyjemności w dysputach z hrabią albo rozmowie z pannami, głównie z Maryjką, bo Helena nie była mu sympatyczną. Nina przecież nie dawała za wygranę; raz postanowiwszy rozkochać go w sobie, używała w tym celu wszystkich wyprobowanych już nieraz środków z niezwykłą u niéj wytrwałością. Adam zaś nie mógł bez wyraźnéj niegrzeczności unikać jéj towarzystwa. Więc rozstrząsali z sobą rozmaite kwestye z psychologii uczucia, stanowiące niewyczerpany repertuar rozmów pięknéj pani z mężczyznami, czytywali razem czułe poezye i płomienne romanse, spacerowali pod kwitnącemi akacyami, słuchając śpiewu słowika, tak iż pod temi wszystkiemi wpływami młody pozytywista miękł coraz bardziéj, i nareszcie zakochał się po uszy..... w Maryjce.

Było to rzeczą naturalną. Nie wierzył w miłość, bo jéj na sobie nie doświadczył, a nie doświadczył głównie dla tego, że nie spotkał dotąd odpowiedniego przedmiotu. Ze sfery, do któréj urodzeniem należał, znał tylko kilka naiwnych panienek o czerwonych łapkach i niezgrabnych ruchach; w domach, do których na korepetycye wyjeżdżał, widywał dumne piękności, ograniczające całą z nim znajomość na zamienieniu czasem paru banalnych frazesów, wiejących olimpijskim chłodem, a podczas studyów akademickich miewał efemeryczne stosunki z kobiétami, nie mogącemi wzniecić głębszéj sympatyi w mężczyznie poważnego umysłu a chłodnego usposobienia.

Teraz zaś, kiedy okoliczności zbliżyły go do trzech kobiét, z których każda mogła obudzić żywe zajęcie, serce jego musiało pójść wbrew niedoświadczonéj teoryi, i zabić młodzieńczém tętnem. Nie wybrało przecież Niny, bo narzucała się sama, a natury energiczne nie czują pociągu do łatwych zdobyczy. Nie wybrało też Heleny, bo pozując na mężczyznę, pozbywała się téj kobiécéj słabości, która ujarzmia męzką siłę. Maryjka, łącząca w sobie wyższą inteligencyę z niewieścim wdziękiem, powabna bez zalotności, stanowcza z łagodnością, łatwa w obejściu i pełna prostoty, a przytém obdarzona wyrazistém spojrzeniem i ujmującym uśmiechem, była właśnie takim typem kobiécym, który musi pociągnąć człowieka w rodzaju Adama, to jest mającego prawdziwie męzki umysł i charakter.

Miłość bywa czasem jak złodziéj: zakrada się do serca pocichutku, a serce, mądre po szkodzie, odkrywa ją dopiero, kiedy już się stało. Adam rozmawiał z Maryjką chętnie, patrzył na nią z przyjemnością, nie wiedząc co to znaczy. Aż zrobił sam w sobie wielkie odkrycie, podczas jednéj rozmowy z Niną. Raz o szaréj godzinie siedzieli we dwoje na kanapce pod cytrynami, Maryjka zaś na prożbę hrabiny śpiéwała w przyległym salonie. Miała piękny głos kontraltowy, a śpiewnik jéj składały przeważnie dumki małoruskie, które oddawała ze zrozumieniem i odczuciem ukrainki czystéj krwi. Śpiéwała właśnie „Powij witre w Ukrainu“; tony pełne, giętkie, miękkie jak aksamit, płynęły w mrok wieczorny jak czajka kozacza w dal dnieprową, a Nina przestała śmiać się i szczebiotać, i zasłuchała się, rozmarzona.

— Prawdziwa chłopka,—rzekł Adam.

Nina oburzyła się.

— Co téż pan mówisz! Maryjka jest wychowaną jak arcyksiężniczka!

— Nie zrozumieliśmy się—odrzekł z uśmiechem. U mnie nazwanie chłopką salonowéj damy jest taką pochwałą, jak gdyby pani

nazwała wieśniaczkę księżniczką; moje wyrażenie prawdziwa chłopka oznacza kobiétę, która żywo czuje i nic nie udaje. Panna Marya jest dyamentem, który po oszlifowaniu nie stracił ani jednego karatu.

— Tylko nie stracił? *Vous êtes bien bon!* zyskał przecież blask i wodę, które oszlifowany brylant stawiają wyżéj nad rodzimy dyament.

— Zapewne...... tylko że sztuka odbiera często naturze jéj wdzięczną prostotę... Ale co pani zamierza w przyszłości zrobić z tym swoim klejnotem?

— *C'est justment mon grand souci...* Nie jestem egoistką, więc będę musiała oddać go komu, bez względu na własną stratę; ale to rzecz dosyć trudna, z powodu anormalnego położenia Maryjki. Pojmuje pan, że pomimo wszystkich jéj zalet, nie ożeni się z nią taki naprzykład pan Henryk, ani nikt z towarzystwa, do którego wychowanie ją tylko wciela. Królewicza więc z bajki napróżnobym dla niéj wyglądała, a nie chciałabym téż oddać ją Bóg wié komu. Miała już wprawdzie parę mniéj więcéj stosownych partyi — doktora i dzierżawcę,—ale powiedziedziała obu ze swoją szczerością *d'enfant terrible*, żeby nie tracili próżno czasu na konkury, bo nie wyjdzie nigdy za mąż bez miłości, a téj dla żadnego z nich nie doznaje. Teraz przecież ułożyłam dla niéj jeden planik, który może mi się uda: Janusz ma adwokata do swoich majątkowych interesów, który w jesieni przyjedzie tu załatwiać jakąś sprawę. Podobno jest-to młody człowiek bardzo inteligentny, przystojny, a nawet wcale dobrze wychowany; postaram się więc zbliżyć ich z sobą, a jeśli się pokochają, pomogę im pobrać się, i uszczęśliwię dwie istoty... To tak miło dać komu szczęście...

Rzuciła powłóczyste spojrzenie, ale wymowa jéj oczu została straconą; Adam myślał nie o niéj. Na wzmiankę o młodym adwokacie krew zawrzała mu w żyłach, poczuł do niego gwałtowną nienawiść, i właśnie to nagłe wzruszenie objawiło mu jego miłość dla Maryjki. I w jednéj chwili uwierzył w uczucie, którego istnieniu dotąd przeczył, w miłość szlachetną i podniosłą jak kobiéta co ją wzbudziła, a ta wiara napełniła pierś jego nigdy jeszcze nie zaznaną błogością, któréj nie daje żaden z tych pociągów jakich chwilowo dla innych kobiét doświadczał.

Pierwsze wyznanie miłości przed samym sobą nie budzi jeszcze tych wszystkich burz namiętnych, jakie dalszy jéj rozwój przyprowadza z sobą. Ta chwila objawienia ma jakiś spokój uroczysty, którego ciszą rozkoszną ukołysane serce, nie drży jeszcze nadzieją ani zwątpieniem, nie pyta przyszłości jaki będzie koniec, lecz tera-

żniejszością syte, lubuje się upojeniem obecnéj chwili, a sama tylko świadomość istniejącego w niém uczucia wystarcza mu jeszcze do zupełnego zadowolenia.

Adam przechylił głowę na rękę, zasłuchał się w głos ukochany, zapatrzył w wieczorną pomrokę, i powtarzał wciąż w myśli kocham—kocham—kocham;—a serce mu biło—biło—biło—jakby nie był nigdy trzeźwym pozytywistą, patrzącym z realnego punktu na wszystkie poetyczne mrzonki.

Nina spostrzegła to rozmarzenie Adama, policzyła je naturalnie na swój rachunek,—i jéj także serce zabiło. I ona nie pytała dotąd przyszłości jaki będzie koniec. Zaczęła, jak zwykle igrać tylko z miłością dla zajęcia swego wrażliwego usposobienia, dla zabawienia się w zmuszenie obojętnego do poddania się jéj urokowi; lecz opór, silniejszy niż się go spotkać spodziewała, pobudzał ją do ciągłego wytężania umysłu nad sposobami mogącemi zwyciężyć buntownika, aż myśl wyłącznie ku jednemu przedmiotowi zwrócona opanowała wyobraźnię zupełnie, i nakoniec piękna pani może po raz dwódziesty w życiu powiedziała sobie, że jeszcze nigdy nikogo tak mocno nie kochała. Jak zawsze płynęła z falą, nie patrząc gdzie ją unosi.

(*D. c. n.*) *Julia Terpiłowska.*





IDEAŁY DEMOKRATYCZNE

W OŚWIETLENIU HISTORYCZNEM.

Upływa właśnie stulecie od czasu, kiedy rozpoczęło się wszechstronne przeobrażenie układu wewnętrznego państw europejskich. Odtąd liczne wstrząśnienia następowały po sobie, poruszając coraz głębsze pokłady starodawnéj budowy i sięgając swym wpływem do społeczeństw, trzymających się zupełnie na uboczu. W samym środku rosnącego ciągle prądu, mianowicie około połowy bieżącego stulecia (1848 r.), uwydatnia się wyraźna zmiana kierunku. Kwestye „polityczne", w klasyczném znaczeniu tego słowa, ustępują na drugi plan; w pierwszym rzędzie stają sprawy ekonomiczne i międzynarodowe. Te ostatnie zresztą coraz bardziéj podlegają panującéj tendencyi i dziś całkiem już zatraca się w nich element „polityczny"

Pokrewieństwo duchowe Francyi i Włoch ustępuje przed walką handlową; Irlandya widzi się opuszczoną, nawet mąż stanu, który jéj broni ze stanowiska ekonomicznego, tam gdzie nędzy materyalnéj dostrzedz nie może, nie upatruje powodu do utyskiwań. Wszelako dążenia „polityczne", które dawniéj same sobie były celem, nie zamarły bynajmniéj, zmieniły tylko charakter. Jeśli uciszyły się spory o równy udział we władzy zwierzchniéj, jako o prawo naturalne swobodnéj istoty rozumnéj, podniosły się natomiast nierównie bardziéj zażartsze o zdobycie téj władzy, jako najpotężniejszego narzędzia dla dokonania przewrotów ekonomicznych i walki z zagranicą. Tą więc drogą pośrednią, w dwóch przodujących krajach Europy, a zarazem tych właśnie, gdzie kierunki społeczne mają możność swobodnego uzewnętrznienia się,

wystąpiło natężenie prądu politycznego, wciąż i szybko rozrastające. W Anglii ostatnio wielkie reformy wyborcze 1884 i 1885 r. i towarzysząca im agitacya wykazały potęgę żywiołów radykalnych, dążących do zburzenia gmachu konstytucyjnego, wzniesionego w ciągu długich wieków, a dziś zachwianego w swych posadach. We Francyi radykalizm, będący u steru, ciemne knowania plebiscytowe, nurtująca warstwy robotnicze propaganda anarchiczna, tak samo zapowiadają burzliwą przyszłość i budzą usprawiedliwione obawy.

Groźne te a pierwszorzędnéj wagi dla całéj ucywilizowanéj ludzkości zjawiska z natury rzeczy nie mogą dziś podlegać spokojnemu, bezstronnemu uogólnieniu. Wyróżniają się wszakże z rozgwaru krzyżujących się zdań pochlebnych lub zjadliwych poważne głosy dwu najdostojniejszych obecnie przedstawicieli obu narodów w dziedzinie nauk historyczno-społecznych. Hipolit Taine w pomnikowéj pracy historycznéj, sir Henryk Maine w szeregu świetnych studyów, stanowiących niejako zamknięcie uczonych jego dociekań, równocześnie prawie wystąpili z krytyką ideałów politycznych obecnéj doby. Zbliżeni do siebie wiekiem, z całą wrażliwością młodzieńczą odczuli niegdyś rozczarowanie, pozostałe po roku 48 i odtąd naocznie obserwowali przesunięcie się ideałów społecznych w Europie zachodniéj. Obadwaj, historycy z powołania, już mają nakazaną sobie bezstronność, obadwaj przez życie całe trzymali się zdala od walki stronnictw, zatopieni w swych studyach naukowych, obadwaj wystąpili z wyznaniem wiary politycznéj w dojrzałym wieku, z bogatym zasobem doświadczenia i obserwacyi. Pragnąc zapoznać czytelnika ze spostrzeżeniami dwu tak świetnych umysłów, chciałbym położyć nacisk na szczególną doniosłość podjętego przez nich zadania. Ograniczają się oni do analizy panujących doktryn p o l i t y c z n y c h, w których domyślają się przedniéj straży zamysłów daléj sięgających. Nie znają wszakże pobłażania, jakie zwykło się okazywać dla owych doktryn, dyskontując niejako z góry ukazywane przez nie w dalekiéj perspektywie dobrodziejstwa socyalne; rozpatrują ideały demokratyczne, jako wyraz teoryi czysto politycznéj i przedstawiają je nam w nowém a jaskrawém oświetleniu historycznem.

I.

Rzadko chyba poważne dzieło naukowe wywarło na publiczność dzisiejszą, nawykłą do lekkiéj strawy dziennikarskiéj, wrażenie tak doniosłe, jak „Początki Francyi spółczesnéj“. Według

kompetentnego, a mało skłonnego do uniesień krytyka (1) „pojawienie się téj książki oznacza nową erę w życiu duchowém Francyi, dla któréj stanowić będzie jeden z najskuteczniejszych czynników odrodzenia politycznego i społecznego, jeśli tylko nie jest już na to zapóźno“. Istotnie, przyczyna poczytności i wpływu wielkiéj „ankiety“ Taine'a leży nietyle w znakomitéj jéj wartości historycznéj, ile w konkluzyach politycznych. Sam Taine we wstępie do swego dzieła wyraźnie zastrzega, że pragnie się zająć wyłącznie „historyą władz państwowych“. „Inni napiszą historyą dyplomacyi, wojny, finansów, kościoła, moje zadanie było ograniczone“. Możnaby zarzucić, że wobec podobnego oświadczenia tytuł dzieła jest nieodpowiedni. Możnaby wyrazić wątpliwość, czy osobne traktowanie tak ściśle powiązanych dziedzin życia państwowego nie odbije się ujemnie na rezultatach badania historycznego, a nawet upatrywać w zastrzeżeniu powyższém świadomy wyraz niedość wszechstronnych studyów. Lecz pamiętać należy, że Taine nie jest chłodnym tylko historykiem-naturalistą, badającym „przeobrażenie się owadu“, lub „anatomizującym krokodyle“, jak sam o sobie powiada; jest przedewszystkiem patryotą, a dzieło jego pięknym czynem obywatelskim. „W r. 1849, ukończywszy rok dwudziesty pierwszy, zostałem wyborcą i znalazłem się w wielkim kłopocie. Proponowano mi, abym został rojalistą lub republikaninem, demokratą lub zachowawcą, bonapartystą lub socyalistą; ja zaś w rzeczy saméj nie byłem niczém i zazdrościłem niekiedy tylu szczęśliwcom, którzy mieli przekonania i byli czémś. Postanowiłem sobie zarazem, że jeżeli kiedykolwiek wypadnie mi szukać przekonań politycznych, nie uczynię tego wcześniéj, zanim naukowo nie zgłębię Francyi“ (2). Długo obywał się Taine bez przekonań politycznych, aż wreszcie kwietyzm estetyka i filozofa przerwany został przez wielką katastrofę narodową. Jeśli wierzyć Wiktorowi Duruy, powziął Taine pomysł do swego dzieła podczas komuny paryskiéj. Istotnie przebywał naówczas w zbuntowanéj stolicy i wnosząc choćby tylko ze wzmianki anegdotycznéj, jaką znajdujemy zabłąkaną pośród wykładu wypadków zeszłowiecznych (3), głęboko wryło mu się w pamięć nie jedno bolesne wspomnienie z téj ciężkiéj chwili. Zrozumiał wówczas, że posiadać przekonania polityczne, jest obowiązkiem nieodpartym każdego obywatela; z tą myślą a wierny swéj metodzie naukowéj, podjął się mozolnéj pracy, która niewąt-

---

(1) H. Mazel. *Le procès de la révol. franç.* (w *Revue des quest. histor.* 1886. T. XL. 109).—(2) *L'anc. rég.* Por. *La conqu. jacob.* Préface: „je n'avais pas des principes politiques, et même si j'ai entrepris mon livre, c'est pour en chercher“.—(3) *La conquête jacob.* 265 note.

pliwie pochłonie pozostałą część jego życia. Tę mianowicie stronę wspaniałego dzieła Taine'a mamy tu na widoku. Pomijając jego przesłanki historyczne, wyciągniemy z nich ekstrakt polityczny ogólniejszego znaczenia. Rozrzucone w różnych miejscach, przygodne napozór a nader zastanawiające konkluzye przedstawimy uszeregowane w porządku logicznym, od którego zbyt często odstępuje popędliwy autor, ulegając grozie opisywanych wypadków. W ten sposób otrzymamy pewien całokształt wiary politycznéj jednego z najsamodzielniejszych umysłów spółczesnych.

W rozwoju historycznym ustrojów państwowych rozróżnia Taine dwa typy zasadnicze. W typie pierwotnym przeważają dwa żywioły psychiczne, wiara religijna i duch wojowniczy, obadwa skierowane, ku wzmożeniu nieograniczonemu władzy państwowéj. Pokora względem bogów, jako ojców i groźnych opiekunów narodu, posłuszeństwo dla wodza, który odpiéra nieprzyjaciół i rozdziela zdobycz, cechują społeczeństwo starożytne i wywołały w niém pochłonięcie przez państwo energii i praw jednostek. Jestto zresztą przejaw wyższego prawa przyrodzonego: „w Grecyi, Rzymie, Egipcie, Chinach, Persyi, Indyach, Judei, Meksyku, Peruwii, we wszystkich cywilizacyach pierwotnych społeczeństwa ludzkie opiérają się jeszcze na téj samej, co zwierzęce, zasadzie: jednostka należy do swéj społeczności, jak pszczoła do ula, mrówka do mrowiska.

Inaczéj w państwie nowożytném. Przedewszystkiém chrześciaństwo uczyniło w dawnych pojęciach wyłom stanowczy. W imię zasady „co jest cesarskiego, cesarzowi, co jest Bożego, Bogu“, została społeczność świecka oddzielona od religijnéj, kulty narodowe ustąpiły miejsca uniwersalnemu. W następstwie protestantyzm i filozofia osłabiły moc doktryny chrześciańskiéj; dziś „tyle jest wierzeń, ile umysłów myślących“, pozostaje zatém państwu jedynie neutralne względem nich stanowisko. Równocześnie wojna przestała być głównem źródłem dochodów dla państwa i obywateli; wzmożenie produkcyi, łatwość wymiany, obok prawidłowego systematu podatkowego, stanowią bezporównania dogodniejsze środki zaspokojenia potrzeb ekonomibznych i finansowych, niż wyprawy zbrojne, zawsze ryzykowne, a coraz kosztowniejsze w miarę udoskonalania techniki wojennéj. Natomiast obok uschniętych dawnych, wyrosły potężne nowe „dwa konary cywilizacyi europejskiéj“, dwa nowe czynniki psychiczne, nieznane światu starożytnemu nawet z imienia. Chrześciaństwo wnosi pojęcie życia zagrobowego w nieskończonéj rozkoszy lub cierpieniu, jako nieuniknionego dopełnienia znikoméj ziemskiéj wędrówki. Świadomość stra-

szliwéj odpowiedzialności osobistéj przed wszechwiedzącym sędzią, nie zbiorowéj, jak u starożytnych, gdzie za winę jednostki odpowiadał lud cały, wyradza świadomość obowiązków, z których nikt nas zwolnić nie jest w stanie. Z drugiéj strony, z upadkiem państwa rzymskiego, zaginęło pojęcie o władzy publicznéj, dotkliwie ciążącéj choć opiekuńczéj, a natomiast zbudziło się i zahartowało w burzliwym okresie feudalnym uczucie samodzielności osobistéj. Gdy w chaosie samowoli średniowiecznéj każdy polegać musiał na sobie, gdy bezpieczeństwo i mienie własnéj pięści i przemyślności był winien, rozumiał oczywiście, że prawa tak drogo i niezależnie nabyte, tak ciężko obronną ręką podtrzymywane, święte są i nietykalne. Tak więc „przez ośmnaście wieków chrześcianina z Bogiem, udoskonaliło się sumienie, tak „w ciągu dziewięciu stuleci z monologu samotnego w swym zamku barona zrodził się honor. Są to zjawiska nawskroś indywidualistyczne: do „świątyni sumienia“, ani do „fortecy honoru“ nikt nie ma dostępu, choćby w imię interesu publicznego. Władza państwowa napotkała dwie nieprzebyte zapory, odtąd jéj granice raz na zawsze zostały zakreślone (1).

Parę uwag w tém miejscu z powodu powyższéj klasyfikacyi „psychologicznéj“ państw. Jest ona zarazem historyczną i opiéra się na uogólnieniach zbyt rozległych, aby mogła być ścisłą; prowadzi téż do takich dziwolągów, jak zestawienie w jednym rzędzie Chin i Grecyi. Dowolna klasyfikacya staje się przyczyną traktowania z niechęcią i lekceważeniem pierwiastków cywilizacyjnych świata klasycznego. Z wieloma pisarzami dzieli Taine jednostronny pogląd na Rzym starożytny, jako usposobienie bezwzględnego tryumfu idei państwowéj nad indywidualistyczną. U świetnego (choć może również nazbyt pochopnego do uogólnień) spółczesnego historyka prawa rzymskiego znajdujemy, jeśli nie prawdziwsze, to pewnie gruntowniejsze zdanie, że treść istotną ducha rzymskiego stanowiła „wola subiektywna“, „dzielność indywidualna“, w przeciwstawieniu do ducha nowożytnego, który „przywykł kłaść wszystko w ręce państwa, określa prawo, jako wolę państwa, wykonanie prawą pozostawia państwu“ (2). Naodwrót, wysławiane przez Taine'a pojęcie „honoru średniowieczne, szczepione przez drapieżnych „baronów“, przeistoczonych następnie w układnych dworaków królewskich, wydaje się nazbyt problematyczném, aby je podnieść do godności czynnika reformy prawno-społecznéj. Témbardziéj, że zupełnie pozostaje niewyjaśnione, jaką drogą mogło ono przeni-

(1) *Le gouvern. révol.* liv. II Ch. II.—(2) Ihering. *Geist d. röm. Rechts* I § 10 i nast.

kać do mieszczucha i chłopa, trzymanych w ucisku i pogardzie. Nietykalność praw osobistych, świętość domowego ogniska, równość przed prawem, źródło tych warunków elementarnych, tyle przez Taine'a pożądanego, „rozwoju indywidualistycznego“ wolimy upatrywać raczéj w rzymskiém prawie cywilném. Kunsztowna antyteza świata starożytnego i nowożytnego, pozbawiona zasady naukowéj, przestaje być argumentem politycznym, jakim ją chciał miéć Taine. Nie tyle jaskrawa, a głębiéj przeprowadzona antyteza, uwzględniająca komplikacyą i ogrom społeczności nowożytnéj, uzasadniłaby raczéj potrzebę spotęgowanéj działalności państwowéj. Oczywiście chodziło Taine'owi o rezultat wprost przeciwny.

Wspomnieliśmy wyżéj o wzmożeniu się radykalizmu politycznego w czasach najnowszych, zaznaczając pochodny, praktyczny charakter tego zjawiska. Wykończenie teoretyczne radykalizm ów zyskał jeszcze pod piórem pisarzów francuskich wieku zeszłego; nie wiele odtąd dodano nowego do ich wywodów, ujętych w szatę namiętnéj i przekonywającéj logiki, poczęto je tylko w odmiennych widokach stosować. Z pisarzami tymi wypadło się zetknąć Taine'owi na samym początku jego pracy, u nich téż odnajduje i zwalcza hasła przewodnie demokracyi dzisiejszéj. Społeczeństwo, a témbardziéj państwo, pojmowali oni jako instytucyę dowolnie i świadomie ustanowioną; wychodząc z zasady równego uczestnictwa stowarzyszonych téj szczególnéj spółki udziałowéj, a posługując się sylogizmami czerpanemi bodaj jeszcze u Platona, wyprowadzali dla onéj spółki ustawę. Z całego usposobienia duchowego i kierunku swych studyów musiał Taine stanąć w zupełnéj sprzeczności z taką metodą traktowania zjawisk socyologicznych. Widzieliśmy przed chwilą, jak brzydząc się pseudoklasycyzmem politycznym wieku oświecenia, popadł w drugą romantyczną krańcowość. Podobnież, choć z większą słusznością, definicyi demokratycznéj państwa, jako wyniku „umowy społecznéj“, przeciwstawia inną, otrzymaną ze stanowiska rozwoju historycznego. Określa państwo jako „fundacyę wieczystą“ (*fundation à perpetuité*), względem któréj każde żyjące pokolenie jest użytkownikiem kolejnym, nie właścicielem. „Fundacya“ ta, stworzona przez założycieli pierwotnych w téj jedynie intencyi, aby pozostała nienaruszoną, nie wymaga dopiéro sankcyi umownéj obywateli. Jeśli może być mowa o „ugodzie“ jakiéjkolwiek w téj mierze, to pierwszy onéj artykuł głosi: „potrzeba, aby państwo się nie rozprzęgło“. Nikt nie jest mocen artykułu tego znieść lub choćby zawiesić czasowo; nie zdolną jest do tego nawet wola jednogłośna narodu. Żadne względy doktrynerskie, choćby najbardziéj napozór rozumne i szlache-

tne, nie mogą przeważyć kardynalnego obowiązku państwa, jakim jest zachowanie własnego bytu. Wolno pojedyńczemu osobnikowi w chwili cierpienia ratować się samobójstwem, wolno stawiać życie na kartę w przedsięwzięciach awanturniczych, lub oddać je za mrzonkę—będzie to brakiem wytrzymałości, lekkomyślnością, poświęceniem nawet; dla ciała państwowego zawsze będzie zbrodnią „Rzecz publiczna nie należy do narodu, lecz do społeczności przeszłéj, teraźniejszéj i przyszłéj“, razem wziętych. Pokolenie każde odrębne jest jedynie zawiadowcą (*gérant*) czasowym, odpowiedzialnym za cenną spuściznę, jaką przekazało mu pokolenie poprzedzające pod tym jedynie warunkiem, że odda ją nienaruszoną w ręce pokolenia następnego (1).

Już z saméj definicyi powyższéj wypada, że państwo, zjawisko dawne i ciągłe, nie może być rozpatrywane ze stanowiska oderwanego. Inne tu jeszcze myśli nastręczają się autorowi traktatu „O inteligencyi“. „Liczba komórek mózgowych człowieka—odzywa się nagle, zapominając o charakterze swym dziejopisarza—„dochodzi 1200 milionów, zaś łączących je włókien—4 miliardów“. Wobec niepojętéj komplikacyi funkcyi życiowych każdy człowiek „właściwie mówiąc jest szaleńcem“, zdrowie „często się przytrafiającym i pięknym wypadkiem“, normalny rozwój osobnika „cudownym zbiegiem okoliczności“. Cóż dopiero powiedziéć o ogromnym organizmie społecznym i państwowym! Tak więc z różnorodnych przesłanek wyłania się wielka i płodna zasada „tak prosta, że się wyda dziecinną i ledwie ośmielam się ją wygłosić, jakkolwiek wszystkie me sądy poprzednie w niéj biorą początek“. A mianowicie, „społeczeństwo ludzkie, zwłaszcza zaś nowożytne, jest rzeczą obszerną i złożoną. Stąd to trudno ją rozumiéć. Trudno nią dobrze kierować. Zatém umysł ukształcony sposobniejszy jest do kierownictwa, niż nieukształcony, człowiek specyalnie przygotowany sposobniejszy od nieukształconego. Z dwu prawd ostatnich wynikają nowe ważne następstwa“. Dalsze owe wyniki znajdują wyjaśnienie w dziejach powstania klas uprzywilejowanych. „W Europie, od Rosyi do Portugalii, od Norwegii do Obojéj Sycylii, państwo, ze względu na swój początek i charakter, jest instytucyą militarną“; przez ten fakt historyczny uwarunkowane zostało z góry stanowisko króla i szlachty w państwach europejskich. Obadwa te stany wysunęły się na czoło społeczeństwa, dzięki specyalnym pewnym przymiotom, z mocy politycznego doboru naturalnego. Zdobywcy i organizatorowie kraju, odznaczali się siłą fizyczną, hartem woli, praktycz-

(1) *L'anarchie.* liv. II. Ch II. 183 i nast.

nym acz nie przebierającym w środkach umysłem. Nie najpotężniejszy,—najzdolniejszy z nich obejmuje stanowisko przednie i najcięższe: zabiegliwi potomkowie Hugona Kapeta i Henryka IV dokonywają przemiany ostatecznéj „małéj ojczyzny feudalnéj na wielką narodową", którą czynią państwem spójném i samodzielném. Podobnież duchowieństwo wywalczyło sobie przywileje dzięki niepospolitym przymiotom umysłowym i moralnym. Pośród barbarzyńców średniowiecznych był pasterz duchowny przedstawicielem wiedzy, wzorem nowych cnót ewangelicznych; kościół był azylem, klasztor akademią. Z biegiem czasu zmieniły się potrzeby, lub zostały zaspokojone—czyż wraz z niemi mają zniknąć odpowiadające im narządy? Bynajmniéj, albowiem „lepiéj jest w sprawach dziejowych prowadzić rzecz daléj, aniżeli rozpoczynać na nowo" i „wielki to zysk dla narodu, jeśli zachowując dotychczasowych dowódców, wolny jest od operacyi niepewnéj i strasznéj, polegającéj na stwarzaniu sobie nowych". Wartość społeczna stanów uprzywilejowanych wzrasta nawet z biegiem czasu: zachowane dziedzicznie cenne cechy praojców udoskonalają się w kierunku użyteczności publicznéj przez specyalizacyę w pełnionéj przez wieki służbie na rzecz ogółu. W końcu wieku zeszłego w przedstawicielach klas uprzywilejowanych uosabiała się „cała niemal zdolność, wiedza i rozum polityczny Francyi", „po za ich głowami w reszcie 26 milionów mózgów francuskich nic zgoła się nie znachodzi oprócz formułek niebezpiecznych a pustych" (1). „Kiedy ocenia się las, osobno się rachuje starodrzew, dęby, buki, osinę, osobno gąszcze i zarośla..; kilka tysięcy pięknych sztuk drzewa, trzy lub cztery krośtotysięcy pni zdatnych na wyrąb więcéj zawierają użytecznego materyału, niż 20—30 milionów drobnéj drzewiny i krzaków". Jedyną rzecz, jakiéj potrzeba było Francyi w wieku XVIII, jakiéj dziś jeszcze potrzeba Europie, to racyonalna „odnowa rządu feudalnego", „zamiana kadrów wojskowych na cywilne". Zaspokojenie zmodyfikowanych, lecz licznych jeszcze a drażliwych potrzeb religijnych oraz służba dobroczynności publicznéj winna była postać i nadal wyłącznym obowiązkiem duchowieństwa; służba administracyjna i sądowa, reprezentacya interesów lokalnych wobec centru rządzącego należała się z prawa stanowi rycerskiemu; król, mniéj mając kłopotu z pilnowaniem bezpieczeństwa na zewnątrz, doskonałym byłby regulatorem zawiłego wewnętrznego mechanizmu państwa. Przez systematyczne ignorowanie tych prawd, wynikających z natury i dziejowego rozwoju organizmu społecznego, teorya demo-

(1) *Le gouv. révol.* liv. II. Ch. I. 403.

kratyczna podkopała zdrowe fundamenty życia państwowego, prowadząc w nieuniknionéj konsekwencyi do anarchii lub

Wyłuszczona apologia klas uprzywilejowanych zapewne może się przyłożyć do złagodzenia przeciwnych poglądów radykalnych, zbyt często dziś do uprzykrzenia powtarzanych. Wszakże w formie absolutnéj, w jakiéj wygłasza ją Taine, nasuwa ona liczne wątpliwości, do których po części dostarcza materyału własne jego dzieło. Opisując *„l'ancien régime"*, sam wykazał wymownie, że w wieku XVIII, na skutek nieprzepartego procesu dziejowego, poziom duchowy stanów uprzywilejowanych opadł poniżéj wznoszącego się równocześnie poziomu innych liczniejszych warstw społecznych. Odmalował duchowieństwo zdemoralizowane, chciwe, egoistyczne, szlachtę rozbawioną, surową dla ludu, dla króla lokajską, wreszcie ognisko rządu, króla, despotycznego i słabego zarazem, „wrzód publiczny", „ranę nabrzękłą i bolesną", skąd „wylewają się wszystkie niesprawiedliwości i nieszczęścia". Zaś po trzech latach czytamy naraz o „znakomitém uzdolnieniu politycznem arystokracyi" francuskiéj, a nawet zapewnia nas Taine, że w r. 1789, materyały do dobréj izby wyższéj zupełnie były gotowe, należało je tylko zgromadzić" (1). Poprzednio z niezwykłą siłą przedstawił był Taine potworne położenie ludu i uwydatnił konieczność gruntownego przewrotu. Tutaj okazuje się, że można było zaradzić złemu o wiele tańszym kosztem; potrzebne były „dwie tylko reformy, proponowane przez króla i uprzywilejowanych": budżet przez stany generalne sprawdzany, nowe podatki i długi państwowe przez nie zatwierdzane i obieralne zgromadzenia prowincyonalne—prosta „odnowa rządów feudalnych" (2). Co gorsza, porwany żywością własnego wykładu i pod wpływem spółczucia dla zwyciężonych, urabia sobie Taine całkiem subiektywne i dowolne kryteryum polityczne. Słusznie można mu odpowiedzieć, zwracając przeciw niemu własne jego porównanie, że na „las" inaczéj patrzy drwal i kupiec, inaczéj botanik. Las nie na to rośnie, aby szedł na opał, czy budulec; rośnie, aby rość, aby żyć, a nędzny krzak równe ma prawo do życia, jak dąb, lub sosna, milion krzaków stokroć więcéj praw niż nieliczne dęby. Tembardziéj, że jak sam Taine gdzieindziéj przyznał, w „borze" francuskim znajdowało się pośród zachwalanego „starodrzewu" wiele „drzew zbytkownych, słabowitych, o nikłym rdzeniu, a nader kosztownych". Aby zaś dać pokój porównaniom, zaznaczmy, że Taine również bez powodzenia usiłuje rozciągnąć swą argumentacyę do innych państw europejskich. Arysto-

(1) *L'anarchie*. 193.—(2) „C'était assez" powtarza Taine dwukrotnie. Ib. 181, 182.

kracyi francuskiéj stawia za wzór szlachtę angielską i niemiecką w XVIII stuleciu i powołuje się na Prusy, gdzie rubaszni junkrowie „dzięki tym samym (co posiadane przez szlachtę francuską) tradycyom i przesądom, zwyczajom i właściwościom stworzyli armią pruską, zorganizowali niemiecką i uczynili z Niemiec pierwsze w Europie mocarstwo“ (1). Przykłady te szwankują pod względem historycznym i politycznym zarówno. Opłakany stan wewnętrzny Anglii za panowania trzech Jerzych, rządy, które pozbawiły kraj najbogatszych kolonii i niemal przyprawiły o zgubę, w żaden sposób nie mogą stanowić zachęcającego wzoru. Podobnież rzecz się ma z osławioną gospodarką w świętém państwie rzymskiém, w drugiéj zwłaszcza połowie z. w., tragikomiczną imitacyą gospodarki wersalskiéj (2). Zważmy téż, że „notable“ francuscy mieli swój Rosbach, junkrowie pruscy Jenę. Zważmy, że apoteozowani przez Taine'a „notable“ w nieszczególném przedstawiają się świetle jako natrętni emigranci, godzący wespół z łaskawymi sprzymierzeńcami na kraj ojczysty; że wreszcie ciż sami panowie, „gotowy materyał na izbę wyższą“, tak kruchym okazali się „materyałem“ prawodawczym za restauracyi. Dodajmy, że oceniając równocześnie działalność Konstytuanty, Zgromadzenia Prawodawczego i Konwentu, nie znajduje Taine dosyć ostrych słów potępienia dla całéj téj olbrzymiéj pracy prawodawczéj, w tak krótkim czasie dokonanéj.

Po wyjaśnieniu w rysach ogólnych zajętego przez siebie stanowiska, zwraca się dopiero Taine do części negatywnéj swego zadania. W państwie demokratyczném, po zdarciu wszelkich osłonek doktrynerskich, uznaje jako jedyną zasadę prawa publicznego przewagę liczebną większości, a co zatém idzie, rezygnacyę dobrowolną lub wymuszoną mniejszości. Pomijając utopistów krańcowych, pragnących stosowania téj zasady w formie ciągłéj, przez masy wykonywanéj czynności prawodawczéj, wypada rozpatrzyć się w umiarkowanym już praktycznie w wielkich rozmiarach stosowanym systemacie demokracyi reprezentacyjnéj. Władzę najwyższą powierza tu brany zosobna wyborca kilkuset posłom, z których jednego tylko wybiera i to pospołu z tysiącami innych wyborców. Tego zaś jedynego „mojego“ posła, na którego wybór w tysiącznym ułamku wpływam, za pośrednictwem którego mam narzucić „moję“ wolę kilkuset jego towarzyszom, w jakiż sposób szukam i znajduję,

---

(1) *Gouv. rév.* 409. *L'anc. rég.* liv. I. Ch. III. — (2) Oglądaliśmy ją zbliska za Sasów. Taine zdaje się, nie zna języka niemieckiego, stąd nie mógł uwzględnić obszernéj literatury o historyi wewnętrznéj Niemiec w XVIII w. Trudniéj już zrozumiéć naciąganie stosunków angielskich, tak doskonale mu znanych.

na czém opieram to zaufanie bez granic, z jakiém w jego ręce oddaję los własny i kraju? Pomińmy znowuż wszelkie machinacye stronnicze, towarzyszące zazwyczaj wyborom w formie przekupstwa lub nacisku, i przypuśćmy zupełnie prawidłową czynność wyborczą. Staje tedy przeciętny wyborca w obliczu mnogości kandydatów, których zna bardzo powierzchownie z przemówień okolicznościowych lub artykułów gazeciarskich, defilują przed nim ludzie zręczni, wielomówni, najczęściéj „politycy zawodowi“. Nic nie poręcza ich uczciwości ani wiedzy; nie posiadają dyplomu wymaganego od nauczyciela, nie przedstawiają gwarancyi, jaką daje korporacya lekarzowi lub duchownemu; „na zasadzie legitymacyi tak błahych wahanoby się przyjąć lokaja“ (1). Po za tém wszystkiém strapionemu wyborcy pozostaje jeszcze perspektywa, że kandydat jego pozostanie w mniejszości, a z nim razem przepadnie cały obiecany udział w rządzeniu. Z drugiéj strony „owe kilka milionów wyborców są to ci właśnie ludzie, którzy najmniéj mają czasu do stracenia“, a wybory czasu zabierają sporo, zwłaszcza, że według zasad demokratycznych wymaganém jest częste odnawianie reprezentacyi narodowéj. Zresztą obok tych wyborów głównych odbywają się najróżnorodniejsze lokalne, dla obsadzenia przez głosowanie urzędów administracyjnych a nawet sądowych—konsekwentny wynik doktryny demokratycznéj. Obarczona w ten sposób ludność usuwa się od uciążliwéj a wątpliwego pożytku funkcyi; głosuje nieliczna garstka fanatyków i nicponiów, do których wraz z urną wyborczą przechodzi wszechwładztwo (2).

Przenieśmy się nareszcie do ukonstytuowanego już ciała prawodawczego. Zgodnie z formułką demokratyczną, składa się ono z jednego niepodzielnego zgromadzenia; gdy więc żadnego postronnego nie posiada regulatora, winno z podwójną oględnością radzić i decydować. Cóż, kiedy z saméj swéj istoty nie jest do tego uzdolnione. W trzech wielkich zgromadzeniach repezentacyjnych francuskich z wieku zeszłego dostrzegać się daje ciągłe obniżanie się poziomu intelektualnego i moralnego (3); większą część tych zgromadzeń stanowią adwokaci, z zawodu już ludzie chwiejnych zasad i wątpliwéj wiedzy. Nie wielu rozsądniejszych skupia się na prawicy, lecz broniąc urządzeń istniejących, aż nadto znanych, względem których zmuszeni się widzą liczne czynić zastrzeżenia, nie znajdują

(1) *Gouv. révol.* 131. — (2) Wielokrotnie powraca do tego Taine. *L'anarchie*, 269 i nnst. *La conqu. jacob.* 42. 43. *Gouv. révol.* 560.

(3) *L'anarchie* liv. II. Ch. I. *La conqu jac.* Ch. IV „baissement du niveau politique“ 94. *Gouv. révol.* liv. III. Ch. II znów „abaissement des âmes“ 226.

oni w sobie téj rzutności i ognia, elektryzującego tłumy, jaki posiadają w wysokim stopniu fanatyczni ich przeciwnicy. Pośrodku zbita masa umysłów umiarkowanych i uczciwych tworzy centrum. które decydująco może zaważyć na szali, zaś sympatyami swemi skłania się ku spokojnym zachowawcom. Niestety cechą dominującą tego stronnictwa jest bezwładność zupełna; ustępuje ono ślepo energicznemu prądowi, idącemu od lewicy. Rezultat taki potęguje inna jeszcze okoliczność, również pozostająca w związku z doktryną: jawność głosowania. W Zgromadzeniu Prawodawczém 92 r., prezydujący, wybierani przez tajne głosowanie, należą zazwyczaj do umiarkowanych, kiedy równocześnie najbardziéj dla tych ostatnich nieprzychylne zapadają dekreta (1). Ta uwaga Taine'a nie jest pozbawiona głębszéj doniosłości. Pewien wpływ ujemny jawnego głosowania odnosi się do zgromadzeń, obradujących w ogólności, gdyż wynika z téj ogólnéj prawdy psychologicznéj, że śród ludzi bez charakteru więcéj jest uczciwych, niż nieuczciwych. Podobnież posiada znaczenie ogólniejsze to, co mówi Taine o usposobieniu typowém stronnictw parlamentarnych. Powielekroć akcentuje on smutne następstwa niezdecydowanéj polityki umiarkowanych, która dziś jak przed stu laty tyle jest dla Francyi szkodliwa (2). Wydaje się niestety jakby pewną koniecznością psychologiczną, że kierunek umiarkowany, a więc zazwyczaj najzdrowszy, rzadko idzie w parze z energiczną i czynną wiarą.

Przy takich warunkach, z natury rzeczy rządom demokratycznym towarzyszących, potrzebna jest szczególna przezorność przy zakreślaniu granic kompetencyi prawodawczéj. „Jeśli w każdéj konstytucyi nowożytnéj, działalność państwa winna być ograniczoną, najbardziéj należy ją ścieśnić w demokracyi nowożytnéj." Powraca tą drogą Taine — i z bardziéj już realnego stanowiska—do dotkniętéj poprzednio kwestyi o „granicach władzy państwa". Pierwszy obowiązek państwa — zachowania własnego bytu, — polegający na ciągłem działaniu na pożytek społeczności rządzonéj, powoduje różnorodne potrzeby publiczne, które obywatele ze swéj strony zaspokoić są obowiązani. Dla obrony społeczeństwa od złoczyńców w stosunkach cywilnych, od napaści sąsiadów—w międzynarodowych, okazuje się niewystarczającą inicyatywa prywatna. Konieczna jest siła zbrojna, ciało dyplomatyczne, policya, instytucye sądowe, słusznie więc państwo kierować będzie obroną, słusznie

(1) *La conqu. jacob.* 115. — (2) Dla niektórych odłamów dzisiejszej Izby, a zwłaszcza senatu francuskiego, w dziele Taine'a zawierają się ważne napomnienia i przestrogi. Ob. Ib. ch. IV i VII.

wszystkie jéj koszta ciążyć będą na obywatelach. Wolno nadto państwu w interesie pożytku publicznego przedsiębrać niektóre czynności, wykraczające po za granice ściśléj „obrony“: „bić monetę, ustalać miary i wagi, zarządzać kwaratanny, budować przystanie, tamy, kanały, drogi publiczne, wywłaszczać w tych wypadkach osoby prywatne za stosowném wynagrodzeniem, zakładać biblioteki i muzea, niekiedy nawet utrzymywać szkoły, kościoły, teatry“ (1). Do pewnéj atoli znowu granicy, wskazanéj również przez wzgląd na dobro publiczne, acz z innéj już strony uważane. Przedewszystkiém „interes bezpośredni“ jednostki wymaga wolności jaknajszerszéj; zarówno ze względu na charakter naturalny człowieka, jako odrębnego, zamkniętego w sobie ustroju, jakotéż z uwagi na skomplikowany jego rozwój historyczny po przez „trzy lub cztery religie, pięć do sześciu cywilizacyj, trzydzieści wieków kultury natężonéj“, należy jak najmniéj krępować swobodę ruchów „téj najbardziéj oryginalnéj i wrażliwéj z istot żywych“. Z drugiéj strony „interes pośredni“ społeczeństwa, polegający na udoskonaleniu i obfitości produkcyi (materyalnéj i duchowéj), wymaga koniecznie wielkiéj wolności osobistéj. Praca indywidualna produkcyjniejszą jest od wykonywanéj z urzędu i tak się ma do téj ostatniéj, jak „źródło żywe, bijące, do sztucznie odżywianéj cysterny“. „Nawet dla kraju uczciwego, jak Francya, obliczono, że przedsięwzięcie podjęte przez państwo kosztuje o ¼ więcéj i o ¼ mniéj jest zyskowne, niż podjęte przez osobę prywatną“. Prawo to rozciąga się na wszystkie niemal dziedziny działalności człowieka. Bezustannie i z natężeniem wszystkich sił duszy „myśli matka o swém dziecku, artysta o sztuce, Faraday o elektryczności, siostra miłosierdzia o biednych“—państwo przy całéj potędze swych środków nigdy nie potrafi zastąpić téj żywéj potęgi inicyatywy samoistnéj. Tylko przy takiém biernėm z zasady, a uprzedzającém względem przedsiębierczości prywatnéj zachowaniu się państwa, zostanie urzeczywistnione „nowe w historyi hasło“—zdolność społeczeństwa do rozwoju nieskończonego.

Na tém zamykamy szereg świetnych, lecz nazbyt pobieżnych uwag politycznych Taine'a. Łacno dostrzeże w nich czytelnik jednostronność, a niekiedy i rażące sprzeczności. „Najpierwszym obowiązkiem rządu, zarówno jak żandarmeryi, jest utrzymanie porządku siłą (*par la force*); zaś żandarm nie jest filantropem, napadnięty winien czynić użytek ze swéj szabli“ (2).

---

(1) *Gouv. révol.* 138. 145.

(2) *La conqu. jacob.* Ch. VIII. 241.—*Le gouv. révol* 176.

Trudno pogodzić takie aforyzmy z pojęciem o biernéj roli władzy państwowéj, choćby przyjąć w rachubę wszystkie wyszczególnione przez Taine'a wypadki, w jakich dopuszcza inicyatywę rządu. Wyszczególnienie to, jak zresztą być musiało, również okazuje się niewystarczającém. Pominął w niém naprzykłd koleje żelazne, idąc za zdaniem przyjaciela swego Say'a, zdaniem niewątpliwie błędném, a podziś dzień panującém we Francyi z pożytkiem sfer finansowych, a szkodą dla kraju. Nie myślimy tu wszakże wdawać się w ocenę poglądów politycznych Taine'a, głównie chodziło nam o samo ich przedstawienie. W ogólności więc tylko ostrzegamy przed upodobaniem przesadném Taine'a do formułek symetrycznych i antytezy, w którém wyraził się wpływ metody heglowskiéj na jego wykształcenie filozoficzne. Żałować wypada, że nie przejął się tutaj raczej spokojnym sposobem wykładu znakomitego myśliciela angielskiego, którego tak świetnym okazał się niegdy interpretatorem. Obrona idei indywidualistycznéj przeciw spółczesnym zachciankom niwelacyjnym, prowadzona z większém umiarkowaniem i uwzględnieniem kwestyj ekonomicznych,—jak to czynił J. S. Mill,—niewątpliwie bardziéj jeszcze okazałaby się skuteczną. W każdym razie odtąd w pierwszym rzędzie obrońców wielkiéj téj a opuszczonéj dziś idei postawić należy wymownego i surowego historyka „Francyi spółczesnéj".

II.

W kwietniu 1885 r. londyńska „*Quarterly Review*" rozpoczęła druk artykułów politycznych, które od pierwszej chwili zwróciły na siebie uwagę szerszego ogółu, wywołując mnóstwo odpowiedzi i krytyk. Ukrywający się autor w formie niezmiernie żywéj i popularnéj wypowiadał szereg myśli nader oryginalnych, wykazując przy całéj wytworności wykładu wielkie panowanie nad traktowanemi materyami prawa publicznego. Niebawem dowiedziano się, że autorem rozgłośnych „studyów" był nikt inny, jak znakomity autor „Prawa starożytnego", sir Henryk Maine.

Henry-James Sumner Maine urodził się r. 1822, z rodziny pochodzenia szkockiego. Ukończywszy studya prawne w Cambridge, obok których z upodobaniem oddawał się zajęciom nad matematyką czystą, wkrótce został profesorem prawa rzymskiego w kolegium Trinity Hall. Przez wydanie w roku 1861 „Prawa starożytnego w związku z historyą pierwotną społeczeństwa i ideami nowożytnemi" odrazu zdobył rozgłos europejski. Głęboka, choć dyskret-

nie wykazywana erudycya, śmiałość, a zarazem trzeźwość nie wdającéj się w formalistykę a zawsze na gruncie żywych zjawisk pozostającéj analizy, dziwna sprężystość umysłu, który przez zestawienie zjawisk odległych z nowożytnemi umie osiągać pouczające analogie i nieoczekiwane uogólnienia — oto niektóre cechy wybitne tego pisarza, pięknie uwydatnione już w najpierwszém jego dziele (1). W następnym roku mianowany doradcą prawnym przy rządzie Indyj angielskich, obok téj funkcyi, wymagającéj wiele pracy i taktu (2), potrafił pełnić urząd czynnego wice-kanclerza uniwersytetu w Kalkucie. W r. 1869, po powrocie do Anglii, obejmuje katedrę prawa porównawczego w Oksfordzie; 1871 r. zostaje członkiem Rady Indyjskiéj, zasiadającej w Londynie, i tegoż roku ogłasza drukiem sześć swych wstępnych lekcyj w Oksfordzie pt. „Village-Communities in the East and West“. Rozwija tu i głębiéj uzasadnia przez zużytkowanie bogatego zasobu wiadomości, jakie wyniósł z Indyj, pomysły historyczne, zarysowane w poprzedniém dziele. W dalszym ciągu pojawiły się w 1874 r. „Lectures on the early history of institutions“, również w Oksfordzie wygłoszone, z uwzględnieniem szczególném ignorowanego w Anglii prawa starożytnego irlandzkiego.—1883 r. ukazał się p. t. „Dissertations on early law and customs“ zbiór rozpraw, bądź to wyjętych z wykładu uniwersyteckiego, bądź rozproszonych po czasopismach. Wreszcie 1885 r. zebrane zostały zajmujące nas obecnie artykuły polityczne w liczbie czterech p. t. „Popular government“. Ku końcowi 1887 r. został Maine powołany na katedrę prawa międzynarodowego w Cambridge; dla wypoczynku przed rozpoczęciem wykładu miał zamiar odwiedzić Włochy, po drodze, w Cannes, śmierć zaskoczyła go po krótkiéj chorobie 3 lutego 1888 r. (3).

W „Prawie starożytném“ miał Maine na oku głównie powstanie instytucyj prawa cywilnego; w następnych pismach, coraz bar-

---

(1) Właściwie najpierwszém pismem Maine'a było niewielkie studyum „*Roman law and legal education*“, drukowane w „Cambridge Essays“ za r. 1856, — (umieszczone w IV wydaniu *Village Communities* 1881 r., 330 — 387).

(2) „To make a watch keep true time in two longitudes at once“, jak sam dowcipnie się wyraził. *The Effects of India* 1875 p. 37.—Sir A. C. Lyall, po śmierci Maine'a podniósł myśl ogłoszenia drukiem cennych jego przemówień i wniosków, jako czynnego współpracownika 209 bilów Indyj dotyczących. — *The Law, Quarterly Review*, April 1888, p. 135.

(3) Zpowodu jubileuszu królowéj ogłosił Maine w 1887 r., rzecz o rządzie Indyjskim; z pisma tego wszakże nie byłem w stanie skorzystać. — Dla niniejszéj dygresyi biograficznéj niechaj służy za uniewinnienie, że w czasopiśmiennictwie naszem, po zgonie znakomitego uczonego, nigdzie nie napotkaliśmy dokładniejszéj o nim wzmianki. Po bliższe szczegóły życiorysu odsyłamy do *Revue histor*. 1888. T. XXXVII. 153 — 160.

dziéj pogłębiając swe dociekania socyologiczno-prawne, podciąga pod nie niektóre zasadnicze kwestye prawa publicznego. „Zdawna żywiłem pragnienie i nadzieję, powiada w przedmowie do ostatniego swego dzieła, że potrafię zastosować metodę historyczną do urządzeń politycznych człowieka. Wszelako badanie historyczne tych urządzeń, które pozwoliłoby ocenić istotną ich wartość, napotyka poważną przeszkodę w postaci mnóstwa obficie dziś rozkrzewionych idei i wierzeń, odnoszących się do pewnéj szczególnéj formy rządu, a mianowicie formy krańcowéj rządu ludowego, zwanej demokracyą". Ku końcowi w. XIX znalazła się Europa zachodnia pod panowaniem urządzeń, którym wszyscy, za wyjątkiem nielicznej garstki, przypisujemy charakter wielkiéj trwałości. Dziewięć dziesiątych ludzi, jedni z nadzieją, inni z obawą, zapatrują się na rząd ludowy, coraz szerzej rozpościerający swą władzę, jako na instytucyę, która ma zapewnione wieczne istnienie i podlegać może modyfikacyom w jednym tylko postępowym kierunku. Prąd demokratyczny bez trudu pokonywa niedołężny opór, jaki stawiają mu „wyjątkowe umysły katolickie, w których dyplomacya Leona XIII nie zdołała zatrzéć pamięci o syllabusie Piusa IX, przerzedzone szeregi legitymistów francuskich i hiszpańskich, topniejąca garść wiernych dworaków wygnanych książąt niemieckich i włoskich". Wogóle śród państw europejskich jedynie tylko Rosya i Turcya odrzucają bezwarunkowo teoryę, że władza rządu powstaje przez delegacyę takowéj przez lud osobom rządzącym; zresztą zaś została ta teorya w zupełności przyjętą we Francyi, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Holandyi, Belgii, Grecyi i państwach skandynawskich,— w Niemczech, mimo oporu cesarza i jego wszechwładnego ministra, w wielu wypadkach bywa stosowaną, w Anglii, przy zachowaniu skrupulatném sprzecznych z nią form starodawnych, stała się faktycznie regułą kierującą życia politycznego. Ślepa wiara w tryumf nieunikniony zasad demokratycznych, któréj rozpowszechnienie stanowi najdzielniéjszy środek dla przyśpieszenia ich zwycięstwa, jest pochodzenia francuskiego i powstała bardzo niedawno. Pierwsze jéj ślady napotykamy po wypadkach 1830 r., kiedy przejawia się dobitnie w dziele wielkiego wpływu francuskiego arystokraty i legitymisty (1); w czasach poprzedzających bezpośrednio rok 1848 wiara ta znalazła już wielu fanatycznych apostołów. Mniejsza jeszcze, że Blanc lub Lamartine wielkim głosem przepowiadają coraz nowe przewroty społeczne i apoteozują najbardziéj osławionych mężów i czyny rewolucyjne; bardziéj jest zastanawia-

(1) Pierwsza część „Democratie en Amérique" ukazała się 1835 r. druga 1839 r.

jące, gdy poważny Tocqueville, pod wrażeniem amerykańskiego życia publicznego, z niepokojem i nieufnością, lecz niemniéj z poddaniem się fatalistyczném oczekuje nadejścia ery demokratycznéj w Europie. Kiedy tym sposobem nawet przeciwnicy dogmatu demokratycznego ustępują pola bez walki, jakby przed niezwyciężoną potęgą elementarną, należy zdać sobie sprawę dokładnie, o ile fatalizm taki znajduje uzasadnienie w biegu istotnym dziejów.

„Przed dwustu laty zaledwie postawiono teoryę nowożytnego rządu ludowego, od stulecia niespełna datuje się praktyczne jéj zastosowanie po za obrębem Anglii. Ubogi materyał doświadczalny rządów demokratycznych, gdyby nawet wykazywał same pomyślne rezultaty, nie wystarczałby jeszcze dla uzasadnienia nadziei optymistycznych; cóż dopiéro, kiedy cały ten materyał zgodnie świadczy o „niezmiernéj wątłości rządów ludowych". W istocie, we Francyi „od zaprowadzenia wolności politycznéj" rząd ustanowiony „z woli ludu", trzykrotnie był obalony przez motłoch paryski: 1792, 1830 i 1848 r.; trzykrotnie przez armią: 1797 r. (18 Fructidora'a), 1799 r. (18 Brumaire'a) i 1851 r. (2 grudnia), trzykrotnie upadł na skutek inwazyi nieprzyjacielskiéj, w 1814, 1815 i 1870 r. „Wogóle, jeśli opuścić anormalny okres od r. 1870 — 1885, miała Francya od początku politycznych swych eksperymentów 44 lata wolności i 37 ciężkiéj dyktatury". W Hiszpanii, nurtowanéj bez przerwy przez żywioły demokratyczne od czasów „konstytucyi" kadykskiéj, można naliczyć, w krótkim okresie od 1812 r., 40 rokoszów wojskowych poważniejszéj natury, ze współudziałem ludu, przyczém w dziewięciu wypadkach (włączając już *pronunciamento*, dzięki któremu Alfons XII dostąpił tronu) istniejącą konstytucyę doszczętnie zniesiono. W Niemczech i Austryi, gdzie ruch demokratyczny przejawił się czynnie dopiéro od r. 1848, „zgromadzenia narodowe" berlińskie, wiedeńskie i frankfurckie po kilkomiesięczném istnieniu rozpędzone zostały na cztery wiatry przez siłę zbrojną. Piękny rozwój historyczny Stanów Zjednoczonych przerwany został pośrodku przez pasmo walk bratobójczych 1861—1865 r. Wreszcie liczny szereg państw republikańskich pochodzenia hiszpańskiego, ciągnących się od granicy Meksyku do cieśniny Magellańskiéj, przechodzi bezustannie najgwałtowniejsze burze polityczne, przedstawiając kolejno obraz anarchii zupełnéj lub tyranii przypominającéj cezarów rzymskich: z liczby 14 prezydentów rzeczypospolitéj boliwijskiéj, trzynastu skończyło z ręki mordercy lub na wygnaniu (1). Obok tych faktów niewątpliwych a wymownych postawmy dla kontrastu przy-

(1) *Popular government*, Ess. I. 14 i nas.

kłady długowieczności cesarstwa rzymskiego i byzantyjskiego, monarchii francuskiéj i oligarchii weneckiéj, a porównanie wypadnie dla „rządów ludowych“ nader nieprzychylne. Zarazem wielka pewność siebie zwolenników tych rządów i apatya ich przeciwników okazuje się pozbawioną zasady naukowéj.

Nietrwałość urządzeń demokratycznych uwarunkowaną jest przez nieodłączne od nich, a nawet bezpośrednio z nich wynikające czynniki rozkładowe. Jednym z takich czynników, na który nie zwrócono dotychczas należytéj uwagi, jest duch stronnictwa (*party*). Posiada on wiele podobieństwa do żywiołu religijnego: „dewoci partyjni, podobnież jak religijni, chętnie wmawiają sobie, że przyjęli swe przekonania po dojrzałym namyśle, kiedy w istocie urodzili się ze swą wiarą, lub przypadkowo się z nią zetknęli“. Większe jeszcze podobieństwo zachodzi pomiędzy dyscypliną partyjną a wojskową; „ze stanowiska historycznego duch stronnictwa nie jest zapewne niczém innném, jak pozostałością i wytworem pierwotnego usposobienia wojowniczego (*combativeness*) ludzkości“ (1). Trzymane na wodzy przez rząd monarchiczny, otrzymują żywioły fakcyjne przy demokratycznéj formie rządu zupełną swobodę działania, gdyż tutaj z mocy samego prawa peryodycznie ścierać się muszą stronnictwa. Niemniéj zgubny jest inny czynnik, wprost już zależny od natury demokracyi. Według definicyi Hobbes'a „wolność jest to władza polityczna, pocięta na drobne kawałki“; nigdzie zaś nie są one mniejsze, niż w państwie demokratyczném, gdzie po zerwaniu węzłów stanowych i korporacyjnych, bierze bezpośredni udział w rządzeniu każdy z osobna wyborca. Krańcowa teorya demokratyczna w polityce odpowiada krańcowéj komunistycznéj w sprawach ekonomicznych; w obudwu wypadkach na dobijającą się władzy i dobrobytu jednostkę przypada skrawek mikroskopijny. Niedługo, a wyborca, przeświadczony o małéj wartości posiadanego udziału we władzy, albo faktycznie się go zrzeka albo rozgląda się za kupcem, któryby zechciał odeń nabyć bezużyteczne a wymagające zachodu prawo. Pojawia się więc z jednéj strony t. zw. „*wire-puller*“, demagog-reżyser, wprawną ręką kierujący ruchami maryonetek politycznych, rozdmuchuje nienawiści, podnieca zapał stronników, „czyni im odwrót trudnym i nieprzyjemnym“. Obok niego znów staje i działa ręka w rękę „gałganiarz polityczny“, który zbiéra porzucone przez właścicieli „strzępy“ lub w razie potrzeby płaci za nie dobre pieniądze. Od téj chwili walka stronnictw, zatruta przez korupcyę, staje się walką osobników najburzliwszych, lekce-

(1) Ib. Ess. II. 101. Por. Ess. I. 31 i nast.

ważących sobie dobro publiczne a zaprzątniętych całkowicie troską o własną kieszeń i stanowisko, w najlepszym razie o tryumf abstrakcyjnéj mrzonki; społeczeństwo podlega coraz częstszym i głębszym wstrząśnieniom. Niebezpieczeństwo potęguje inna jeszcze okoliczność. W stuleciu bieżącém zrodziła się idea nieznana światu starożytnemu, za wyjątkiem może Rzymu, idea „imperyalizmu“, inaczéj dążność patryotyczna ku wywyższeniu międzynarodowemu. Tendencya ta, która stworzyła dzisiejsze Niemcy i Włochy, wywołuje potrzebę wielkiéj potęgi militarnéj: obecnie cała prawie ludność męska znajduje się w kwiecie wieku pod bronią. Tutaj „*wirepuller*“ w postaci oficera z nierównie większą łatwością nieskończenie potężniejsze i powolniejsze zyskuje narzędzie polityczne. Wpływ armii na los państw demokratycznych wzmaga się z dniem każdym i dziś już „za wyjątkiem Stanów Zjednoczonych nie ma kraju, gdzie armia, działając jednomyślnie i zachowując swe uzbrojenie, nie byłaby w stanie zagarnąć władzy zwierzchniéj“.

Tym sposobem „to, co nazywamy wolą narodu, jest w rzeczy saméj dziełem jednéj lub kilku jednostek“. Nie może być zresztą inaczéj z ogólnego względu psychologicznego. W istocie, w jaki sposób „demos“, ogromne ciało zbiorowe, może wykonywać akt woli? Utarło się mniemanie, że czyni to podobnież jak zwyczajna jednostka; mówi się ciągle o „woli powszechnéj“, o „opinii publicznéj“, o „*vox populi*“. Wyrażenia te mają oznaczać, że wielka ilość ludzi może w wielkiéj ilości kwestyi dojść do identycznych wniosków i postanowień. Lecz oczywiście przypuszczenie takie daje się stosować jedynie względem kwestyi najprostszych a w miarę większéj ich komplikacyi szybko traci na prawdopodobieństwie. Jasno ilustruje tę prawdę historya sądownictwa ludowego. Pierwotnie, zarówno w sferze cywilnéj i karnéj, władza sądowa należała do ludu i sądy odprawiano na zwyczajnych zgromadzeniach powszechnych. Gdy stosunki społeczne stały się bardziéj złożone a równocześnie wzrosła rozmaitość sporów cywilnych, gdy z drugiéj strony do pojęcia o przestępstwie wpłynął nowy pierwiastek prawa publicznego, przechodzi z natury rzeczy juryzdykcya od zgromadzeń do monarchy, a następnie z jego ramienia pełniona jest przez sędziów specyalistów. Pozostałość juryzdykcyi ludowéj w postaci sądu przysięgłych przybiéra formę ściśle określoną; dwunastu przysięgłych decyduje jedynie w kwestyi czynu, mając sobie przedłożone wygotowane już pytania, pod kierunkiem specyalisty, sędziego koronnego. Jeśli tutaj musiano przedsięwziąć tyle środków ostrożności, to zupełnie już chimeryczną staje się myśl o jakiéjkolwiek „woli zbiorowéj“ w zastosowaniu do niesłychanie skomplikowanych

kwestyi politycznych, które dla umysłów najbardziéj doświadczonych przedstawiają częstokroć trudności niezwyciężone. Próbowano w czasach najnowszych ominąć ten kamień obrazy teoryi demokratycznéj za pomocą metody plebiscytu, według któréj głosujący, na podobieństwo przysięgłych, dają odpowiedzi uproszczone, „tak“ lub „nie“, na pytania, wygotowane przez zgromadzenia reprezentacyjne. Doświadczenie wielokrotne wykazało, że od formy postawienia pytania w zupełności zależy odpowiedź i we wszystkich wypadkach plebiscytu we Francyi otrzymywano odpowiedź twierdzącą olbrzymiéj większości, bez względu na to, czy szło o ustanowienie cezaryzmu, czy rzeczypospolitéj. Właściwie nawet ten „główny i nieunikniony szkopuł rządu ludowego“ oddawna już został milcząco uznany przez powszechne przyjęcie systematu reprezentacyjnego, w którym konsekwentni fanatycy radykalizmu słusznie upatrują odszczepieństwo od wymagań bezwzględnych swéj teoryi. Jestto wszakże jedynie paliatyw, z wielu względów zupełnie nie skuteczny. Niezdolność licznych zgromadzeń do „zbiorowego przejawu woli“ wypływa na wierzch w łonie samego ciała prawodawczego. T. zw. obstrukcyonizm parlamentarny jest tylko inną nazwą téj saméj choroby, i jeśli Bentham uskarżał się niegdyś na niewielką liczbę członków parlamentu, regularnie uczęszczających na posiedzenia, to dziś „staje się widocznóm, że mała ilość obecnych członków i mniejszy jeszcze udział, jaki większość ich przyjmuje w rozprawach, stanowi warunek konieczny dla należytego biegu zajęć w izbie niższéj“. Wogóle, zarówno w Anglii jak i na kontynencie Europy, a do pewnego stopnia nawet w Stanach Zjed., debaty parlamentarne stają się coraz bardziéj czcze i powierzchowne, a zarazem punkt ciężkości polityczny przenosi się do klubów i stowarzyszeń demagogicznych. Wyrazem charakterystycznym tego kierunku jest teorya nowożytna mandatu, która z wielką energią wystąpiła w Anglii podczas agitacyi 1884 r.. grożąc upadkiem zupełnym instytucyi przedstawicielstwa narodowego (1).

Przekonywamy się tym sposobem, że „rząd ludowy“ jest instytucyą nietrwałą i niebezpieczną. Jednak roztropniejsi nawet zwolennicy systematu demokratycznego, zdający sobie sprawę z tych jego stron ujemnych, myślą sowicie je wynagrodzić przez inne dobroczynne skutki „*periculosae libertatis*“. Spodziewają się mianowicie, jak to na początku wzmiankowaliśmy, za pomocą instytucyi demokratycznych urzeczywistnić wszystkie swe ideały spo-

---

(1) Ib. Ess. I. 38. 35. Ess. II. 89. 94. 126.

łeczne, mając możność z zupełną swobodą przeprowadzić energiczne i konsekwentne reformy. Gorączka reformatorska jest jednym z najświeższych wytworów naszego wieku; przed stu laty we Francyi, przed pięćdziesięciu w Anglii i na reszcie kontynentu mało co o niéj słyszano. Naukowe uzasadnienie otrzymał ten kierunek dopiéro przez „odkrycie" Benthama, że celem prawodawstwa jest największa szczęśliwość największéj ilości ludzi. Wnioskował on stąd, zwłaszcza od czasu bitwy pod Waterloo (1), że po oddaniu władzy prawodawczéj w ręce ludu, będzie ona naturalnym biegiem rzeczy miała na widoku dobro większości a nie jednostek lub korporacyi. Widzieliśmy już, jak mylne w zasadzie jest to mniemanie. Lecz wzmagając się z dnia na dzień, tendencye reformatorsko-demokratyczne rosną do rozmiarów, jakich nie przewidział Bentham; wstępujemy w epokę „ustawicznéj czynności prawodawczéj". Polityczna żarliwość reformatorska wieku XIX staje się podobną do religijnej reformacyjnéj XVI. Dziś jak i wówczas „po za garstką zelotów, pragnących zwycięstwa mniemanéj prawdy, ukazuje się tłum ogromny, który znalazł upodobanie w zmianach dla zmiany saméj, który chciałby zreformować prawo wyborcze lub izbę wyższą z tych samych ściśle pobudek, z jakich niegdyś kaleczył posągi świętych i palił ku swéj uciesze komże i ornaty". Chorobliwa chciwość wrażeń zaostrza się coraz bardziéj w zdenerwowanym świecie europejskim, nigdzie zaś nie znajduje więcéj drażniącéj strawy, niż w życiu publiczném państwa demokratycznego. Nawał programatów politycznych — istna licytacya *in plus* ustępstw dla wyborców, zajadłe walki stronnictw, a zwłaszcza ich przywódców, występy znakomitych mówców, cięta polemika w dziennikach, wszystko to razem stanowi widowisko wciąż nowe, a nad wyraz podniecające. Niebywała chwiejność życia publicznego, która codzień bardziéj doniosłe gotuje niespodzianki, we Francyi od lat kilku doszła do szczytu, wyraźnie już odczuwa się w Anglii, siłą tylko i nie zawsze skutecznie powstrzymywaną jest w Niemczech. Wobec stanu tyle niepokojącego niepodobna nawet utworzyć otwartéj i energicznéj opozycyi, ludzie najlepszéj myśli, świadomi całéj grozy położenia uważają za swą powinność nie powstrzymywać przyrodzonéj ewolucyi społecznéj. Ustaliła się wiara, że żyjemy w „wieku postępu", że porządek naturalny i obo-

(1) Zdaniem Maine'a Bentham „w pierwszéj połowie życia nie był reformatorem konstytucyi, lecz praw..., radykalistą stał się z czystéj rozpaczy". Ess. III. 163. Nie możemy zgodzić się z takim poglądem; idee polityczne Benthama wiążą się jeszcze z literaturą francuską w. XVIII i teoryami Smith'a,

wiązek obywatelski w równéj mierze nakazują iść drogą „reform“, wymaganych przez „ducha czasu“. Mamy tu znowu do czynienia z szeregiem ogólników, które właściwie są tylko spopularyzowanemi hypotezami, nowożytnéj fabrykacyi i wątpliwéj wartości naukowéj, a jednak paraliżują wszelki opór przeciw powodzi mrzonek radykalnych, jakie w nich biorą początek. Znowu więc nasuwa się potrzeba sprawdzenia, o ile owe, przyjmowane na wiarę, pojęcia „postępu“ i „reformy“ mają za sobą świadectwo faktów dziejowych, o ile są istotnym wyrazem „przyrodzonych praw socyologicznych“.

Doniosłe to pytanie nastręczyło się Maine'owi jeszcze w pierwszém jego dziele, z powodu całkiem innych kwestyj prawa cywilnego. „Wbrew oczywistości, pisał był wówczas, dla mieszkańca Europy zachodniéj jest niemal niepodobieństwem oswoić się z tym pewnikiem, że otaczająca nas cywilizacya stanowi rzadki wyjątek w historyi świata. Cały nasz sposób myślenia, wszystkie nadzieje, obawy i spekulacye uległy by zmianom zasadniczym, gdybyśmy potrafili uprzytomnić sobie stosunek ras postępowych do ogółu ludzkości. Niepodobna wątpić, że ogromna część rodu ludzkiego nie wyraziła nigdy ani śladu pragnienia jakiejkolwiek naprawy swych instytucyj cywilnych,... że za wyjątkiem drobnéj cząstki świata, nigdzie nie odbywało się nic podobnego do stopniowego ulepszania systematu praw“. W ogólności można powiedzieć, że „stan nieruchomy rasy ludzkiéj jest regułą, stan postępu—wyjątkiem“ (1). Dziesięć lat później, kiedy, zniecierpliwiony zbytnią „ruchliwością“ swych spółziomków, bezpośrednio zetknął się z „nieruchomemi“ masami indyjskiemi i teoretyczne poglądy wzmocnił przez sympatye osobiste, powraca Maine do téj saméj myśli, stosując ją już do zachodnio - europejskiego „wyjątku“. Wyraża więc powątpiewanie „ażali nowe pojęcia nawet na Zachodzie wyrastają w istocie tak szybko, jak wmawia nam niekiedy literatura nowożytna“, i sądzi raczéj, że tutaj, zarówno jak na Wschodzie, działa prawo inercyi duchowéj człowieka i „wszelkie, choćby świadome wysiłki skierowane ku zwiększeniu ilości pojęć mają nader ciasno zakreślone granice“. Tak, dla przykładu, w dziedzinie udoskonalonéj poezyi europejskiéj pojawia się nagle od czasu do czasu duch szczęśliwie uposażony, który znacznie powiększa „ilość kombinacyj myśli i słów“, stanowiącą dobytek poetycki narodu, lecz „również nagle, po jednym lub niewielu takich wysiłkach, czynność twórcza zamiera i zastąpioną zostaje, niekiedy na całe stulecie, przez pospolite

(1) *Ancient law*, Ch. II. 22 — 24.—Ob. Ch. V. 116.

naśladownictwo" (1). Wszystkie te luźne uwagi zbyt ściśle były powiązane z całym kierunkiem studyów Maine'a, aby nie miały znaleść oddźwięku w jego konsyderacyach politycznych. To téż z największym naciskiem powtarza tutaj, że „liczne i potężne narody, o wysoko rozwiniętéj kulturze, żywią odrazę do tego, co na Zachodzie nazywamy reformą"; brzydzi się nią cały świat muzułmański, czarne plemiona rozległych przestrzeni afrykańskich, starożytne ludy półwyspu indostańskiego; „miliony, zaludniające państwo chińskie, nienawidzą jéj i—co bardziéj jeszcze pouczające i godne uwagi—gardzą nią". W saméj zresztą Europie dążność reformatorska datuje się od wczoraj a przytém przejawia się wyłącznie prawie w dziedzinie politycznéj, dostępnéj dla wpływów demokratycznych; do głębszych posad życia społecznego prądy nowatorskie przeniknąć nie zdołały. Widzimy to w zwyczajach i obyczajach, w których, jak wykazały nowsze poszukiwania, z dziwną, acz nieświadomą wytrwałością przechowujemy formy, sięgające epok przedhistorycznych. Najdobitniejszego wszakże pod tym względem świadectwa dostarcza połowa ludności, na Zachodzie Europy, połowa liczebnie przeważająca, trzymana dotychczas zdala od burzliwéj sfery interesów politycznych, a więc niezarażona jeszcze manią nowatorską, właściwą téj sferze — mianowicie kobiéty. Nader rozpowszechnione jest zdanie o zmienności natury niewieściéj i często za Franciszkiem I powtarzana bywa maksyma „*souvent femme varie*". Nic wszakże błędniejszego, jeśli tylko pominąć niektóre nieliczne warstwy i pewne powierzchowne zjawiska psychiczne. Kobiéty stanowią najtrwalszy element zachowawczy społeczeństwa, najściśléj przestrzegają ustalonych zasad moralnych i obyczajowych, najsurowiéj karcą wszelkie odszczepieństwo czy to od religii czy od mody. Co do mody saméj, któréj zmienność mniemana stała się przysłowiową, okazuje się przy badaniu historyczném jéj wybryków, że porusza się ona w nader ciasném kółku. Kobiéta grecka, jak oglądamy ją na zachowanych figurach tanagryjskich, rażąco podobna jest w stroju do damy dzisiejszéj doby, „z tą tylko różnicą, że nie nosi gorsetu, a natomiast niekiedy ma parasolkę przymocowaną do kapelusza" (2).

Różnemi drogami przywiedzeni zostajemy do wniosku, że stan naturalny człowieka nie jest stanem postępu, ani wogóle ruchu, lecz stanem niezmienialności (*unchangeableness*). „Natura ludzka

(1) *Early hist. of instit.* Lect. VIII. 227.

(2) *Pop. gov.* Ess. III. 130. 142. 170—175.

posiada zawsze nader słabe upodobanie i nader mało zdatności ku przystosowaniu się do nowych warunków życiowych". Stąd staje się zrozumiałém niepowodzenie 350 konstytucyi, jakie, podług obliczenia Liebera, sfabrykowano od początku bieżącego stulecia. Stąd oraz skazówka, jak należy cenić wysoko dawniejsze długowieczne urządzenia polityczne, poddawane dziś tak pochopnie pogardliwéj krytyce. Nie znaczy to bynajmniéj, aby w poszczególnych sprawach społecznych spokojnie i umiejętnie dokonywane reformy nie miały być pożądane. Anglia i ludzkość wiele ma do zawdzięczenia, zwłaszcza w dziedzinie procedury sądowéj, oświaty i dobroczynności publicznéj, dzielnéj inicyatywie Bentham'a i jego uczniów. Wszakże złudzeniem byłoby szukać pomocy u tłumów w sprawach prawdziwéj, naukowéj reformy. „Jedném z najdziwaczniejszych wierzeń naszéj doby jest mniemanie, że rozległe prawo wyborcze przyśpieszy postęp, przyłoży się do wytworzenia nowych pojęć, odkryć i wynalazków..., kiedy w istocie wywoła raczéj nader szkodliwy konserwatyzm, mocniéj trujący od najsilniejszego narkotyku". Przesądy tłumów, czy to oparte na wierze, czy na interesie materyalnym, bardziéj są niezachwiane, niż jakiekolwiek stanowe. Przez głosowanie powszechne nigdyby nie przeszedł ani nowy kalendarz gregoryański, ani obowiązkowe szczepienie ospy, ani zaprowadzenie mechanicznego warsztatu tkackiego lub młockarni, może nawet maszyny parowéj. Teorya ludności Malthusa, jedyny rozumny punkt wyjścia ekonomii politycznéj, uogólniona przez Darwina i stanowiąca w odmiennéj postaci podstawę biologii nowoczesnéj, nienawistna „Demosowi" i usłużnym jego poplecznikom, powstrzymaną zostaje w dalszém naukowém rozwinięciu i nie otrzymuje należytego w praktyce zastosowania. W Anglii projekty kolonizacyjne, oparte na téj teoryi, okazują się bezsilne wobec ustalonego przekonania, że dana powierzchnia musi wyżywić mieszczącą się na niéj ludność, bez względu na wzrost takowéj; natomiast uciążliwe prawa o ubogich przybierają zatrważające rozmiary. „Niepłodność prawodawcza" demokracyi ujawniła się jaskrawo w Związku Szwajcarskim, gdzie od czasu zaprowadzenia „*referendum*", szczególnéj formy plebiscytu, a dziś ideału politycznego krańcowych demokratów wszystkich krajów, został odrzucony przez lud długi szereg pożytecznych praw, przyjętych przez legislaturę federacyjną, a dotyczących sądownictwa, administracyi, spraw polityki zewnętrznéj. „Można powiedziéć wogólności, że nadchodzące panowanie tłumu stanowi złowieszczą wróżbę dla wszelkiego prawodawstwa, opartego na gruncie naukowym, a więc wymagającego natężenia umysłu, by je zrozumiéć, i zaparcia się, by mu się pod-

dać“ (1). Największe reformy prawodawcze, jakie zna historya, uskutecznione zostały przez potężne jednostki autokratyczne: taką dla świata starożytnego była działalność cesarzów rzymskich (Justyniana), dla epoki średniowiecznéj—Karola W., dla nowożytnéj—Napoleona. Próżne są rozprawy optymistów o idealnéj arystokracyi duchowéj, którą jakoby ma zrodzić system demokratyczny i która ma stanowić łącznik między nim a wymaganiami postępowemi. Żywi taką wiarę Renan, sympatyczną i zrozumiałą u syna bretońskiego chłopa, lecz niemniéj z gruntu mylną. Demokracya nowoczesna, z największą łatwością wyradzając się w despotyzm, okazuje się zarazem zupełnie niezdolną do wytworzenia z siebie arystokracyi, we właściwém znaczeniu tego słowa (2).

Pozostawiam czytelnikowi rozpatrzenie się w tak różnorodnéj treści rzuconych przez Maine'a myśli, sam pozwolę sobie dołączyć niektóre tylko uwagi. To, co powiada Maine o kruchości urządzeń demokratycznych, zawiéra w sobie wiele prawdy, jakkolwiek tak ważna kwestya wymagałaby staranniejszego opracowania. Przykłady egzotyczne republik amerykańskich mało budzą zaufania; dokładny obrachunek lat swobody we Francyi wydaje się mocno problematycznym i historyk specyalista, jak Taine, zapewne nie bez uśmiechu czytać będzie o odkryciu fatalistycznéj liczby powracających trzykrotnie przewrotów politycznych. Ze wszech miar oryginalnym jest sposób, w jaki, pomijając konsekwentnie Spencera i jego szkołę, przeczy Maine teoryi rozwoju społecznego; niepodobna jednak wejść tu w rozbiór téj interesującéj kwestyi (3). Co się tyczy dyagnozy „gorączki reformatorskiéj“, jaką daje Maine, jest ona zapewne pod wieloma względami trafna i zgodna z licznemi objawami chorobliwemi spółczesnego życia publicznego we Francyi i Anglii, nie jest jednak bynajmniéj wyczerpująca. Motłoch rzymski oprócz igrzysk domagał się jeszcze chleba; chłopi zbuntowani wieku XVI, aby aż tak daleko sięgnąć z Main'em po porównanie, również przedewszystkiém dopominali się o ten ostatni specyfik; niepodobna zaś chyba przeoczyć roli pierwszorzędnéj

(1) Ess, II. 98. „All, that has made England famous and wealthy, has been the work of minorities, sometimes very small ones. It seems to me quite certain, that, if for four centurcis there had been a very widely extended franchise and a very large electoral body in this country, there would have been no reformation of religion, no change of dynasty, no toleration of Dissent“. Możnaby w dziejach naszych znaleść negatywne potwierdzenie tego zdania. — (2) Ess. II. 65. 66. Ess. III. 180—190. Renan *Dial. philos.* III.

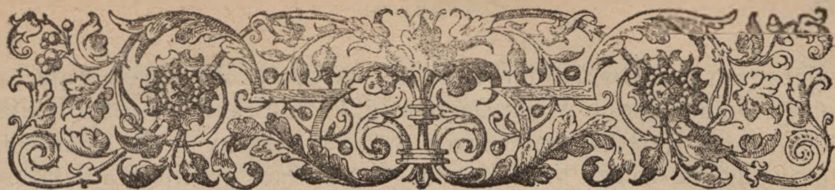
(3) Sam jednak, polemizując z Benthem'em i Austin'em, ostrzega przed „the danger of overestimating the stability of legal conceptions“, gdyż „even jurisprudence itself cannot escape from the great law of Evolution“. *Early law and custom*, Ch. X. 360. 361.—

pobudek ekonomicznych w walkach politycznych chwili bieżącéj. Przemilczanie o hasłach najbardziéj dziś popularnych, zrozumiałe jeszcze u Taine'a indywidualisty, podwójnie dziwi u historyka i obrońcy pierwotnéj własności wspólnéj, w którego dziełach pisarze o kierunku socyalistycznym wiele mogliby zaczerpnąć na swą korzyść argumentów (1).

(1) V. Cherbuliez (Valbert), w bardziéj dowcipnéj niż słusznéj ocenie dzieła Maine'a, zarzuca mu, że „Il a oublié de conclure“ (*Rev. d. d. mondes* 1886. T. LXXV. 193). Konkluzyę stanowi właściwie rozdział ostatni „Konstytucya St. Zjed“., opuszczony przez nas, bo pozbawiony znaczenia ogólniejszego. Zarówno Taine, gdy Francyi stawia na wzór Niemcy, jak i Maine, wychwalając konstytucyę amerykańską, popełniają błąd, jakiego dopuścił się przed nimi stary Tacyt, również dziejopisarz-polityk.

S. Askenazy.





Z PRZESZŁOŚCI I TERAŹNIEJSZOŚCI ŁUŻYC.

Mało który z ludów słowiańskich, posiada w swéj przeszłości tyle tragicznych, krwią oblanych wspomnień, co niewielki, opasany dokoła siecią germanizacyi, naród łużycki. Wyjątkowa, bezprzykładna nieomal wytrwałość jednostek trzyma ster drobnéj, maleńkiéj łodzi, którą od wieków, w tę lub owę stronę, rzucały nieprzyjazne fale. Zatapiano ją, podkopywano torpedami gwałtu i bezprawia, wyższe jednak po nad to, przywiązanie do mowy i ziemi rodzinnéj przetrwało burze stuleci. Jest coś zadziwiającego i pouczającego zarazem w zapasach, jakie toczy z wrogim sobie żywiołem garstka ludu, ów odłamek połabskiéj Słowiańszczyzny. Systematyczne, *mit Gründlichkeit und Pünktlichkeit* dokonywane, wynaradawianie znajduje opór w sumiennéj i wytrwałéj pracy ogółu. Inteligencya nie rozdrabnia się, nie rozprasza na czcze i próżne frazesa, w zwartym szeregu dążą wszyscy do jednego i upragnionego celu. Wobec wspólnéj idei, zacierają się różnice zdań i poglądów, słabną prywatne interesa. Podniesienie moralne i umysłowe ludu, zrównanie go pod względem cywilizacyjnym z innymi, jest głównem zadaniem przzodowników narodowego i intelektualnego ruchu na Łużycach.

Dzięki tym stosunkom, Serbołużyczanie, jeszcze przed kilkudziesięciu laty uważani za *curiosum* etnograficzne, dziś posiadają stosunkowo dość cenną i bogatą literaturę. Z jaką tytaniczną pracą i poświęceniem składano cegiełkę po cegiełce do budowy gmachu odrodzenia, wskaże nam najlepiéj przeszłość dziejowa i literacka Łużyc.

Już w 627 r., za rządów władcy Samona, który pod swoje panowanie połączył całą Słowiańszczyznę, widzimy Serbów łużyckich,

walczących przeciw dzikim Awarom. W 630 r., do zwycięženia na polach Domaźlickich wojsk Dagoberta, króla Franków, przyczyniła się również garstka walecznych Serbów. Gdyby myśl łączności, wprowadzona w czyn przez dzielnego Samona, przetrwała była jego panowanie, dzieje połabskiéj Słowiańszczyzny w innén by dzisiaj jaśniały świetle. Lecz brak zmysłu politycznego zgubił już ówczesnych Słowian. Liczne, znane w historyi pod ogólném mianem Serbów, ludy, przez zamiłowanie niezależności i waśnie wzajemne, dzieląc się na drobne plemiona, ulegały przemocy silniejszego wroga. Hufce Karola W. plondrując po nad Łabą, tysiące ludu mordowały, lub uprowadzały w niewolę. W walce z synem jego, ginie (806) waleczny wódz Serbów Miliduch. Na ruinach spalonego przez Franków Żidowa (1), nowe wyrasta pokolenie. Zwycięstwa Mojmira i Świętopełka, królów Wielkiéj Morawy, inną znów zwiastują jutrzenkę: połączona pod ich panowanie Słowiańszczyzna swobodniéj oddycha. Z upadkiem (907) wszakże państwa Morawskiego, losy Połabian w żałobne stroją się szaty. Na widownię dziejów występuje cesarz Henryk Ptasznik. Najdoskonalszy typ germanizatora, straszną rozpoczyna walkę. Od chwili wstąpienia na tron, żyje tylko myślą zgnębienia wstrętnéj, nienawistnéj sobie ludności. Założone przez niego marchie, jak północna, (r. 927) a w kilka lat późniéj Myszońska, to strażnice, wsłuchane w żywsze uderzenia serc ludów słowiańskich. Rządy Ptasznika przyśpieszają zgon Słowian lewego brzegu Łaby. Syn jego Otton, zwany Wielkim, wstępuje w ślady ojca. Rozpoczyna się dla Łużyc epoka pełna smutku i grozy. Chrystyanizm, szerzony przy szczęku oręża, nie osładza strasznéj niedoli. Łużycanie, uciekają od księży i biskupów niemieckich. Wyzuci z własnych ziem, doprowadzeni do rozpaczy, zrywają krępujące ich pęta. Walka wszystkich przeciw wszystkim, zawrzała na całéj przestrzeni. Serbowie porwali za oręż, burząc w swéj obronie kościoły i zamki. W końcu, po latach bezprzykładnych wysiłków, ulegli (990) przeważającéj sile Ekkarda, margrafa Myszny. Placówka niemiecka posuwa się naprzód, w stronę Polski wyciąga ramiona.

Wówczas, występuje do walki Bolesław Chrobry. Z umiejętnością strategika, prowadzone boje, przecinając Niemcom drogę ku wschodowi, oddają Łużyce Polsce. Wspólność plemienna złączyła oba ludy, Serb łużycki nie uciekał już na widok nawracających go księży. Prawa, nadane przez Bolesława, pozwalały na rozwój mo-

---

(1) Dziś przedmieście Budyszyna.

ralny i materyalny ludu (1). Złota epoka w dziejach Łużyc skończyła się śmiercią genialnego króla; umarł on, zostawiwszy rządy synowi, którego niepomyślne panowanie oddało znów Łużyce Niemcom. Z chwilą tą (r. 1032) poczyna się groźny dla przyszłości całéj krainy podział. Jedna część Łużyc, a mianowicie Górne, to jest ziemia Milczan, otrzymała zwierzchnictwo margrafów myszońskich, właściwe zaś Łużyce, Dolnemi zwane, przeszły pod opiekę margrafów Wschodnich.

Cesarze, oddawszy Łużyce w lenność, nie troszczyli się o losy podbitéj krainy. Kto chciał i jak chciał, rządził po swojemu. Dzięki możnowładztwu, margrabiowie na swoję rękę rozpoczynają gospodarstwo. Nieszczęśliwe Łużyce, rzucone na ich pastwę, przerzucane z rąk do rąk, stają się celem rozlicznych zatargów i pragnień. Polacy, dawne, utracone odgrzebują prawa, Czesi i książęta szląscy również występują z pretensyami. Górne, chwilowo z pod opieki margrafów przeszły na rzecz Wratysława II, czeskiego, gdy tymczasem, do Dolnych, na skutek umowy z Wratysławem, Bolesław Śmiały rościł sobie prawo. Za Sobiesława, Górne, przyłączono znów do korony czeskiéj, Dolne zaś, zajął Konrad z Wettinu, margrabia myszoński, założyciel panującéj dziś rodziny saskiéj. Upadek Słowian hawolskich pogorsza jeszcze położenie Łużyc. Na ruinach Branibora wzniesiony Brandeburg (1157) wytworzył ognisko nowych gwałtów i bezprawi. Fatalność dziejowa zaciężyła nad biedną krainą, spychając ją, z jednéj otchłani w drugą.

Rzecz jasna, iż ciągła zmiana rządów szkodliwie oddziaływała na wewnętrzne stosunki Łużyc. Bywały chwile, w których nieszczęśliwa kraina, szarpana na wszystkie strony, sprzedawana nawet za długi (2), trzem naraz służyła bogom.

W r. 1319, część Górnych hołdowała koronie czeskiéj, druga, Henrykowi księciu na Jaworze, Dolne zaś, margrabiom brandeburskim. Ostatecznie, po krwawych zapasach margrabiów z przedstawicielami korony ś-go Wacława w Czechach, Górne Łużyce, 1346 roku, za króla Jana, Dolne zaś za syna jego, Karola IV, (r. 1348), przeszły pod panowanie czeskie.

Trzysta dwadzieścia sześć lat rządów czeskich na Górnych, a dwieście piędziesiąt dwa, na Dolnych, nie mogło jednak ocalić

(1) Łączność historyczna z czasów Bolesława do dziś jeszcze, wspominaną jest na Łużycach; Bogusławski oraz ks. Hornik utrzymują, iż pieśń „Serbów dobyce“, pomieszczona w zbiorze pieśni Smolera, opisuje bohaterskiego rządy Bolesława na Łużycach i odniesione nad niemcami zwycięstwo.

(2) W r. 1301, margr. myszoński Dyzman, zadłużywszy się, sprzedał Dolne Łużyce arcybiskupowi magdeburskiemu Burchardowi, za sześć tysięcy grzywien srebra.

Łużyc od zalewu germanizacyi. Podstawy, założone ręką Ptasznika, przecięły wszystkie arterye i sprężyny ducha. Następcy jego tą samą kroczyli drogą. Kolonizacya, pożerając miejscowe siły, zmuszała nieszczęsną ludność do opuszczania własnych siedzib. Już za Karola W. dziesięć tysięcy Słowian uprowadzono w głąb Niemiec. Za margrabiów Gerona i Albrechta Niedźwiedzia, sprzedawano na targach niewolników słowiańskich. Serbowie łużyccy, traktowani przez Niemców narówni z domowemi zwierzętami, w osłupieniu przyjmowali szerzący się terroryzm. Jak wszędzie, tak i nad brzegami Szprewii, zamożniejsza ludność wynarodowiła się szybko, dla przywilejów poświęciła zwyczaje i ojców mowę, słowiańskim pozostał tylko lud wiejski i ubodzy mieszkańcy przedmieść. Ci, pozbawieni wszelkich praw, obciążani podatkami, w nędzy pędzili życie. Dość było jednego słowa, aby bez sądu, na rozkaz margrabiego, wyrzucano Łużycan z ich siedzib, a mienie, zabierano im zupełnie. Rozporządzenia Albrechta Niedźwiedzia, odmawiały Serbom wymiaru sprawiedliwości. Księża kazali tylko po niemiecku, szkół serbskich nie było wcale, jedyna, założona przez biskupa Brunona, upadła wraz ze śmiercią szlachetnego protektora. Serbowie dzieci swoich nie mogli posyłać do szkół, ani uczyć ich rzemiosł, nawet ubierać się i włosy czesać musieli wedle z góry przepisanego sposobu. Małżeństwa mieszane nie dawały żadnych praw ani przywilejów. Serb, urodzony z niemki, również był parią społeczeństwa. Cesarze, margrabiowie, księża występujący w obronie wrogiego podówczas dla Słowian chrześciaństwa, całe legiony kolonistów, wreszcie każdy na swój sposób znęcał się nad serbołużycką ludnością (1). Epoka czeska także nie o wiele jaśniejsze od niemieckiéj zostawiła po sobie wspomnienie. Łużyce, należąc do korony czeskiéj prawem lenném, rządzone były przez wrogich, obcych urzędników. Chciwość niemiecka zapuszczała wszędzie swoje szpony. Margrabiowie, przyjmując urzędy wójtów, dopuszczali się wszelkiego rodzaju niesprawiedliwości. Z czasem, i wewnętrzne stosunki Czech, zagrożonych wzrastającą przewagą żywiołu niemieckiego, niekorzystnie oddziaływały, na ujarzmioną krainę. Husytyzm, jakkolwiek nie znalazł gruntu w ojczyznie Miliducha, ciężkie jednak po sobie zostawił ślady. Niemcy na Łużycach, gradem kamieni witali nadciągające hufce Prokopa, uboga słowiańska ludność, zdziesiątkowana głodem, zniszczona przechodami wojsk, łatwiejszéj ulegała germanizacyi. Podobnie

(1) Mimo wytężenia wszelkich środków ucisku, w r. 1427 w sądzie w Myszny używano jeszcze języka serbskiego.

gnębiła Serbów i powodzią nieszczęść zalewała straszna, wstrząsająca podstawami, burza wojny trzydziestoletniéj. Za jéj dni, sześćdziesiąt protestanckich na Łużycach zniemczono parafii.

Przegrana pod Białą Górą ostateczny cios sprowadziła na Łużyce, oddając je na zawsze Niemcom. Elektor saski, Jan Jerzy I, potomek margrabiów Myszny, za pomoc udzieloną cesarzowi podczas wojny trzydziestoletniéj, zabrał Łużyce w zastaw. Fakt ten dał powód do nowych zatargów i waśni. Skłóceni o skrawek słowiańskiéj ziemi, panowie niemieccy, w r. 1635, zawarli w Pradze pokój, mocą którego Górne Łużyce przyznano elektorowi saskiemu, Dolne zaś, margrabiom brandeburskim. Następne lata prawie już żadnych zmian politycznych nie zapisały na kartach przeszłości Łużyc. Panujące dziś na obu dynastye, to potomkowie dawnych, dobrze zasłużonych w historyi łużyckiéj margrabiów.

W takich mniéj więcéj zarysach przedstawia się przeszłość polityczna Łużyc, literacka zaś jest łańcuchem najszlachetniejszych wysiłków i dążeń. Zasady Ptasznika, wszczepione w krew jego następców, przeżyły wieki. Wygłaszane na mogiłach, oblanych łzami stuleci, odbijały się pustém echem o skamieniałą od bólu pierś uciśnionych. Morze krwi, wylanéj w obronie praw, nie mogło zalać tlejącéj w głębinach iskry, rozpaliła ona pochodnię światła, dziś przyświecającą odrodzonéj narodowości. W czasach, gdy inne ludy witają złotą epokę literatury, na Łużycach martwota ducha i myśli. Za margrabiów, mowa ojczysta kryje się wśród pól i lasów. Po gajach i odwiecznych, owianych wspomnieniami Krescenciuszów grodziszczach, odmawiają Łużycanie pacierz. Pozbawieni serbskich kaznodziei, sprowadzają sobie włóczęgów, nieuków, którzy na improwizowanych kazalnicach głoszą im w ojczystym języku, słowo boże. Demoralizacya ludu nie przeraża duchownych. Z małym bardzo wyjątkiem, biskupi niemieccy idą ręka w rękę z rządem. Przez nienawiść do Słowian, zapominają o obowiązkach kapłańskich. Książka dla Serba zbyteczna, nawet cichy szept modlitwy tłumi gwara brutalnych Niemców. W epoce czeskiéj, jeśli Serb umiał czytać, korzystał z czeskich książek i modlitewników. Wewnętrzne stosunki Czech pochłaniają ogół, reprezentanci korony Ś-go Wacława, także germanizatorowie w swoim rodzaju, powolném okiem spoglądają na tyranią niemieckich urzędników. Któż więc wobec podobnych stosunków miał pomyśléć o napisaniu lub wydaniu łużyckiéj książki? Wrogi Niemiec, zajęty własną dolą Czech, czy téż obumierający pod wpływem doznanych ciosów Łużycanin?

Dopiero protestantyzm, szerzony z całą skwapliwością na Łużycach, wręcz przeciwne od założenia wydał owoce. Nauka Lutra szerokiém korytem rozlała się na Łużycach. W początkach wprowadzenia nowéj nauki, Serbowie, z natury konserwatywni, uciekali od nowych proroków. Chcąc zjednać sobie ludność łużycką, kaznodzieje protestanccy uczyli się po serbsku. Ten rodzaj polityki ujął nieszczęśliwych, dźwięki ojczystéj mowy przemówiły do serc i przekonań Serbów. Sądzili, iż z nową wiarą, jaśniejsza dla nich zabłysnęła dola. Złudzenie trwało krótko. Nauka Lutra, głoszona przez pierwszych wyznawców w języku serbskim, w następnych latach zmieniła się w religią państwową, mającą na celu dalsze wynaradawianie i gnębienie Słowian. Podsuwane przez niemieckich pastorów, niemieckie książki, jak stofuntowe ciężary, wypuszczali z dłoni, powracając do czeskich książek i modlitewników. Widok ten przerażał protestanckich księży, zmuszeni koniecznością pomyśleli o wytworzeniu religijnego dla Serbów łużyckich piśmiennictwa. W gronie adeptów nowego wyznania znaleźli się i ludzie, wybiegający po nad miarę z góry przepisanych formułek, dla których cel, z jakim rozszerzano protestantyzm, okazał się wstrętnym. Opiekując się dolą powierzonych parafii, położyli zarazem węgielny kamień dla dzisiejszéj literatury łużyckiéj.

Jakkolwiek historya wspomina o zaginionym, a wydanym poprzednio za biskupa Jana IV, katechizmie katolickim, najdawniejszym jednak znanym pomnikiem jest rękopis Mikołaja Jakóbicy, z r. 1548. Czy autor był Górno, czy Dolnołużycanin, dotąd niewiadomo. Fakt tylko, iż ruch, wywołany przez protestantyzm, zachęcił go do pracy, gdyż przekład jest według tekstu Lutra dokonany. Po raz pierwszy, jeden ustęp z rękopisu, znajdującego się w bibliotece berlińskiéj, wydrukował Jencz w C. M. za r. 1862, następnie Lotze oraz Leskien w *Archiv. für Slav. Phil.* (1876). Jencz, podobnie jak i wszyscy pisarze łużyccy, uważał język przekładu za narzecze mużakowskie; dopiero Leskien stanowczo rostrzygnął niepewność, twierdząc, iż rękopis jest dolnołużycki.

Pierwszą zaś łużycką książką drukowaną, jaka ujrzała światło dzienne, były śpiewy religijne dla protestantów, napisane przez księdza Albina Mollera z Trzubca, pod Lubniowem, a wydane r. 1574 w Budyszynie, w drukarni Michała Wolraba. Do książki téj, Szymon Gast, pierwszy pastor w Lubniowie, dodał jeszcze dwie modlitwy. Zważywszy, iż piszący pierwszą łużycką książkę, podobnie jak i Jakóbica, użył języka dolnołużyckiego, przychodzimy do wniosku, iż obok religijnych i narodowe kierować nim musiały uczucia. Pisząc bowiem w języku dolnołużyckim, miał na wzglę-

dzie Dolnołożycan, mniéj ulegających wpływom czeszczyzny, która bądź co bądź, chroniła Serbów od bezwzględnéj germanizacyi. W górno łużyckim języku, dopiero w kilkanaście lat późniéj, to jest w roku 1597, ukazał się katechizm Lutra, tłómaczony przez Wacława Worjecha z Hodzija.

Dwie te książki, to jedyna spuścizna szesnastego wieku, następny nowe imiona zapisał na swoich kartach. W r. 1610, Andrzéj Tharaeus proboszcz protestancki z Bjedrychoc wydał w Frankfurcie nad Odrą, serbski katechizm, *Enchiridion Vandalicum*, napisany w storkowskiém, dziś całkiem już wygasłém narzeczu (1). W kilkanaście lat późniéj, bo już w 1627, Grzegórz Marcin z Porszic wydrukował w Budyszynie siedem psalmów pokutnych, w górnołużyckim i niemieckim języku. Moller, Tharaeus i Worjech, byli to ludzie zacni i uczeni, lecz prace ich, w danéj chwili, żadnego wpływu nie wywarły na zniemczoną i opuszczoną ludność, Germanizacya coraz szersze przybierała rozmiary. Zapobiedz jéj mogły tylko serdeczne, z miłością przez kaznodziei wygłaszane słowa. Człowiekiem, który pierwszy zrozumiał położenie ziomków, i pierwszy wtajemniczył się w potrzeby wzgardzonéj od wieków ludności, był Michał Brancel (Frencel) pastor z Budestic, urodzony 1628 roku. Pierwszy kaznodzieja i pierwszy patryota, jakiego wydała nieszczęśliwa kraina. Moralna opieka, jaką roztoczył nad ludem wiejskim, podobnie jak i prace autorskie, zjednały Branclowi niechęć władzy świeckiéj i duchownéj. Niezrażony przeciwnościami, pragnął wytworzyć ojczyste, wolne od niemieckich naleciałości piśmiennictwo. Zadanie nie było łatwe, polegało na zreformowaniu wadliwéj, skażonéj w najgorszym stopniu pisowni. Brancel wykształcony na wzorach polskiéj, bogatéj już podówczas literatury, pierwszy przyjął do łużyckiéj pisowni czeskie i polskie zwroty, i takim poprawnym już językiem, r. 1670 napisał pierwszy elementarz łużycki, oraz tłómaczył niektóre ustępy starego i nowego testamentu. Wymowny, pełen szlachetnych uczuć i poglądów jako kaznodzieja, przykładem swoim zmuszał duchowieństwo do naśladownictwa i pracy.

Jednocześnie z Branclem, Jakób Tycin z Kulowa, jezuita, rozpoczyna dla współwyznawców pracę. Myśl udoskonalenia pisowni stała się celem jego dążeń. Wychowany w Pradze, znając dokładniéj od Brancla, język czeski, łatwiéj potrafił wtajemniczyć się w właściwości słowiańskiéj mowy, a chociaż w niektórych poglądach różnił się z Branclem, pracując wspólnie nad ulepszeniem

(1) W północnéj stronie Dolnych Łużyc, między Chociebużem a Berlinem.

pisowni, dużo dobrego uczynić mogli; lecz fatalizm nasunął pastora Bierlinga, którego rozprawa *Didascalia seu ortographia*, fałszywie traktowana, pociągnęła za sobą Brancla. Odtąd, datuje się nieszczęśliwy, wywołany wyznaniem, rozbrat górnołużyckiéj pisowni. Protestanccy pisarze poszli śladem Brancla, katolickiego zaś wyznania autorom za wzór służyła ortografia wprowadzona przez Tycina. Postępek Brancla, smutny w swoich następstwach, nie może jednak ściągać potępienia na pamięć szlachetnego Serba, działał bowiem w dobréj wierze; na krótko jeszcze przed śmiercią (1706), wykończył przekład Nowego Testamentu. Syn jego Abraham, pastor w Wielkim Sunowie, początkowo poświęcał się językom wschodnim, lecz idąc za radą ojca, przerzucił się na inne pole Dzieło jego *De originibus linguae Sorabicae* zjednało mu swego czasu znaczny rozgłos; inne, jak opis bóstw słowiańskich, spis imion własnych, wsi i miast serbskich, wyszły częściowo (1719) w zbiorze Hofmana „*Scriptores rerum Lusaticarum*". Wywody jego lingwistyczne dziś dla nauki nie mają żadnego znaczenia, w rękopismach pozostawił łacińsko - serbski i dolnołużycki słownik, oraz historyą kościoła na Górnych Łużycach (1). Gdy tak na Górnych, idea narodowości zbudziła się w sercach szlachetnych jednostek, na Dolnych, pastorowie Niemcy z konieczności uczą się po serbsku. Dla ułatwienia im nauki, pastor z Lubnjowa, Jan Chojnan, pisze po łacinie gramatykę chociebuskiego podrzecza, a w kilkanaście lat późniéj, 1680 r., Lampach, dolnołużycką, dotąd jeszcze w rękopiśmie przechowaną. Obie te prace mają wartość pamiątek, na rozwój uczuć narodowych żadnego wpływu nie miały. Pierwsze więc dowody serdecznéj, ojcowskiéj opieki otrzymują Dolnołużycanie z rąk Niemca Bogumiła Fabryciusza, pastora z Pjenia (2). Obcy krwią, przywiązany jednak do ludu, któremu przewodniczył, zabolał nad jego tragiczną dolą. Kiedy przy wydawnictwie dolnołużyckiego katechizmu Lutra spotykały go niemałe trudności, własnym kosztem założył w Korjeniu drukarnię i tu, łamiąc wszystkie szkopuły, po raz pierwszy w języku dolnołużyckim, drukował przekład Nowego Testamentu. Dla biednéj, opuszczonéj ludności był to

(1) Obszerne studyum o Branclach drukował Ernest Muka, w C. M. za 1880—1882. Z téjże saméj rodziny Branclów, zasługuje na wspomnienie pastor Michał Brancel, zmarły 1752 i syn jego, Salomon Boguchwał.

(2) Długi czas utrzymywano, iż Fabryciusz był polakiem, Parczewski w artykule Přinoški k serbskej bibliografii, patrz C. M. za rok 1882, przytaczając przedmowę Fabryciusza do katechizmu, stanowczo niepewność tę rozstrzyga, wykazując niemieckie pochodzenie Fabryciusza.

skarb odnaleziony,—biblia, codzienna literatura rodzin protestanckich, spoczęła w ręku łużyckich Serbów.

Ruch, wywołany w kole protestanckich księży, zachęcił do działania i katolickie duchowieństwo. Podobnie jak w pierwszych wiekach niewoli, najcięższe razy, padały z rąk duchownych, tak samo znów, pierwsze objawy braterstwa i współczucia obudziły się w piersiach księży obu wyznań. Tylko, że młodzież protestancka w lepszych od katolickiéj zostawała warunkach. Władza nie przypuszczając nawet, iż młody teolog, zapatrzony w nędzę i poniżenie rodaków, w wirze miejskim, przechowa miłość rodzinnéj ziemi, pozwalała protestantom uczęszczać na uniwersytet w Lipsku i Wittenberdze. Katolicy pozbawieni byli téj sposobności. W całéj bowiem Saksonii nie było wykładów teologii katolickiéj, a uboga młodzież, przeważnie synowie wieśniaków, po za granice kraju wyjeżdżać nie mogła. Od czasu do czasu, zamożniejszy Łużycanin kształcił się w Pradze, lecz były to nieliczne wyjątki; większość, mimo najlepszych chęci ofiarowania swoich usług ojczyźnie, wyczekiwała jaśniéjszych dni przyszłości. Wówczas to właśnie, dwaj bracia z Ciemierzyc (1) Marcin, karmelita w Pradze i Jerzy, senior kapituły budyszyńskiéj, powzięli zamiar założenia serbskiego na Łużycach seminaryum. Gdy jednak władza sprzeciwiła się otwarciu, zacni kapłani założyli je w Pradze r. 1704, Ubogi domek, na Małéj Stronie, przy kamiennym moście stojący, w którym pierwsze po serbsku głoszono wykłady, dzięki wytrwałości i pracy, zamienił się z czasem w piękny, okazały budynek. Cała inteligencya łużycka wyznania katolickiego odbierała i odbiera w Pradze wyższe ukształcenie naukowe. Nad Wełtawą kształcił się czcigodny nestor pisarzów łużyckich, ksiądz Michał Hornik, i tutaj téż, wpatrzony w mury siostrzanéj *Prahy*, czerpał natchnienie do swych sonetów i pieśni, młody, pełen talentu poeta, Jakób Bart (Ciszyński). Młodzież protestancka pozazdrościła swoim braciom możności kształcenia się w ojczystym języku. Stęsknieni za nim, studyujący teologię w Lipsku Serbowie rzucili projekt zawiązania stowarzyszenia, któreby dało sposobność do wspólnych narad i zgromadzeń. Sześciu studentów, a mianowicie Ast, Szirach, Mossig, Behr, Kneżka i Bulicjusz, otrzymawszy pozwolenie od dziekana fakultetu teologicznego, zawiązali 1716 r., tak zwane T o w a r z y s t w o k a z n o d z i e j s k i e s e r b s k i e. Zadaniem jego było doskonalenie się w serbskim języku. Dla młodzieży oddalonéj od domu, lata całe spędzającéj w otoczeniu nie-

(1) Wieś pod Budyszynem.

mieckiém, była to jedyna sposobność rozwijania w sobie uczuć narodowych. Władza uniwersytecka popierała dążenia słuchaczów lipskich, sądziła bowiem, iż młodzież, wyuczywszy się dobrze po serbsku, za powrotem do kraju korzystniéj będzie oddziaływać na germanizowanie parafian. Tymczasem stowarzyszenie lipskie, podobnie jak seminaryum pragskie, zostało ogniskiem najszlachetniejszych czynów i myśli.

W ogóle, wiek osiemnasty jaśniéjszą dla Górnych Łużyc zwiastował przyszłość. Duchowieństwo obu wyznań gorliwą dla ludu podjęło pracę. Podniesiony moralnie, otoczony opieką księży i pastorów, wzrastał w dobrobyt. Chaty wieśniaków przestały być uosobieniem nędzy moralnéj i materyalnéj. Uniwersytety Lipska i Wittenbergi zapełniały się żądną nauki młodzieżą. Utrzymywała ona stosunki piśmienne z kształcącymi się w Pradze kolegami. Praca i jedna myśl łączyła wszystkich. Dzięki jéj, młodziutkie piśmiennictwo coraz liczniejszych zjednywało przedstawicieli. Ksiądz Jerzy Świetlik (Świotlik), zmarły r. 1729, wydaje śpiewy religijne oraz tłómaczy wyjątki z listów apostolskich i ewangelii. Pracuje nad ulepszeniem pisowni łużyckiéj, niektóre nawet broszurki dla ludu pisze w narzeczu, jakiém mówiono w okolicach Kulowa, ponieważ takowe za najlepsze uważał; najcenniejszą jego pracą jest poprawny bardzo przekład Pisma S-go, dotąd jednak w rękopiśmie będący. Wspólnie z Schmutzem, układa słownik górnołużycki, tenże znów Schmutz z Mattejem, górnołużycką gramatykę (1721). Szczególniéj téż książki religijnéj treści, jak śpiewniki i kancyonały, tak zwane „khěrluše“, coraz częściéj ukazywały się w druku. Wydane przez Asta, Pretoriusza, Wawra i Matteja, chętnie przez ogół czytywane były. Pierwszy zbiór ukazał się r. 1710, obejmował 202 pieśni; przy drugiém wydaniu Wawer dodał 32, a w 1732 Boemar wydrukował już 322 pieśni. Liczba ich wzrastała z każdém wydawnictwem, najdonioślejsze jednak znaczenie z prac religijnych, téj epoki, posiada właśnie przekład Starego Testamentu (1), dokonany w górnołużyckim języku, staraniem pastorów Langa, Jakusza, Jana Boemara i Wawra.

Duchowieństwo katolickie również dokładało gorących starań, aby odpowiedniemi książkami wpływać na podniesienie ludu.

Księża Kiljan i Goljan żywą w tym kierunku rozwinęli działalność. Dzięki duchowieństwu obu wyznań, piśmiennictwo łużyckie, liczące do r. 1700 dwadzieścia zaledwie tomów, w XVIII wieku 200 prac naliczyć mogło. Dużo z nich jednak pozostało

(1) Od tego czasu wyszło już osiem nakładów Biblii.

w rękopismach. Kazania serbskie, dotąd rzadkość na kazalnicach, coraz częściéj słyszéć się dawały w słowiańskiéj, pogardzonéj mowie. Wogóle, łagodne rządy Augusta III saskiego korzystnie oddziaływały na rozwój ludności. Za przykładem dworu, właściciele większych posiadłości na Łużycach zmienili dotychczasowe swoje poglądy. Strwożeni demoralizacyą ludności, pozbawionéj serbskich na parafiach księży, sami starali się o posiadanie serbskich, lub przynajmniéj dobrze mówiących po serbsku, duchownych. Hrabia Gersdorf w Klukszu założył w 1740 r., rodzaj małego seminaryum, oraz szkołę w Cichońcach, pod Budyszynem. Drugim takim mecenasem był August Adolf von Bülow, założyciel szkoły (1752) w Wielkim Wjelkowie. Wprawdzie, szkoły te upadały wraz ze śmiercią założycieli, w każdym jednak razie nie pozostały bez wpływu na rozwój języka. Młodzi kandydaci teologii, wróciwszy z uniwersytetu, od wykładów w tychże szkołach mowy rodzinnéj rozpoczynali swoję działalność. Za przykładem Lipska, w r. 1749 młodzież serbska w Wittenberdze założyła stowarzyszenie kaznodziejskie. Jakkolwiek ówczesne prądy filozoficzne pociągnęły za sobą Łużycan, tak, że zapomniawszy o głównym celu stowarzyszeń, ogólnemi więcéj zajmowali się na zebraniach kwestyami, bez wpływu jednak nie zostały one na przyszłość. Zadzierzgnięty wśród młodzieży węzeł przeszedł na następne pokolenia, a nadto wytworzył, rzec można, świeckie górno-łużyckie piśmiennictwo.

Dotąd, znaną nam jest tylko literatura kościelna i kilka gramatyk i słowników, wydanych bez ścisłości i odpowiednich podstaw naukowych (1).

Młodzież, połączona wspólnością dążeń, pisała okolicznościowe wiersze i moralne dla ludu opowiadania. Wiele z nich pozostało w tekach autorów, lud, dla którego były pisane, nie widział ich nawet, lecz myśl, raz rozbudzona przez gorętszych patryotów, nie zmarniała. Zdawało się, iż ciężką, ołowianą atmosferę stopiły uczucia zacnych, dobrze myślących Serbów. Tymczasem nowa wichura, w postaci wojny siedmioletniéj, rozwiała i zniszczyła wszystkie dotychczasowe usiłowania. Bombardujące Wittenbergę wojsko rozprasza stowarzyszenie kaznodziejskie, młodzież łużycka powraca do ubogich, zrujnowanych ognisk. Popalone wsi i sioła, przejmują trwogą kryjącą się po polach i lasach ludność. Groza

(1) Za pierwsze pomniki świeckiego piśmiennictwa dolnołużyckiego, uważać można podany i odnaleziony przez Parczewskiego w wrocławskiéj bibliotece wiersz (patrz C. M. za r. 1882, oraz odnalezione w téjże bibliotece przez dra Erzepki kilka wierszy (Obacz „Ateneum“ rok 1888, lipiec, str. 152).

nieszczęść odbija się i w piśmiennictwie łużyckiém, reakcya zastój wprowadza wszędzie. Chwilami, z po za ruin, jak meteor, błyska promień życia i jak meteor gaśnie w oczach, olśnionéj zjawiskiem ludności. Langa, dyakon w Nieswacidle, korzystając z pięcioletniéj rocznicy założenia towarzystwa kaznodziejskiego w Lipsku, przypomina się braciom wydawnictwem historyi kościoła na Łużycach. Körner, pastor w Bokawie, pisze krytyczną rozprawę o języku serbskim i jego pożytku; daléj, Karol Boguchwał Anton, Niemiec, zwraca uwagę na pieśni ludu, zbiéra je i wydaje, Knaut historyę kościoła, Horczański, nauczyciel gimnazyum zgorzelickiego pilny badacz przeszłości ludu, kréśli rzecz o jego zwyczajach. Lecz wszystkie te prace, pisane po niemiecku lub po łacinie, na sprawę odrodzenia, należycie wpływać nie mogły. Znacznie większe pod tym względem położył zasługi pastor Samuel Ponich, piszący złym, łamanym, ale zawsze ojczystym językiem, religijne dla ludu opowiadania i książeczki.

Wogólnym zastoju, jaki opanował nawet gorętsze umysły i serca, cysters z Mariny Gwiezdy, ksiądz Hanczka, pracuje nad zlaniem tak niefortunnie, niegdyś rozdzielonéj przez Bierlinga pisowni. Kanonik budyszyński, ksiądz Wałda, układa i wydaje pierwszą książkę do nabożeństwa, oraz zbiór pieśni kościelnych (r. 1768) „Spěwawa, Jezusowa Winnica". W tymże samym czasie, Jerzy Mjen, pastor z Nieswacidła, zachęcając młodsze pokolenie duchownych do pracy nad językiem ojczystym, rzuca się na pole poezyi, przemawiającéj łatwiéj do młodych serc i umysłów. Tłomaczy Messyadę Klopstocka, pisze oryginalne wiersze, lecz przykład jego, nie znajduje naśladowców. Jedynie tylko książki religijne znajdują wydawców i czytelników. Garstka pracujących pastorów zasklepia się w obrębie parafialnych zajęć; ludowi biblie wystarczały w zupełności, zanadto był zgnębiony, aby po nad cichą modlitwę, innéj potrzebował pociechy lub rozrywki. Władza w niczém nie przychodziła z pomocą, przeciwnie, paraliżowała wszelkie w tym kierunku działania księży. Począwszy od wojny siedmioletniéj, każdy dzień dla Łużyc nowe i coraz cięższe gotował straty. Duchowieństwo, oddane dobréj sprawie, w pomyślność prac swoich i trudów wierzyć już zaprzestało. Z końcem XVIII wieku, nawet śpiewniki i modlitewniki przestały ukazywać się z druku. Pastorowie Niemcy, drukarze, reprezentanci wyższych władz, słowem całe otoczenie, było tendencyjném, dążącém do stłumienia żywiołu słowiańskiego.

Przeciwności mają to jednak do siebie, że rozbudzają najśmielsze zamiary i pragnienia. W r. 1790, to jest w chwili, gdy najmniéj

oczekiwano przejawów narodowęgo życia; dwaj teologowie protestanccy, Szirach z Budyszyna i Janko z Bukiec, założyli pierwsze czasopismo łużyckie p. t. *Měsacne pismo k rozwučenju a w okrěwjenju*. Dość bogaty program w podziw wprowadził ogół, zainteresowanie wzrastało, lecz na nieszczęście, po ukazaniu się pierwszego numeru, władza wstrzymała dalsze wydawnictwo. Dla jakich przyczyn, niewiadomo, dość, że na jedynym, przechowywanym w bibliotece budyszyńskiéj egzemplarzu, ktoś ze współczesnych napisał: „iż rząd zabronił wydawnictwa, w obawie rozpowszechnienia filozoficznych, nadciągających z Francyi poglągów?"

Na Dolnych Łużycach położenie było jeszcze rozpaczliwsze. Nienawiść króla Fryderyka Wilhelma I do tego wszystkiego, co słowiańskie, wypędziła język serbski ze szkół i kościoła. Brak stowarzyszeń kaznodziejskich, istniejących na Górnych Łużycach, utrudniał dobre chęci niektórych jednostek, pastorowie Niemcy, karyerowicze, obojętni dla sprawy łużyckiéj, całe wsi germanizują z kolei. Już w XVIII wieku, w okolicach Storkowa i Bjeskowa, żywiołu sersbiego nie było ani śladu. Prace, rozpoczęte przez Fabryciusza, kilku zaledwie znajdują naśladowców. Abraham Kněžka, dyakon w Staréj Darbnie, z nieśmiałością wypuszcza w świat kazania i książeczki religijne, Lehman r. 1739, mały katechizm Lutra. Położenie ludu było tak okropne, iż obudzało nawet współczucie u zacniejszych patryotów niemieckich. Tak pastor z Briazyna, Wille, Niemiec, dotknięty losem parafian, wyuczył się po łużycku tak dokładnie, iż jak rodowitym władał językiem. W r. 1746, wydał po łużycku katechizm Lutra, a w kilku lat późniéj psalmy Dawida, księgi Jezusa i małą dla księży Agendę. Za jego przykładem, inny Niemiec, rodem z Wittenbergi, Hauptmann, pastor w Lubnjowie, badał naukowo język łużycki, w przedmowie zaś do swéj gramatyki, ubolewał nad pokrzywdzoną przez niemieckich pastorów ludnością. W 1769 r. wydał zbiór pieśni kościelnych p. t. „Lubnowski Sarski Sambuch". Pomnikową zaś pracą, w dziale dolnołużyckiego piśmiennictwa téj epoki, jest wykończenie rozpoczętego przez Fabryciusza przekładu Starego Testamentu, dokonane r. 1797 przez Jana Fryderyka Fričo, pastora z Gołkojc. Brat Jana, Krystalub, znany serbski kaznodzieja w Chociebużu, obok kilku książek religijnéj treści, napisał jeszcze katechizm, długie lata w szkołach używany, a którego ostatnie wydanie, ukazało się r. 1854. Do tego szczupłego kółeczka dolno-łużyckich pisarzów XVIII wieku należy jeszcze pastor Lademan, autor książki do nabożeństwa, oraz historyi kościoła w państwie chociebuskiém.

Nowy wiek nowe dla obojga Łużyc zwiastował klęski. Wojny Napoleona huraganem powiały nad Górnych Łużyc krainą.

Zubożałe materyalnie, o duchowém odrodzeniu ani myśléć były w stanie. Młodzież przestała uczęszczać na uniwersytety, z braku członków, upadły stowarzyszenia kaznodziejskie, z których jedno, a mianowicie w Wittemberdze, już późniéj nie powstało. Nawet gorącym patryotom opadały dłonie, schylali czoło przed wzmagającą się germanizacyą. Wprawdzie, seminaryum praskie wykształciło od czasu do czasu w swoich murach dobrego Serba, lecz ten katolickiéj niósł pomoc ludności, protestancka większość słyszała wciąż powtarzane smutnéj przepowiedni słowa. Pastorowie i księża, kazali tylko po niemiecku, kolatorowie znów ze swéj strony, zabraniali duchownym pochodzenia serbskiego osiedlać się na parafiach.

Czarne godziny życia, rozjaśnia jedynie obywatelska działalność Jana Dejki, stolarza z Budyszyna, któremu skrzyp pił i hebli nie przeszkadza wypowiadać piórem, zacnych i szlachetnych myśli. Założone przez niego pismo „*Serbski powědar a kurjer*“ w prostych, nie uczonych słowach, wyrzucało ziomkom zaniedbanie mowy ojczystéj. Pisemko, dla sprawy narodowéj, wiele zdziałać mogło, lecz zwyczajną rzeczą, jak każdy objaw życia, przerażało władzę i z jéj téż rozkazu w r. 1842 przestało wychodzić. Niedolę Górnych Łużyc powiększył jeszcze kongres wiedeński, oddając większą ich część, z miastem Kulowem, Worjecami i Mużakowem, pod władzę pruskiego rządu.

Cały kraj nową pokrył się żałobą. Śmierć ostatniego serbskiego kaznodziei w Derbnie (1814) wstrząsa studyujących teologów w Lipsku. Z rozpaczą w duszy, Andrzéj Lubjeński, wspólnie z kolegą Adolfem Klinem, podnosi uśpione stowarzyszenie kaznodziejskie. Zostawszy pastorem w Budyszynie, z całym zapałem, oddaje się pracy. Pisze powieści, opowiadania i poezye, wprawdzie, pod względem literackim, niewielkiéj wartości, lecz jako zawiązki beletrystyki mające już pewne znaczenie. Pracuje nad etnografią i historyą Łużyc, sam jeden, rzec można, reprezentuje ówczesne piśmiennictwo protestanckie, podobnie, jak i zasłużony zakonnik z Mariny Gwiezdy, Tecelin Mět (1759 † 1835 r.), należący jeszcze do pisarzów ubiegłego wieku, podejmuje pracę dla swoich współwyznawców. Lubjeński, wierny zasadom, stracił jednak nadzieję odrodzenia Łużyc. Nic dziwnego. Była to epoka, w któréj wstydzono się mówić po łużycku, a odzywających się w ojczystym języku, witano złośliwym uśmiechem i palcami wytykano na ulicach Budyszyna. Adolf Klin, dobry bardzo patryota, pisał jednak po niemiecku, i on, podobnie jak i Lubjeński (1), czarną

(1) Zmarł 1840 r.

przewidywał przyszłość. Bezgraniczny smutek ogarnął garstkę kochających ziemię ojczystą Serbów. Koniec zdawał się bliskim.

Tymczasem jakby przez ironią Niemcom, tym którzy każdéj godziny oczekiwali śmierci ostatniego Serba, w epoce gdy nad Niemnem wielki wieszcz zrywał z formami klasycyzmu, pod nad Szprewją urodzony poeta, Andrzéj Seiler, zdumiewa uniwersyteckich kolegów pieśniami, wskazując im w przyszłości wyższe, niż zdobycie bogatéj parafii cele. Ożywiony szlachetną ideą, wspólnie z kolegą Kriegarem, rozpoczyna wydawnictwo rękopiśmiennéj gazety serbskiéj. Skromne fundusze kształcącéj się w Lipsku młodzieży nie wystarczały na farbę drukarską, lecz dobra wola i miłość ziemi ojców nie pyta się o czcionki. Tysiączne egzemplarze przepisują nocami i rozsyłają do oddalonych wiosek łużyckich. Zaznajomiwszy się z Kucharskim, Milutynowiczem i Palackim, marzy o braterstwie i wzajemności słowiańskiéj. Wczytany w czeską i polską literaturę, pozazdrościł pobratymcom wyrobionéj pisowni i stylu. Przygotowuje słownik łużycki a w 1830 wydaje w Budyszynie gramatykę górnołużycką. Lecz nietylko suche formy gramatyczne stanowią cel jego pracy, z pieśnią na ustach, zbiéra materyały. Poezye Seilera elektryzują kolegów, lecz powtarzane przez nich, słaby oddźwięk znajdują w duszy, mieszkających w Budyszynie Serbów. Myśl odrodzenia Łużyc zgasła, zamarła na wieki. Wykreśleni z listy żyjących, Serbowie schylają czoło przed smutną koniecznością. Do walki z potęgą germanizacyi występuje dziecko, urodzony w 1816 r. na pruskich Łużycach Jan Ernest Smoler. Czternastoletni uczeń gimnazyum nie lęka się opozycyi i szyderstwa otaczających. Gromadzi wokoło siebie kolegów, odsłania przed ich oczyma nowe, nieznane dotąd światy i na Biblii uczy ich czytać po łużycku. Te pierwsze zgromadzenia studentów, z młodzieńczą wiarą gwarzących o wielkich planach przyszłości, nasunęły Smolerowi myśl zawiązania w gronie swém stowarzyszenia. W tym celu zapukał do władz wyższych o pozwolenie. Rektor, na widok dziecka, które z rozrzewnieniem gorąco przemawiało za sprawą wielkiéj doniosłości, przychylną dał odpowiedź. Skorzystał z niéj Smoler, uorganizowawszy zaraz stowarzyszenie serbskich studentów gimnazyalnych, przewodniczącym jego był do r. 1836 r., to jest do chwili ukończenia gimnazyum. Rzucona iskra rozetliła ogień pod popiołami.

W tymże samym bowiem czasie, dr. Adolf Klin, ówczesny poseł na sejm drezdeński, nie waha się zdumionym Niemcom wygłaszać potrzebę wprowadzenia do szkół elementarnych nauki serbskiego języka. Po wielu zatargach z opozycyą, przeprowadza nako-

niec 1834 r., myśl swoję, dzięki któréj mowa łużycka zawitała znów do szkół ludowych i kościoła. Fakt ten nową otuchą natchnął Smolera, z większym zapałem oddaje się pracy. Ukończywszy gimnazyum budyszyńskie, zwyczajem ewangielików, miał zamiar w Lipsku studyować teologią. Lecz ponieważ rząd pruski zabronił swoim poddanym, z powodu opinii rewolucyonistów, jaką posiadali studenci w Lipsku, uczęszczać tamże na uniwersytet, Smoler, zmuszony okolicznościami, zamieszkał w Wrocławiu. Bawiący ówczas w piastowskim niegdyś grodzie, Purkynie, ściągał młodzież słowiańską; Czelakowski, Cybulski, Palacki i Srezniewski zostają serdecznymi przyjaciołmi Smolera. Zwróciwszy uwagę młodziczy, na przeszłość i dzieje Łużyc, rzuca projekt założenia stowarzyszenia, wciąga w swoje koło nawet i Niemców, i wspólnie z jednym z nich, Röslerem z Łużyc, opracowywa statuta przyszłéj korporacyi zatwierdzonéj przez senat uniwersytecki r. 1838. Zgromadzenia, mające na celu, w pierwszych chwilach, tylko etnograficzne badania, ruchliwością swoją budzą powszechną uwagę; Smoler na pierwszém zaraz posiedzeniu] odczytuje rozprawę o pieśniach górnołużyckich, których zebraniem zajmował się jeszcze za gimnazyalnych czasów, Purkynie popiera stowarzyszenie, a Smoler, opowieściami o doli i przeszłości swéj ojczyzny, entuzyazmuje młodzież. Jednocześnie nie zapomina o kolegach w Budyszynie, pisuje do nich listy i zachęca do dalszéj, rozpoczętéj przez siebie pracy. Idąc téż za jego radą, dwaj studenci gimnazyalni, Karol August Mosak Kłosopolski, (późniejszy tłómacz na niemiecki język, starożytności słowiańskich Szafarzyka) i Fryderyk Imisz (dzisiejszy pastor w Göda), założone przez Smolera dorywcze stowarzyszenie utrwalają, chrzcąc go nazwą, *Societas slavica Budysinensis* (1839). Gdy myśl, rzucona przez Smolera, znalazła urzeczywistnienie, to jest, gdy młodzież zbudziła się do życia, w innym on teraz kierunku zwrócił swoję działalność. Przygnieciony odwieczną niedolą lud wiejski, postanowił wyrwać z odmętu zapomnienia. Poezya ludowa, w któréj słowach i melodyach, kryły się bóle, nadzieje i marzenia stuleci, była pieszczoném dziecięciem starań Smolera. Uczniem będąc, biegał od wsi do wsi i zapisywał pieśni, nucone przez ciche, zapracowane wieśniaczki. Posiadając bogaty zbiór w r. 1842, wydał je drukiem. Jest-to jedna, z najpiękniejszych w tym rodzaju publikacyi. Na tytule (*Pjesnički Hornych a Delnich Łužiskich Serbów*), figuruje obok Smolera nazwisko Haupta, sekretarza towarzystwa naukowego w Zgorzelcu. Haupt napisał tylko przedmowę niemiecką, ani słowa bowiem nie rozumiał po serbsku, a pieśni, tłómaczone na język niemiecki przez Smolera, ujął w formę poezyi. Cała zasługa należy się

Smolerowi. Przed nim, jak wiemy, pracowano usilnie nad oczyszczeniem pisowni łużyckiéj z naleciałości niemieckich, lecz zabiegi gorących patryotów nie dały odpowiednich rezultatów.

Dopiero Smoler, energiczny i stanowczy we wszystkich swoich przedsięwzięciach, wziąwszy się do pracy, przyjął alfabet łaciński i znakami diaktrycznemi, podobnie jak w pisowni czeskiéj, zastąpił dawniéj używane dwie litery na określenie jednego dźwięku. Smoler reformy wprowadzał zwolna, pisownię jego przyjęła najprzód młodzież uniwersytecka w swoich referatach i sprawozdaniach. Taką już poprawną pisownią wydał właśnie pieśni ludowe. Pojawienie się zbioru zwróciło powszechną uwagę. Tom pierwszy obejmuje 331 górno, drugi—200 dolnołużyckich. Do wielu z nich dodał jeszcze muzykę, oraz wskazał miejscowość, w któréj daną posłyszał piosenkę. W pierwszym tomie pomieścił przytém opisy zwyczajów, podań, przesądów, mitologią, charakterystykę podrzeczy oraz opis geograficzno-statystyczny, w drugim, etnograficzną kartę Łużyc.

Smoler porzuciwszy, z powodu choroby piersiowéj, poprzednie zamiary zostania pastorem, po odbytéj wspólnie z Czelakowskim do Czech i Pragi podróży, powrócił na stałe do Budyszyna.

Odtąd datuje się cały łańcuch prac i ofiarności wielkiego patryoty, twórcy odrodzenia Łużyc. Z chwilą przyjazdu Smolera do Budyszyna, dr. Jan-Piotr Jordan (ur. 1818), wychowaniec serbskiego seminaryum w Pradze, założył 1842 roku pismo „Jutrzenkę" Jordan zacny i gorących przekonań człowiek, zdolności redaktorskich nie miał żadnych. Wprowadziwszy do „Jutrzenki" zreformowaną przez siebie pisownię, coś pośredniego między czeską a staroserbską, taką, jaką przyjął w wydanéj przez siebie w Pradze (r. 1841) gramatyce, zniechęcił nieobznajmionych z nowością Łużyczan. Na gruzach gazety, Seiler, podówczas pastor w Łazu, obejmuje redakcyę nowopowstałych „Tygodniowych Nowin". Nauczony smutném doświadczeniem Jordana, zamiast alfabetu łacińskiego, przyjął dobrze znaną ludowi szwabachę. Seiler poezye, Kulman satyry, Pjenek ludowe opowieści, ojciec Smolera rolnicze, wreszcie młody Jan Ernest różnéj treści zamieszczają artykuły. „Nowiny", pozbawione politycznéj części, chciwie jednak przez ogół były czytane, a Smoler z radością spoglądał na ten objaw myśli i życia. Duszę jego, przepełniały znów nowe uczucia i zamiary. Jeszcze za pobytu w Wrocławiu, Macierz czeska przywodziła mu na myśl własny kraj i jego potrzeby. Garstkę inteligencyi i lud, (r. 1834) połączyć chciał nicią wspólnych dążeń i poglądów. Osiedliwszy się w Budyszynie,

postanowił zamiar swój doprowadzić do skutku. Grunt znalazł już przygotowany, wykarczował go własną pracą i zabiegami.

Nieszczęśliwe, zapomniane dotąd Łużyce, dzięki ruchliwości Smolera i wydanym przez niego pieśniom ludu, przypominają się słowiańskim braciom. Smoler, korzystając z chwili, gdy w powietrzu drżały jeszcze melodye piosenki serbskiéj, przedstawił na zgromadzeniu młodzieży (1845) przygotowany przez siebie, projekt założenia stowarzyszenia serbskiéj Macierzy. Wobec braku funduszów, myśl ta była zuchwalstwem. Młodzież niezamożna i lud zaledwie zbudzony z wiekowéj zadumy, odpowiednich kapitałów składać nie mogli. Na pomoc pobratymców także nie liczono, okrzykami radości przyjęto jednak projekt Smolera. Studenci Cyż, Pful, Mosak Kłosopolski, poeta Seiler, nauczyciel elementarny Kocor, Imisz, Wanak, wreście Smoler, utworzyli tymczasową komisyę, któréj zadaniem było spisanie ustaw i pozyskanie od rządu pozwolenia. To ostatnie nie było tak łatwém. Smoler porusza wszystkie sprężyny, w końcu, po usilnych staraniach, za wstawiennictwem Adolfa Klina, członka rady miejskiéj w Budyszynie, r. 1847, w środę po Wielkiéj Nocy, wezwani przez „Tygodniowe Nowiny“, Serbowie stawili się na uroczysty, pamiętny w dziejach Łużyc, dzień założenia towarzystwa Macierzy (1). Zapał ogarnął wszystkich: do stowarzyszenia przystępowali duchowni obu wyznań, nauczyciele elementarni, młodzież gimnazyalna i lud wiejski. Umiejętność, z jaką Smoler wziął się do przeprowadzenia najgorętszych pragnień, zainteresowała ogół. Posiedzenia Macierzy, wybory członków i zarządu, zachęcały do uczestnictwa nie tylko inteligencyę, lecz i lud jednocześnie, do którego Smoler pisał oddzielne zaproszenia i odezwy, wskazując drogę wspólnéj dla narodu pracy. Już w r. 1848 ukazał się pod redakcyją Smolera pierwszy, tak serdecznie witany przez Serbów, zeszyt czasopisma, opatrzony gorącą przedmową Adolfa Klina.

Tak więc, dzięki Smolerowi, powołane zostało do życia wydawnictwo, będące punktem ciężkości dla całych Łużyc. Instytucya, któréj członkowie płacili skromne, ciężko zapracowane grosze, zaraz w pierwszych latach istnienia podjęła się wydawnictwa dzieł pożytecznych, treści popularnéj i naukowéj. Ukazują się drukiém, kazania Lubjeńskiego, daléj, towarzysz i kolega zacnego pastora, Ernest Bohuwier Jakób, również gorący patryota i autor wielu prac religijnych, napisał „Serbskie górne Łużyce“, źródła dla

(1) Na pamiątkę założenia, corocznie w środę Wielkiéj Nocy, odbywają się posiedzenia Tow. Macierzy.

badaczów przeszłości łużyckiéj; bibljografia, literatura i statystyka doprowadzone w nich do r. 1848. Rok rocznie, nowe dzieła wzbogacają literaturę łużycką. W ślad za źródłami Jakóba, wychodzą nakładem Macierzy: „Wojny Napoleona“ Pohończa, „powieści dla ludu“ Muczinka, „Ogrodownictwo“ Kralla, „pieśni narodowe“ Kocora, „śpiewnik“ Fiedlera i wiele innych, a przedewszystkiem, najcenniejsza praca, wydana 1866 r., a mianowicie, „słownik łużycko-niemiecki“, opracowany staraniem D-ra Pfula, Seilera i księdza Hornika (1). Popularnéj treści książki, wypuszczane w świat za bezcen, przedarły się nawet do najmniéj zamożnych mieszkań.

(1) Do współpracownictwa należał także Kućauk.

(*D. n.*) *Melania Parczewska.*





ABISYNIA
I JÉJ MIESZKAŃCY (*).

Abisyńczycy wogóle są średniego wzrostu (1600 mm.), ale pojedyncze indywidua dosięgają 1730 mm. Dobrą budowę napotyka się szczególniéj u górali, podczas gdy mieszkańcy Samhary i Kuolli są chudzi. Kształt czaszek jest najczęściéj długogłowy (*dolichocephal*), nos prosty lub zgarbiony, czasem nawet silnie, wąski, lecz z rozszerzonemi nozdrzami i końcem częściéj tępym, niż ostrym, usta nieco wystające, mięsiste, nawet wydęte, podbródek nieco ostry, czasem zaś zaokrąglony i w tył odchylony. Spłaszczone i szerokie nosy, właściwe Murzynom środkowéj i zachodniéj Afryki, napotykają się i w Abisynii, lecz rzadziéj. Oczy są wielkie o wyrazie żywym i inteligentnym. Abisyńczycy, jak wszyscy Afrykanie, mają zwyczaj zmrużania oczu dla ochrony od słonecznego blasku, co nadaje twarzy wyraz podejrzany, nawet zdradziecki. Wskutek ciągłego mrugania; skóra przy kątach ocznych pokrywa się licznemi, drobnemi zmarszczkami. Włosy czarne, kędzierzawe, czasem wełniste jak u Murzynów, bywają splatane w liczne drobne warkocze. Zarost na brodzie słaby. Ręce i nogi są dość duże, te ostatnie wskutek chodzenia boso po górach są na podeszwach pokryte rogowo twardą skórą.

Kobiéty abisyńskie są niskie (1450—1480 mm.), w młodości odznaczają się niemałym wdziękiem. Piękna twarz o oczach rozumnych, zaokrąglone ramiona, odstające półkuliste piersi, cienka kibić, harmonia w całéj budowie są to, mówi Hartmann, zalety, których antropolog nie potrzebuje długo szukać u córek Habeszu. Zresztą, jak wogóle na południu, tak i w Abisynii wdzięki te więdną szybko; widziałem, mówi ten uczony, w Chartumie i innych

(*) Ob. zeszyt sierpniowy „Ateneum", str. 332—342.

miejscach Abisynki, żony Europejczyków, ale ani w rysach, ani w wyrazie ich twarzy nie można było poznać ich „przeszłości".

Barwa skóry Abisyńczyków jest żółtawo-brunatna to ciemniejsza, to jaśniejsza, często wpadająca w czerwonawą. Zdarzają się téż odcienie ciemniejsze: czarno-brunatny i zielonawo-brunatny. Na jaśniejszych wogóle twarzach kobiét można wyraźnie rozeznać zarumienienie. Usta są ciemniejsze niż u nas, brunatno-czerwone, często wpadają w fioletowe, rzadko w wiśniowe.

Włosy, obficie smarowane masłem, bywają splatane różnemi sposobami w warkocze, mieszkańcy krainy Szoa wkładają w włosy drewniane patyki, aby się niemi w razie potrzeby podrapać, często téż owijają głowę kawałkiem czerwonéj materyi, lub skóry.

Abisyńczycy noszą spodnie, sięgające zwykle tylko do kolan, ciało obwijają fałdzisto-czerwoną lub białą materyą, przyczém górną część ciała pozostawiają odkrytą lub téż nadziewają bawełnianą koszulę z szerokiemi lecz krótkiemi rękawami. Nieodzowną część składową męskiego ubrania stanowi szama, to jest biała bawełniana toga, oblamowana czerwono lub niebiesko; tą togą umieją się oni obwijać na różne sposoby bardzo malowniczo.

Wojownicy używają prócz tego na ubranie skór rozmaitych zwierząt, szczególniéj futrzanych kołnierzy zdobnych srebrnemi blaszkami. Wodzowie przystrajają się jeszcze w srebrne obręcze na ramionach i głowie, w które zatykają powiewające pióra strusie.

Duchowni golą głowę zupełnie i obwijają w biały, czerwony lub żółty turban, na szyi noszą rożaniec, w ręku wachlarz na muchy z ogona końskiego, żyrafy, lub antylopy.

Parasole od słońca są w powszechném użyciu; gdy władca jedzie na koniu, lub mule, wówczas noszą nad nim z wielką pompą olbrzymi parasol.

Kobiéty noszą różne ozdoby, jak obręcze metalowe na rękach i nogach, srebrne łańcuszki i szklane perły na szyi, wielkie kolczyki i t. d. Brwi, skąpe z natury, bywają wyrywane i malowane na niebiesko. Brzegi powiek bywają malowane na czarno, policzki na czerwono; ręce i nogi również. Szoanki prócz tego napychają sobie do nosa skórki cytrynowe lub wonne zioła, które zwisają aż do ust.

Abisyńczycy należą bezwątpienia do najbrudniejszych ludzi na ziemi; brud uważają oni za cnotę mile widzianą przez Boga: według ich mniemania nie ma bardziéj budującego widoku nad pustelnika, który dwadzieścia lat przeżył, nie myjąc się wcale. Masło, którém Abisyńczycy smarują włosy i ciało, napawa zwolna wszystkie używane przez nich rzeczy i wydaje woń nie do zniesienia.

Broń Abisyńczyków nie jest zbyt urozmaicona; pistolety używane bywają rzadko, są to zwykle długooprawne, arabskie. Strzelby są lontowe; tylko gwardya królewska ma karabiny Remingtona. Za kulę służą kawałki żelaza. W powszechném użyciu są lance z krótkiemi lub długiemi drzewcami, szable zgięte sierpowato lub nawet pod kątem rozwartym, które wraz z długim krzywym nożem zawieszone są u prawego boku. Tarcza, zawsze okrągła, jest zrobiona ze skóry słonia lub bawołu.

Domy Abisyńczyków są zbudowane bądź z kamieni, bądź z gliny i trawy. Za cement do kamieni używają gliny, błota, wapna lub nawozu krowiego. Domy pierwszego gatunku mają kształt kostkowy, drugiego—są okrągłe ze stożkowym dachem. Te ostatnie zdarzają się nietylko po wsiach ale i po miastach; nawet stolica Szoy, Ankober, składa się z takich domów; okna są tu wprost tylko przedziurawieniami w ścianach i bywają zasłaniane deskami; jeżeli z powodu niepogody i drzwi zostaną zamknięte, to wszelki dostęp światła do wnętrza zostaje przerwany. Ponieważ termometr rzadko wznosi się tutaj po nad 20° C., więc nieraz zachodzi potrzeba opalania, ale dla dymu nie ma innego wyjścia, jak otwór w dachu lub szpary popękanych ścian; dym ten czerni ściany i pułap, napełnia izby i wywołuje częste zapalenie oczów.

Główném pożywieniem Abisyńczyków jest surowe mięso, szczególniéj wołowe. Abisyńczycy lubią spożywać je zaraz po zabiciu bydlęcia, krwawe, prawie jeszcze drgające. Zdarza się nawet, że wycinają mięso żywemu bydlęciu i pożerają natychmiast całemi funtami. Drastyczne wyrażenie pewnego podróżnika, że Abisyńczycy jedzą jak wilki i mlaszczą przytém jak świnie, znajduje zupełne potwierdzenie; niemlaskanie podczas jedzenia uważane jest w Abisynii za znak złego wychowania! Abisyńczycy przygotowują też różne odurzające napoje, szczególniéj piwo z sorgum, zwane merisi? Hartmann powiada, że uraczeni tym napojem Abisyńczycy z radości pieją jak koguty i kwiczą jak prosięta.

Z powodu spożywania mięsa na surowo Abisyńczycy cierpią często na solitera; szczęściem jednak kraj posiada wiele roślin, służących za lekarstwo; szczególniéj skuteczne jest kusso, kwiat pięknego drzewa, o liściu pierzastym, z rodziny różowatych. Podróżnicy opowiadają anegdotę, iż gdy Abisyńczyk chce się uwolnić od niemiłych gości, każe mówić służącemu: „getana (to znaczy: nasz pan) przyjął kusso".

Główném zajęciem Abisyńczyków jest rolnictwo. Hildebrand powiada o Samharze, iż gdy w lecie powietrze, silnie rozgrzane nad piaskami i obszarami czarnéj trachitowéj lawy, wznosi się drżąc

w górę, wówczas pochłania ono wszelką wilgoć przynoszoną przez wiatry od morza wiejące, które dopiéro wznosząc się na góry, sprowadzają tam opad. Inaczéj rzecz się ma w zimie, gdy napełnione parą zimne powietrze z gór Abisynii spada na wybrzeże i użycza mu deszczów (1). Wówczas budzi się tu nagle życie, z ciernistych krzaków wyrastają liście i kwiaty, ziemia pokrywa się zielonym kobiercem traw, a wyschłe dawniéj łożyska rzek napełniają się szumiącemi wodami, zmierzającemi do morza. Wówczas pasterz opuszcza swą letnią górską siedzibę i rozbija swe namioty w téj krainie nadbrzeżnéj. Rolnik chwyta za pług i tutaj, gdzie przed niewielu tygodniami palący wicher unosił resztę zeschłych liści nad nagą równiną, pasą się teraz wesoło stada i falują bujne niwy. Zresztą nie każdego roku zdążą one dojrzéć, gdyż deszcze są tu bardzo niestałe.

Wschodnia Kuolla jest lepiéj uposażona dla rolnictwa, ale z powodu rzadkiego zaludnienia téż tylko miejscami bywa uprawiana; udają się tu liczne gatunki sorgum, kukurydza, tytoń, pieprz czerwony i cébula.

Woino dega jest główną krainą rolnictwa, które ku dega znów coraz bardziéj ubywa. Pola i mieszkania dla ochrony od zwierząt otoczone są ciernistém ogrodzeniem, często wyrównane tarasowato i skrapiane sztucznie przez zatamowanie potoków i system kanałów.

Pasterstwo, jak u wielu afrykańskich ludów, stanowi tu ulubione zajęcie: dojeniem krów podobnie jak u Kafrów zajmują się mężczyźni; masło wyrabia się w skórzanych worach przez wstrząsanie.

W życiu domowém, społeczném i politycznem, Abisyńczycy przedstawiają naród nawpółbarbarzyński, szarpany przez niesnaski wewnętrzne, naród z rozkiełznanemi namiętnościami, prowadzącemi do czynów gwałtownych, zarówno bohaterskich jak i zbrodniczych. Podróżnik Munzinger był gorącym rzecznikiem Abisyńczyków: „Abisyńczyk, powiada on, myśli, marzy, kocha i nienawidzi; czuje on, jak i my, tylko surowiéj, często naturalniéj i swobodniéj, szczerzéj. Czyż czarne oblicze ma zawsze czarne pokrywać serce?

(1) Hildebrand myli się w objaśnieniu tego zjawiska: zimne powietrze, spadające z gór, nie może zjawiać się na ciepłéj nizinie, jako wilgotne, gdyż spadając osusza się, podobnie jak szwajcarski Föhn. Sądzimy więc, że ten dziwny napozór fakt, iż wiatry te mimo to sprowadzają deszcze w gorącéj Samharze, tłómaczy się nie własnością powietrza Samhary: powietrze to dzięki bliskiemu morzu i dzięki wysokiéj temperaturze posiada bardzo wielką ilość pary wodnéj a bardzo małą wilgotność. Wiatr zimny spadający z gór, jest sam przez się suchy, ale oziębiając powietrze obfite w parę wywołuje skroplenie.

I tam znajdziesz serca współczujące! Gdy ostry wiatr wieczorny napędzi na wyżynę gęste mgły, wtedy podróżny może śmiało zapukać i nawet natrętnego żebraka spotka przyjazne powitanie, wesoło trzaskający ogień i ciepła strawa. I tam są rycerze, obrońcy kobiét i słabych. Możesz tam również pozyskać przyjaciela, choć nie zaraz, który cię ochroni w dzień niebezpieczeństwa. Wierna miłość, szczęśliwe małżeństwa nie są tam rzadkością, a jakże często żona, opłakująca męża, idzie za nim dobrowolnie na śmierć przedwczesną! Zobaczysz w latach głodu, matki wychudłe, a dzieci wesołe i rzeźkie. Żona jest niezmordowaną w pielęgnowaniu chorego męża. Dzielni synowie poświęcają się przez całe lata pracy, by swemu staremu ojcu zapewnić życie bez troski. Nie brakuje uczuć, ani werwy i humoru; śpiewają oni i tańczą podczas gwiaździstych nocy; pieśni opiewają bohaterów, zwycięzców ludzi i lwów. Pieśnią wyraża Abisyńczyk radość i smutek lub skargę, pieśń towarzyszy pracy i weselu".

Chłodniejszy Hartmann robi na to uwagę, iż podobnych ludzi znajdujemy wogóle od bieguna północnego ku południowemu i od krańców zachodu do wschodu. Nie zgadza się jednak na to, aby Abisyńczyk czuł zupełnie tak jak my: żyje on, myśli, czuje i kocha wprawdzie jak człowiek, ale zawsze jak człowiek swéj afrykańskiéj ojczyzny. Ze ściśle badawczego stanowiska należy rozważać każde plemię w jego miejscowém otoczeniu, we właściwéj mu sferze narodowéj działalności. Jeżeli z tego stanowiska uważać będziemy Abisyńczyka, to przyjdzie nam się dziwić, że mogło się w nim jeszcze rozwinąć tyle pierwiastku etycznego. Łączy on bowiem dobre i złe właściwości Afrykanina i Azyaty, chrześcianina i mahometanina, a nawet poganina. Źle pojęta kultura, ciągłe niepokoje polityczne, wywołane rozdrobnieniem kraju przez przyrodę i sąsiedztwem ludów mahometańskich, spory religijne, gwałtowne czyny władców, wszystko to pozostawiło w tym narodzie swe niekorzystne ślady. Przejdźmy jednak do szczegółów.

Pośród uboższych Abisyńczyków panuje monogamia; gdy kawaler, mający zamiar się żenić, jest w posiadaniu pewnéj ilości talarów, wówczas wysyła swaty, przyczém rodzice dziewczyny często targują się o cenę. Po skończeniu umowy, małżeństwo bywa zawierane zwykle bez ceremonii ślubnych. Gdy para jest bogata, naówczas urządzane bywają uczty jedna za drugą, przyczém narzeczony ze swemi przyjaciołmi wykonywa pozorne porwanie narzeczonéj. Małżeństwo rozwodzi się łatwo, dzieci idą za matką, ale ojciec musi do ósmego roku pamiętać o ich utrzymaniu. Wierność małżeńska jest tu równie rzadka jak w Sudanie, wielożeństwo

bywa cierpiane, lecz praktykuje się głównie tylko u bogatych. W tym razie każda kobiéta ma oddzielne domostwo, co przypomina zwyczaje Kafrów. Abisyńczycy, którzy jako kupcy wiele podróżują, mają w różnych miejscowościach po jednéj żonie i odwiédzają je przy sposobności. Dziewczyny dziesięcioletnie a nawet młodsze bywają pojmowane w małżeństwo; zdarza się, iż siedemdziesięcioletni starzec bierze za żonę dziesięcioletnie dziecko! Dzieci obojga płci bywają obrzezane, zwyczaj właściwy wszystkim Afrykanom aż do Kafrów. Małe chłopcy pilnują bydła, zbiérają drzewo i piorą odzienie. Kobiéty noszą wodę, mielą mąkę, gotują, tkają i plotą. Abisyńczyk traci wiele czasu na uporządkowanie swéj fryzury, na wizyty i gawędy. Przy ucztach bywa nieraz gorąco: kije a nawet noże bywają w robocie.

Abisyńczyk, uposażony od natury, posiada wiele technicznych zdolności, jest dobrym rzemieślnikiem. Rzemieślnicy, mający do czynienia z żelazem, są tu, podobnie jak w sąsiednich krajach Afryki, otoczeni jakimś nimbem, uważani za czarowników, którzy nocną porą zmieniają się w hyeny i dopuszczają różnych złych czynów.

Ulubioném zajęciem Abisyńczyków jest wojna, albowiem wówczas zdarza się gratka do rabunku, ucztowania, picia i włóczenia się. Gdy tylko jakiś ambitny i awanturniczy wódz zabiéra się do roboty, zaraz gromadzi się koło niego kupa zbrojnych nicponiów, między którymi w znacznéj liczbie znachodzą się stare wygi, obznajmieni z wszelkiemi krajowemi zwyczajami i szykanami sztuki wojennéj. Żołd tylko wyjątkowo bywa płacony: tak np. w Szoa tylko strzelcy królewscy pobierają żołd, mianowicie po ośm kawałków soli rocznie, wartości około 1½ marki każdy.

Armia abisyńska, za którą ciągną kobiéty, dzieci i niezliczone bagaże, pstrocizną swą zdaje się cofać nas w czasy wielkiéj wędrówki ludów. Heuglin maluje nam żywemi barwami widok armii Teodorosa II, który wyprawiał się przeciwko Galom. Wczesnym rankiem zdjęto obóz, żołnierze zapalili swe naprędce sklecone chaty. Dokoła walały się liczne trupy koni, mułów, osłów i bydła w różnym stopniu rozkładu, a między niemi leżały też pojedyńcze trupy mężczyzn i kobiét, zmarłych z zimna, głodu lub ran. Po małych dzieciach bądź zmarłych, bądź porzuconych z biédy przez matki, stąpali bez litości ludzie i konie. Stada ptaków drapieżnych i nawpół zdziczałych psów ciągnęły za armią, znajdując obfitą strawę w trupach, których pogrzebem nikt się nie zatroszczył. Czerwony namiot króla tworzył zawsze środek, w miejscu o ile możności wzniesioném; drzwi tego namiotu zwrócone były zawsze w tę stronę, gdzie nazajutrz miano maszerować. Przed namiotem króla

stał namiot kościelny, a po bokach namioty dwóch królowych; nieco daléj namiot głowy kościoła czyli abuny i namiot komendanta obozu. W marszu król jechał jak zwykle na czele wojska, którego masa zajmowała milę szerokości a 2—3 długości. Widać tu było oficerów na mułach w otoczeniu licznéj służby, brudnych księży, żołnierzy, tragarzy, osły, konie juczne, kucharki z atrybutem swego kunsztu—długiemi łyżkami w ręku lub u boku, niby z szablami. Na pięknym mule z dzwonkami jechał abuna w czarnym turbanie, niebieskiém ubraniu i czerwono wyszywanym burnusie.

Jeden oddział złożony z eunuchów i żołnierzy szedł śpiesznym krokiem, rozpychając ludzi; w jego środku jechała jedna z królowych ubrana w niebieski aksamitny płaszcz wyszywany bogato srebrem oraz utkany drobnemi złotemi i srebrnemi dzwoneczkami, z twarzą zawoalowaną na sposób czerkieski. Daléj następował oddział mułów, uginających się pod ciężarem worów skórzanych z mąką i zbożem; za niemi jechał szanowny eczege, głowa kongregacyi zakonnych w białym ubraniu i turbanie, za olbrzymim indyjskim parasolem; daléj bracia klasztorni, z których każdy trzymał oganiaczkę od much z włosienia końskiego lub krowi ogon.

Za eczege i jego pobożną świtą szedł w trop mnich, dzwoniąc w dzwonek, a za nim niesiono na krzesłach szereg drewnianych tablic Mojżesza, owiniętych w czerwoną materyę. Najciekawszą jednak rzeczą w tym duchownym pochodzie był niezmiernie tłusty kogut, tuczony i skazany na celibat, ażeby możliwie najpóźniéj rozpoczynał poranek i nie budził zbyt wcześnie do modlitwy tych pobożnych mężów, którzy nie pozbyli się jeszcze błogich wspomnień wieczornéj libacyi.

Chorych i rannych, zawiniętych w długie szama, niesiono na lekkich noszach, daléj szli jeńcy w kajdanach, matki z dziećmi w koszykach, polityczni przestępcy często bez rąk lub nóg itd.

Za stajnią negusa szły cztery ułaskawione lwy, zupełnie wolno puszczone i dobrze karmione; chłodne górskie powietrze i dżdżysty dzień wprawiały je w stan ponury i gniewliwy.

W podobny sposób musiał niegdyś występować na wojnę Ramzes lub Nebukadnecar. Teodoros, który lubował się w dzikich komedyach, miał zwyczaj udzielać audyencyi w towarzystwie swych lwów; tak odtworzył uzurpatora podróżnik Lejean. Podobnież faraonowie i władcy asyryjscy bywają na dawnych pomnikach przedstawiani w towarzystwie tych zwierząt.

Abisyńczycy odznaczają się męstwem w boju, dowiedli tego w niezliczonych wojnach; z pogardą śmierci rzucają się oni na wielekroć liczniejszego wroga. Walczą bezładnemi masami, ich sztuka

wojowania sięga wielu stuleci w tył. Gdy w r. 1868 wojska Teodorosa rzuciły się ze szczytu Magdali na armię angielską pod Arogi, w szeregach ich nie było nawet tyle porządku, ile go wedle tradycyi przedstawiał kwiat rycerstwa francuskiego w pamiętnym krwawym dniu pod Azincourt. Po nieprzespanéj nocy rycerze francuscy rzucili się w niezwartych szeregach przez rozmiękczone deszczem pola na zastępy Henryka V, aby znaleść swą zgubę. Dzień Azincourtu przypadł jednak na r. 1415; dzień pod Arogi zdarzył się w przeszło cztery stulecia późniéj! w Afryce rozwój wolniej się odbywa niż u nas.

Abisyńczyk, jako zwycięzca, odznacza się okrucieństwem: kaleczy trupów i rannych w sposób straszliwy; obcina im częsci płciowe! Z temi wstrętnemi trofeami urządza sobie obrzydłe zabawki, jest on w tym względzie naśladowcą owego faraona, przed tronem którego usypywano całe góry tych trofeów (obrazy ścienne w Medinet Abu i Tebach).

Lud abisyński posiada skłonności handlowe; wobec mało rozwiniętego przemysłu, wywóz ogranicza się głównie do przedmiotów surowych (wosk, kość słoniowa, pieprz czerwony, sól, kawa, skóry itd.); głównym produktem wywozowym byli, a po części są i dotąd niewolnicy, mimo wszelkich środków, jakie przeciw temu przedsiębiorą narody cywilizowane. Jedni z tych nieszczęśliwych bywają prowadzeni do Sennaaru, inni przez morze Czerwone lub na północ. Na pograniczne prowincye Abisynii napadają mahometanie i uprowadzają chrześcian w niewolę. Zwycięstwa Teodorosa i Jana ukróciły wprawdzie te napady ale nie na długo (Jan zginął, jak wiadomo, obecnie w walce z mahometanami). Abisyńczycy odpłacają się mahometanom pięknem za nadobne; szczególniéj mieszkający na północ i zachód Abisynii lud Szangala stanowi ulubioną zdobycz grasujących oddziałów abisyńskiéj kawaleryi, podobnie rzecz się ma z mieszkającymi od południa Galami. Tylko febryczny klimat Kuolli wstrzymuje czasem górali od tych wypraw na niziny.

Na zachodnich granicach Abisynii ukrył się pewien zbieg egipski, który popierany i zaopatrzony w broń przez abisyńskiego gubernatora, długo plądrował sąsiednie prowincye Egiptu, uprowadzał ludzi i sprzedawał Abisyńczykom. Porty: Massaua, Berbera, Zeila i Tedżura były głównemi rynkami niewolników. Według Rueppela obrót niewolnikami w Massaua wynosił dawniéj 120000 talarów Maryi Teresy. W Chartumie jeszcze w roku 1860 piękne dziewczyny abisyńskie i Gala stanowiły ulubiony artykuł handlu dla muzułmanów i europejczyków. Wielu z tych ostatnich wstępowało nawet w związki małżeńskie ze swemi niewolnicami, które wkrót-

ce uczyły się panować w domu i brały swych dawnych panów pod pantofel.

Jako moneta służy w Abisynii materya bawełniana, mateb, sól i talary Maryi Teresy. Mateb jest to jedwabny niebieski sznur, noszony przez chrześcian, jako oznaka ich wiary. Sól wydobywana na wschodzie Abisynii rośnie w cenie ku zachodowi i używana jest jako drobna moneta: kilkadziesiąt kawałków idzie na talar. Do przewożenia takiéj monety używane są muły, „chodzące portmonetki", ale najsilniejszy muł uniesie jéj zaledwie za trzy talary. Talary Maryi Teresy były bite umyślnie dla Abisynii w Wenecyi, obecnie zaś w Austryi; każda taka moneta musi nosić wyraźny obraz cesarzowéj i datę 1780.

Abisyńczycy są niezmiernie chciwi. Strabon powiada, że za jego czasów Etyopowie mieli dwóch bogów: jednego nieśmiertelnego, któremu przypisywali powstanie świata; drugiego, śmiertelnego, którego nie znali bliżéj. Dzisiejsi Etyopowie znają się doskonale na tym drugim bogu, śmiertelnym; jest-to właśnie talar Maryi Teresy. Dźwięk tych talarów ma wpływ magiczny, usuwa wszelkie skrupuły, otwiera drzwi, serca, wszystko. W Abisynii żebractwo jest bardzo rozpowszechnione, podniesione do godności sztuki, prowadzone metodycznie z wielką umiejętnością; są tu nawet konni żebracy.

Podział hierarchii urzędniczéj w Abisynii jest bardzo ściśle i konsekwentnie przeprowadzony. Cesarz lub król otoczony jest nimbem majestatu, co jednak złych poddanych nie wstrzymuje od tego, aby w razie sposobności przygotować „miłosiernéj łasce świętéj trójcy" gwałtowny koniec. Wogóle jednak, jak Abisyńczykom tak i władcom nie zbywa na pewnym zmyśle sprawiedliwości. Teodoros w początkach swego panowania był prawie ubóstwiany właśnie dla tego głównie, że starał się, aby wszystkim udzielana była sprawiedliwość. Heuglin i inni podróżnicy opowiadają jak Teodoros na wszystkich swych wyprawach wojennych zajęty był od rana do nocy sprawowaniem sądów. Na długo przed wschodem słońca zgromadzali się suplikanci przed namiotem króla, wołając „*abiet, abiet*" (panie, panie!). Negus wstawał, sądził, udzielał łask i podarków. Następnie przychodziły raporty, patrole przyprowadzały złoczyńców lub szpiegów; sprawy i egzekucye szły szybko, bez tracenia czasu na frazesy. Teodoros był wtedy uważany za sprawiedliwego, wspaniałego i hojnego, ale zarazem za nieubłaganie surowego; późniéj jednak surowość ta przerodziła się, jak wiadomo, w zwierzęce okrucieństwo. Zresztą okrucieństwo jest rzeczą zwykłą w tym kraju ciągłych wojen domowych, rabunków i vendetty: za powstanie przeciw rządowi, za obrazę domu panującego, za rabunek, na-

pad naznaczone są surowe kary: jak powieszenie, zaćwiczenie na śmierć, ukamienowanie, obcięcie rąk i nóg itd. Obcięte członki bywają w oczach delikwenta pieczone a następnie zanurzone w masło i oddawane właścicielowi; dzieje się to dla zadośćuczynienia względom religijnym: chodzi o to, aby członki te mogły być po śmierci właściciela pochowane z resztą ciała tak, aby mógł on tym sposobem zjawić się w całéj osobie na sąd ostateczny! Gdy królowi Janowi wpadł w rękę jego współzawodnik, zwyczaj krajowy upoważniał do napełnienia mu uszów prochem i wysadzenia czaszki jak minę. Jan kontentował się jednak skromném wydłubaniem oczu za pomocą rozpalonego żelaza. „Łagodność“ ta wprawiła naród w prawdziwy zachwyt! Wobec tego rodzaju „łagodności“ więzień w Abisynii nie ma zbyt wiele; z więzień tych przytém łatwo byłoby uciec, więc zwykle więźnia w ten sposób krępują, że nie może ani myśléć o ucieczce.

Religią Abisyńczyków jest chrystyanizm; są oni, podobnie jak egipscy Koptowie, monofizytami z domieszkami judaizmu, mahometanizmu, a nawet poganizmu. Abisyńczycy są szczególniejszymi czcicielami Maryi, są, jak się ktoś wyraził, „maryolatrami“. Na czele duchowieństwa stoi abuna (nasz ojciec), biskup, który jest naznaczany przez patryarchę Koptyckiego w Aleksandryi. Tylko abuna może pomazać na króla i wraz z wyższém duchowieństwem musi praktykować celibat. Każdy nowy abuna kosztuje Abisynią wiele pieniędzy, które trzeba składać Egiptowi. Władza abuny jest znaczna, ale czasami energiczni królowie nie wiele sobie z niéj robią. Tak Teodoros zamknął intrygującego abunę do więzienia, a gdy ten groził klątwą, Teodoros kazał go umieścić w umyślnie zbudowanym domu z suchych gałęzi i zapalić. Naturalnie, że wobec tak przekonywającego dowodu niewinności Teodorosa, abuna cofnął klątwę jak najskwapliwiéj. Nie lepiéj udało się samemu patryarsze aleksandryjskiemu, który zwiedzał Abisynią w celach politycznych i występował z wielką pychą. Objawił on Teodorosowi, że negus powinien być poddany księciu kościoła, a gdy Teodoros odpowiedział drwiąco, patryarcha rzucił nań klątwę. Teodoros jednak nie dał się upokorzyć: wyjąwszy z za pasa pistolet, zmierzył do patryarchy i rzekł z uszanowaniem: „wasze błogosławieństwo ojcze święty“—naturalnie, że i na ten raz nie potrzebował długo nań czekać.

Liczba niższego duchowieństwa jest tu bardzo znaczna; mnichów i mniszek téż nie brak. Wyrażenie Harrisa, że w Abisynii dwanaście tysięcy duchownych trutniów żyje w bezczynności, karmiąc się potem klas pracujących, charakteryzuje doskonale stan rzeczy. Mnisi rekrutują się nietylko z ludu, ale i z wyższych klas:

jest to ucieczka wszelkiego rodzaju bankrutów życiowych. Mniszki też rekrutują się w znacznéj części z „podstarzałych kobiet wyższego stanu, przesyconych już rozkoszami życia".

Z praktykami religijnemi abisyńscy duchowni nie robią sobie wiele kłopotu. W ciągu dwudziestu czterech godzin odprawia się 3—4 razy nabożeństwo; przy mszy używają kwaśnego chleba i wina importowanego, a w jego braku—odwaru z rodzenków; gdzie są winogrona (które wskutek choroby winorośli obecnie zdarzają się tam rzadko), tam wyciskają jagody w wodzie i używają zamiast wina. Śpiewy kościelne odbywają się przez nos. Czytanie długiéj liturgii odbywa się w niezrozumiałym dla ludu języku (geez), w ten pośpieszny bezduszny sposób, w jaki dzieci mahometańskie recytują swe zadania szkolne. Duchowni chrzczą, dają śluby, odprawiają msze, spowiadają. Te praktyki religijne są tu bardzo kosztowne: za odpuszczenie grzechów np. trzeba dobrze płacić, za to jednak są udogodnienia: kto chce popełnić grabież, może się z tego zawczasu wyspowiadać i za odpowiednią zapłatą otrzymać rozgrzeszenie (być może, iż w tym kierunku bywa nawet udzielany kredyt, zwłaszcza gdy penitent budzi zaufanie). Szczególniéj drogo kosztuje pogrzeb: biédni ludzie muszą ciułać przez całe życie, aby zebrać sumę na przyzwoity pogrzeb. Dla uchronienia duszy od mąk piekielnych kapłani polecają krewnym urządzanie uczt, na których grają oni naturalnie główną rolę i na koszt ubogich nieraz ludzi oddają się hulance. „Po takich libacyach słudzy kościoła wracają do domu ledwie trzymając się na nogach".

Niżsi duchowni mogą się żenić, ale tylko raz w życiu; nie wystarcza im to widać, bo podróżnicy zarzucają tamtejszym duchownym grube ekscesy w kulcie Wenery. Przy tych aferach duchowni abisyńscy znajdują wielką pomoc w szanowném stanowisku, jakie zajmują wobec ludzi świeckich: panuje mianowicie w Abisynii przekonanie, że pocałowanie ręki spotkanego księdza działa oczyszczająco; to téż nie skąpią w Abisynii duchownym tych oznak czci, w czém naturalnie kobiety okazują najbardziéj przykładną żarliwość. Podobnież święte chuchnięcie abuny ma wywierać olbrzymie działanie, a nie jest zbyt drogie: można je kupić za kilka kawałków soli; są téż pewne ułatwienia: kto nie może udać się po to do Gondaru, ten sprowadza sobie pudełko, które „ojciec" napełnił swém świętém tchnieniem.

Abisyńczy są zapaleni do subtelnych dysput teologicznych, stąd umieją oni wynajdywać różne kruczki; krętactwo i łgarstwo jest wśród nich bardzo rozpowszechnione: pewien władca abisyński, gdy przyrzekł jakąś rzecz, któréj nie chciał dotrzymać, spluwał

następnie dokoła siebie, aby okazać nadwornym, że wymył sobie usta; tym sposobem uwalniał się od przyrzeczenia. W związku z tą cechą Abisyńczyków jest ich wielka gadatliwość: Rohefs twierdzi, że gdyby narody oceniać z ilości słów, jaką są wstanie wypowiedzieć od wschodu do zachodu słońca, to Abisyńczycy dostaliby spewnością palmę pierwszeństwa „nawet przed Francuzami“.

Harris twierdzi, że w Abisynii zapewne więcéj jest kościołów, niż w jakiejkolwiek innéj chrześciańskiéj krainie. Kto tutaj zbuduje kościół, sądzi, że już zupełnie zrzucił z siebie wszelkie grzechy ziemskie; niektóre kościoły są wykute w skałach. Z powodu wyżéj wspomnianéj „maryolatryi“ misyonarze katoliccy więcéj znajdują w Abisynii posłuchu niż protestanccy. Nawet w 16 i 17 stuleciu jezuici probowali całą Abisynią nawrócić na katolicyzm; pozyskali negusa, zaczęli więc prześladować lud, wprowadzili inkwizycyą. Ale po strasznych rozlewach krwi negus znużył się okrucieństwami, ogłosił tolerancyę i jezuici zostali wygnani. Późniejsze usiłowanie misyonarzy nie odniosły wielkich skutków: bystry Teodoros mawiał: „najprzód misyonarz, późniéj konsul, wreszcie armia“. Jednakże i tak niemiecki podróżnik Rohlfs, „zbierający we wszystkich krajach przezeń zwiedzanych kamyki dla rzucenia ich na Francuzów“, ma za złe wpływ misyonarzy francuskich w Abisynii; zarzuca z tego powodu Francuzom, że „protegują zdaleka tych jezuitów, których wyganiają z Paryża. Pod tym względem wszystko jedno kto we Francyi panuje: król arcykatolicki, cesarz, czy prezydent, komunard. W kwestyi polityki zagranicznéj ten ostatni stanie się wkrótce komunardem arcykatolickim, aby tylko nie skompromitować powagi swego kraju na wybrzeżach morza Czerwonego“. Na to odpowiada pisarz francuski (Valbert w *Revue des deux Mondes*): „Oby Rohlfs mógł jak najdłużéj zarzucać nam tę szczęśliwą niekonsekwencyę! Czémże byłby rząd wielkiego narodu, gdyby poświęcał swe interesy fanatyzmowi logiki?“ (!). Otwarte to zdanie w piśmie poważném i wpływowém świadczy, jak dalece szowinizm zaślepia dziś już nie etykę, ale najprostszą logikę. Naturalnie, że i sam Rohlfs nie byłby konsekwentniejszy, oceniając z jednéj strony położenie Niemców w guberniach nadbaltyckich, z drugiéj—Polaków w Poznańskiém. Francuski pisarz jest jednak klasyczny swą naiwną, jeśli nie cyniczną otwartością.

Prócz właściwych Abisyńczyków mieszka w téj krainie, głównie w południowéj części, murzyński lud Gala (lub Galla), którego siedziby rozciągają się prócz tego daleko po za granice Abisynii: na wschód w krainę Somal, na południe w okolice jeziora Ukerewe. Gala znaczy „szukać ojczyzny“, a więc Galowie są to „przybysze“. Sami Galowie zowią się Ilm Orma, co znaczy „mężni ludzie“.

Cechami fizycznemi Galowie zbliżają się raczéj do Abisyńczyków niż do typu murzyńskiéj brzydoty; szczególniéj kobiéty ich odznaczają się pięknością i stanowią przedmiot bardzo poszukiwany do haremów. Dumna postawa Galów, ich pewne siebie zachowanie, swobodne ruchy, ogniste oczy itd. nadają im coś imponującego. Galowie ubierają się w szama, którą umieją malowniczo drapować, we włosy zatykają strusie pióra, co jest oznaką pokonania wroga. Żywią się mlekiem, mięsem, masłem i chlebem, na północy piją miód, na południu wolą krew świeżo utoczoną z bydlęcia; przypomina to podobny zwyczaj u plemion nad Nilem Białym, które nie tylko piją świeżą krew, ale prowadzą nią handel.

Galowie są nadzwyczaj dumni i w boju dzielni, ale nadzwyczaj okrutni. Nienawidzą i ścigają wroga z dziką energią. Padłym w boju lub rannym obcinają krzywemi nożami części ciała, zdzierają skórę, posiekane kawałki depczą nogami, złorzecząc wrogowi. Niezwykłe zamiłowanie wolności jest górującą cechą charakteru tego narodu: Gala nie zna co to służba u obcych, tém mniéj, co niewola. Wskutek niepokonanego oporu, jaki oddawna okazywali schwytani do niewoli Galowie, Arabowie przestali zupełnie przedsiębrać na nich wyprawy. Opowiadają, że zmuszany do niewoli Gala pozwolił sobie raczéj obie ręce odrąbać, a nie ugiął dumnego karku do jarzma; inni oddawali się sami śmierci głodowéj z niewzruszonym stoicyzmem. Wzięte do niewoli dziewczęta szybko opanowują swych panów i nadają ton całemu domowi. W ostatnich czasach południowi Galowie utracili wiele ze swéj energii wskutek nieszczęśliwych walk z Somalami.

* * *

Centralną k r a i n ą Abisynii, która była też w różnych epokach siedzibą cesarstwa, jest żyzna kotlina Amhary, któréj środkowe zagłębienie zajmuje jezioro Tsana (Tana). Średnia wysokość téj krainy uprzywilejowanéj nie wiele przenosi 2000 m., jest to pas woina dega, odpowiadający umiarkowanemu klimatowi Europy, lecz z temperaturą jednostajniejszą i roślinnością bujniejszą; tutaj powstały najludniejsze miasta. Jednćm z nich jest Gondar, który uważany bywa często za stolicę Abisynii, właściwie jednak jest to tylko stolica religijna. Gondar nie jest miastem zbyt dawném, pochodzi ono dopiero z wieku siedemnastego, jednakże ma więcéj ruin, niż domów mieszkalnych. Większa część kościołów została zburzona przez Teodorosa w napadzie złości. Na zaokrągloném wzgórzu, które panuje nad miastem od północy, widać zwaliska warownego zamku, który mimo swego złego stanu należy do najwspanialszych budowli w Abisynii. Jego mury z różowego piaskowca

z bazaltowemi ozdobami, jego okrągłe baszty i t. d. nadają mu widok wspaniały. Ale drzewa i krzaki biorą go coraz bardziéj w posiadanie, a nawet ludzie niszczą go systematycznie: „ponieważ my nie budujemy pomników, powiedziała pewna królowa w połowie bieżącego wieku, więc dla czegoż mielibyśmy zachowywać cudze?“ Widziany zdaleka u stóp tych malowniczych ruin, pośród kościołów i drzew, Gondar ma pozór miasta europejskiego i to bardzo pięknie położonego dzięki amfitryalnie otaczającym go wzgórzom, dzięki strumieniom, które wiją się wężykowato po łąkowéj równinie Dembea, dzięki modremu zwierciadłu jeziora, które błyszczy z daleka.

Położony na wysokości około 2000 m. Gondar zajmuje południowy i zachodni stok łagodnego wzgórza. Domy jego nie są tak ugrupowane jak w naszych miastach: składa on się z oddzielnych kwartałów porozdzielanych placami pustemi lub z kupami śmiecia, śród których lamparty i hyeny odbywają swe nocne harce. Podróżnik Rüppel miał do walczenia z trzema lampartami, które wdarły się do kurnika w jego domu. Kilkotysięczna ludność Gondaru składa się z chrześcian i żydów, mieszkających w oddzielnych kwartałach. Gondar byłby przez pięć miesięcy w roku zupełnie pozbawiony komunikacyi z prowincyami południowemi, gdyby Portugalczycy nie byli zbudowali mostu na rzece Magecz przepływającéj równinę Dembea; most ten oparł się wszystkim wylewom, przetrwał aż do naszych czasów i stanowi osobliwość architektoniczną Abisynii.

Równina Dembea, rozciągająca się na północ jeziora Tsana, łączy się z pasem nadbrzeżnym po wschodniéj stronie jeziora tylko za pomocą wąskiego przesmyku, gdzie wznosi się osada celna używająca smutnéj sławy u podróżników. Na południe od téj miejscowości osady oddalają się od brzegów jeziora i leżą na znacznéj wysokości po nad powierzchnią wód jeziornych.

Na wschód jeziora Tsana wznosi się żyzna wyżyna Debra Tabor, która od czasu Teodorosa stała się miejscem pobytu cesarzów. Położenie téj wyżyny jest ważne pod względem strategicznym dla kraju będącego w chronicznym stanie wojennym: ku zachodowi rozciąga się żyzna nadbrzeżna kraina jeziora Tsana; z wyżyny téj, na 2600 m. wysokiéj, władca Abisynii obejmuje więc wzrokiem pola dostarczające pożywienia dla armii; może on łatwo wyruszyć stąd bądź na wschód ku dolinie Takassie i wyżynie Tigre, bądź na południe do doliny Abai i daléj do Szoy. Miejsce obozu królewskiego na téj wyżynie często się zmieniało; wieś, gdzie „król królów“ najczęściéj rezyduje podczas pory deszczów, zowie się Samara.

Na południo-wschód Debra Taboru wznosi się słynna amba Magdala na 2760 m. wysoka, gdzie Teodoros poniósł śmierć bohaterską; bazaltowe jéj zbocza spadają ku zachodowi prawie pionową ścianą; część téj wyżyny, na któréj wznoszą się fortyfikacye, łączy się z resztą tylko za pomocą wąskiego grzbietu. Fortyfikacye, zburzone przez Anglików, zostały odbudowane z powodu ważności Magdali, jako niedostępnéj miejscowości najbardziéj wysuniętéj ku krainie Galów na drodze do Szoy.

W północnéj części Abisynii, w krainie Tigre głównem miastem jest Adua w dorzeczu Takassie na wysokości 2000 m. W pobliżu tego miasta widać zwaliska klasztoru jezuitów wygnanych z Abisynii w XVII stuleciu; ludność okoliczna unika tych ruin, uważając je za siedlisko złych duchów. Daléj ku zachodowi leży Aksum, niegdyś stolica wielkiego państwa etyopskiego, które się rozciągało od Nilu do przylądka Guardafui; obecnie Aksum znajduje się w upadku, utrzymał tylko znaczenie jako miasto święte, składające się przeważnie z klasztorów, gdzie mieszka mnóstwo mnichów i dzieci wychowywanych na mnichów. Aksum obfituje w pomniki, których napisy świadczą o dawnych stosunkach Abisynii z Arabią i Grecyą. Na południo-wschód od Aduy w pobliżu wschodniéj krawędzi Abisynii leży Antalo, opuszczone prawie dawne miasto główne krainy Tigre, na ambie wysokiéj na 2400 m., otoczonéj głębokiemi przepaściami, w których płyną dopływy Takassie. Antalo leży przeważnie w ruinach, mieszkańcy przenieśli się do pobliskiego miasta Czalikut; jest to jedno z najbardziéj malowniczych miast Abisynii, tonące w zieleni ogrodów. Czalikut i Antalo, jako leżące w pobliżu wschodniéj krawędzi Abisynii mają znaczenie dla handlu solą, która idzie z Samhary do Abisynii i rośnie w cenie ku zachodowi. Na północowschód od Aduy na ambie, któréj najwyższy szczyt jest dostępny tylko za pomocą lin, wznosi się klasztor Debra Damo, jeden z najsłynniejszych w Abisynii: za najmniejszą oznaką grożącéj wojny okoliczni mieszkańcy ukrywają tu swe mienie; żyzna ziemia téj wyżyny dostarcza pożywienia a sto kilkadziesiąt cystern—napoju. Na północ od Aduy na drodze prowadzącéj do portu Massaua leży w upadku będące miasto Debaroa, w którém rezydował niegdyś Bahr Nagach tj. „król morza“; taki tytuł nosił niegdyś gubernator prowincyi nadbrzeżnych. Domy w tém mieście nie są, jak w środkowéj Abisynii, z kamieni i ze słomianemi dachami; są to mieszkania podziemne, jakie napotykają się na Kaukazie i w Kurdystanie: stok góry bywa skopany schodowato, otrzymane tym sposobem prostokątne zagłębienie pokrywa się dachem, który wtyle opiéra się na ścianie a zprzodu spoczywa

na palach. Patrząc z góry nie widzi się zupełnie miasta, lecz tylko tarasy trawiaste. Jest to zwykła budowa wsi w tych okolicach. Dym wychodzi przez otwór zrobiony w dachu, gdy pada deszcz, otwór się zatyka i wtedy mieszkanie zamienia się w jaskinię pozbawioną światła i powietrza. Obecną rezydencyą „króla morza“, który teraz nosi ten szumny tytuł jak *lucus a non lucendo,* jest Asmara, leżąca na północowschód stąd, na saméj krawędzi Abisynii, spadającéj stromo ku równinie Massauy. Wiadomo, że w ostatnich czasach Włosi, którzy opanowali Massauę, mieli ochotę posunąć się do Asmary dla opanowania drogi prowadzącéj tędy do Abisynii i dla zyskania chłodniejszego, zdrowszego pomieszczenia dla swego wojska, które w niezmiernie gorącéj Massauy jest trapione chorobami.

Na południe Amhary rozciąga się kraina Szoa, gdzie najbardziéj typowo występuje właściwe Abisynii pokrajanie wyżyny płynącemi wodami na oddzielne pryzmatyczne kawałki. Zdala wyżyna wydaje się jakby rozległa jednolita równina, śród któréj doliny tylko czasami manifestują się jako przerwy zielonego kobierca; lecz podróżując po niéj, natrafimy na roztwierające się niespodzianie u naszych stóp przepaści, (jedna przy szerokości 600—700 m. na 1250 m. głębokości), w które rzeki rzucają się wspaniałemi wodospadami. Drugą osobliwością téj krainy są liczne wulkany po części zupełnie wygasłe, poczęści wydzielające gazy i osadzające w kraterach siarkę. Niektóre kratery stały się jeziorami; nad jedném z tych wulkanicznych jezior wznosi się klasztor zbudowany przez „poskramiacza demonów“. Pośród tych wulkanów biją gorące źródła a nawet gejzery. Zapewne działaniu tych wód gorących mineralnych przypisać należy petryfikacyę drzew skamieniałych, jakie często dają się tam napotykać. Jak wogóle w Abisynii tak i tutaj miejsce stolicy ulega częstym zmianom w miarę potrzeb strategicznych lub kaprysu władców.

Z tych licznych miejscowości najbardziéj historyczną jest Ankober na wschodniéj krawędzi wyżyny, na drodze do zatoki Tedżura, w malowniczéj wulkanicznéj okolicy. Na północ stąd wznoszą się dwie niedostępne amby: Ememret i Fekere Gemb, połączone z resztą wyżyny tylko wąskiemi grzbietami ścieśnionemi przez przepaście. Amby te dźwigają fortyfikacye uważane w Abisynii za niezdobyte; w ostatniéj ukryte są skarby królewskie i zapasy dla armii.

Na południe Szoy rozciągają się mało znane krainy Enarea i Kaffa, obfitujące w kawę; pierwsza jest zamieszkana przez mahometan Galów, druga przez tak zwanych „chrześcian“; wskutek dłu-

giego odosobnienia pośród mahometan „chrześcianie" ci niewiele wiedzą o Chrystusie, czczą głównie trzech świętych: Jerzego, Michała i Gabriela, obserwują ściśle pewne ograniczenia w potrawach: nie używają na pokarm żadnych zbóż i nazwa „ziarnożerca“ jest u nich obelżywą; ziarno służy tu tylko dla bydła i do wyrobu piwa.

Pas wybrzeża, dzielący Abisynią od morza Czerwonego i zatoki Aden, leżący w pobliżu ważnego pod względem handlowym i strategicznym punktu — cieśniny Bab el Mandeb, został obsadzony przez potęgi europejskie: Anglię, Francyę i Włochy; leżą tu z północy na południe następujące porty: Massaua, Zulah, Assab, Obok i t. d.

Massaua należy do najgorętszych punktów na ziemi; panują tu tak straszliwe upały, jakie chyba po raz drugi zdarzają się tylko na osławionêm wybrzeżu zatoki Perskiéj (Germsir) i na daléj ciągnącém się wybrzeżu Beludżystanu. Ulatnianie z gorącéj powierzchni morza Czerwonego odbywa się silniéj, niż z jakiegokolwiek innego morza, a że powietrze jest bardzo spokojne i gorące, więc robi wrażenie łaźni. Miejscowości, leżące daléj na południe, choć téż piekielnie gorące, ustępują jednak Massauy. Tutaj temperatura w dzień wznosi się do 40° C. w nocy zaś rzadko spada poniżéj 35°. Podróżnik Józef Menges opowiada, że wpływ tego obfitego w parę i w sól powietrza ujawnia się szczególniéj na przedmiotach żelaznych: karabiny nabite, nie posmarowane tłuszczem, po kilku dniach pokrywają się rdzą i nie dają wystrzału; stal polerowana nabiéra barwy czerwonéj, a przepocone ubranie schnie bardzo wolno, pomimo wielkiego upału. Wskutek takich stosunków klimatycznych Massaua przez większą część roku jest prawdziwém piekłem, gdzie choroby, właściwe krainom międzyzwrotnikowym, występują z niezwykłą siłą. Udar słoneczny nie oszczędza nawet krajowców, dysenterya i febra zagarniają liczne ofiary. Do tego dodać należy niezliczone masy robactwa, a także jadowitych węży i skorpionów.

To odstraszające miasto leży na nadbrzeżnéj wysepce koralowéj, która za pomocą grobli na 900 kroków długiéj łączy się z drugą wyspą, połączoną za pomocą grobli na 1500 kroków długiéj z lądem Afryki. Dla oka Massaua, jak wogóle miasta na wschodzie, przedstawia widok powabny, nawet imponujący: białe błyszczące domy Massauy z koralowego wapienia zdają się jakby wyrastać z morza i odbijają się efektownie od lśniącéj powierzchni wody i od górzystego tła Abisynii.

Po Chartumie Massaua ma najbardziéj pomieszaną i najmniéj budzącą zaufania ludność na całém południu rozciągającego się

dawniéj aż dotąd egipskiego państwa. Samuel Baker powiedział, że Massaua jest miejscem „gdzie cywilizowana Europa i barbarzyńska Azya mieniają swe występki — piekłem dla ludzi uczciwych, rajem dla łotrów“. Handel Massauy spoczywa głównie w rękach Greków słynnych z szachrajstwa i yemeńskich Arabów, których nikczemność idzie w zawody z bigoteryą i fanatyzmem. Massaua przed kilku laty została zajęta przez Włochów, którzy stąd pragnęli rozszerzyć swą władzę lub przynajmniéj wpływ na wyżynę Abisynii; dotąd jednak męstwo Abisyńczyków i niedostępna górska przyroda Abisynii nie dozwoliły Włochom urzeczywistnić tych zamiarów.

Na południe od Massauy wybrzeże morza wdziéra się w ląd głęboko zatoką Annesley, inaczéj zwaną Adulis od starożytnéj kolonii greckiéj, któréj dziś zaledwie ślady pozostały. Nazwa Adulis utrzymała się w dzisiejszéj nazwie miejscowości Zula; port ten należy do Francuzów, którzy dawniéj zupełnie o nim zapomnieli tak, iż Anglicy, z powodu wielkiego zbliżenia tutaj morza do Abisynii, obrali go w 1867 roku za punkt wyjścia swéj wyprawy. W tym celu dla ułatwienia wylądowania zbudowali tamę, biegnącą od brzegu w morze więcéj niż na kilometr; dla ułatwienia zaś drogi przez suchą i gorącą Samharę, zbudowali konną koléj żelazną.

Daléj na południe, już tylko w odległości 60 kilometrów od cieśniny Bab el Mandeb, nad zatoką usianą wysepkami leży włoska kolonia Assab z wygodnym portem, ale bez wygodnéj komunikacyi z Abisynią; albowiem okolica jest prawie zupełnie pozbawiona roślinności i wody (wodę do picia otrzymuje się przez dystylacyę z wody morskiéj), przedstawia tylko nagie skały i ruchome diuny.

Minąwszy cieśninę Bab el Mandeb, do któréj wejścia broni ufortyfikowana angielska wysepka Perim, Gibraltar morza Czerwonego, spotykamy głęboko wdzierającą się w ląd zatokę Tedżura, któréj okolica posiada wygasłe wulkany. Potok zastygłéj lawy oddzielił część téj zatoki i utworzył jezioro Assal, którego poziom obniżył się wskutek parowania i które stało się magazynem solnym Abisynii; w pobliżu wybrzeży jego tworzy się tak twarda skorupa solna, że obładowane wielblądy mogą po niéj przechodzić na odległość kilometra od brzegu. Z miejscowości leżących nad zatoką Tedżura i należących do Francuzów szczególniéj zasługuje na uwagę Obok, leżący przy wejściu do zatoki, bliżéj cieśniny Bab el Mandeb, niż przeciwległy angielski Aden; okręty mogą tu zaopatrzyć się w węgiel, nie zbaczając z drogi, wodę do picia téż można znaleść w niewielkiéj głębokości. Daléj ku końcowi zatoki Tedżura leży znane z awantury Aszynowa Sagalo.

Wszystkie powyższe porty abisyńskiego wybrzeża, jak również dalej na południe leżące a zajęte przez Anglików, Zeila i Berbera nie mają tego handlowego znaczenia, jakiego się po nich europejczycy spodziewali. Karawany abisyńskie przywożą tu wprawdzie kość słoniową i kawę, ale wobec ciągłych niepokojów i uciążliwych dróg karawany te przychodzą bardzo nieregularnie. Z czasem jednak postać rzeczy zmieni się bezwątpienia: szyny kolei żelaznych przetną pustynny przesmyk Samhary, Abisynia zostanie niby przesunięta ku morzu. Utraci ona wprawdzie urok swéj pierwotności, swéj dzikiéj niezawisłości, ale przestanie być odosobnioną i bierną, stanie się czynném, produkcyjném ogniwem w łańcuchu międzynarodowych stosunków.

Wacław Nałkowski





ŻYCIE W GŁĘBIACH OCEANÓW

W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ (1)

Po wsze czasy i pośród wszystkich ludów morze uważane było za coś nieskończonego, tajemniczego. Pochodzi to ztąd, że żaden przedmiot w naturze nie wywiera tak silnego wrażenia na duszę ludzką, jak ocean. Ani widok rozległego stepu, ani monotonnéj i dzikiéj pustyni, ani nawet—niebotycznych gór i urwisk nie sprawia tak potężnego na nas wrażenia, jak morze. Ocean to olbrzymi organizm, nigdy nie spoczywający: jak krew w ustroju zwierzęcym, tak prądy oceanu wiecznie tętnią i drgają życiem, fale jego oddychają, a wspaniałe zjawisko przypływu i odpływu przypomina peryodycznie powracające: czuwanie i sen istot żyjących. Jego mowa to głuchy łoskot bałwanów i dziki szelest fal, co chwila wpadających na brzegi i z zaciekłością po nich się pieniących. Jego spoczynek—to monotonne, lecz nigdy nie ustające kołysanie się powierzchni, z lekka muskanéj wiatrem, a gniew jego—to rozszalałe, piętrzące się masy wody i straszne jęki, wydobywające się z jego otchłani. To bezustanne życie morza, ciągła przemiana jego powierzchni, coraz to inna barwa wody za dnia, wspaniała fosforescencya w nocy, bezdenne głębie i niepojęte bogactwo istot organicznych, znajdujących w niém schronienie—wszystko to razem wzięte budzi w duszy ludzkiéj niezwykły dla morza interes. Pomimo to jednak bliższe, naukowe badanie otchłani morskich rozpoczęte zostało dopiero w ostatnich kilku dziesiątkach lat, a pobud-

(1) William Marshall, Die Tiefsee und ihr Leben, 1888. Chun C., Die Pelagische Tierwelt in grossen Meerstiefen, Bibl. Zool. 1888. Filhol H., La vie au fond des mers, Paris 1885,

ką do badań tych stały się, jak to często miewa miejsce, praktyczne potrzeby. Chęć przeprowadzenia podmorskich lin telegraficznych wywołała konieczność badania dna morskiego, a to znów poprowadziło dalej do prac teoretycznych nad fauną i florą głębin morskich. Wiadomo, iż w telegrafach podmorskich linę z drutów opuszcza się na dno; dla tego też potrzeba przedewszystkiém poznać dobrze konfiguracyą tego ostatniego, oznaczyć dokładnie głębokość morza w wielu punktach i naturę gruntu.

Jeszcze w roku 1845 Anglicy i Amerykanie przedsięwzięli szereg pomiarów głębokości za pomocą ołowianki w północnéj części oceanu Atlantyckiego. Badania te zostały po pewnym czasie uwieńczone pomyślnym skutkiem, a w r. 1853, dzięki im zdołano przeprowadzić linę telegraficzną podmorską pomiędzy Irlandyą i Nową Fundlandyą. Lecz nie długo ona funkcyonowała; utraciwszy po kilku latach przewodnictwo. Dopiero w r. 1865 słynny olbrzymi okręt angielski „Great-Eastern“ rozpoczął na nowo pracę i po kilku próbach przeprowadził w r. 1866 linę podmorską pomiędzy Europą i Ameryką. Połączenie to istnieje do dziś dnia.

W r. 1868 dwaj znakomici badacze angielscy B. Carpenter, wice prezydent *Royal Society*, oraz Wyville Thomson odbyli na pancerniku „Lightning“ podróż naukową po oceanie Atlantyckim, a kilka razy udało im się zapuścić na otwartém morzu sieć do głębokości 500 sążni i nawet więcéj. Po raz pierwszy udało im się stwierdzić, że w tak wielkich głębiach wre w całéj pełni życie organiczne i że w każdéj głębokości żyją nie tylko wogóle nowe i dotąd nauce nieznane formy, lecz i takie, które uważano za wygasłe od czasu epoki trzeciorzędowéj. Zachęceni temi ważnemi odkryciami, uczeni powyżsi wystarali się u admiralicyi o okręt „Porcupine“ (Jeżozwierz), który lepiéj się nadawał do podróży naukowéj i posiadał doskonałą załogę, pod przewodnictwem kapitana Calvera. W r. 1869 „Porcupine“ odbywa trzy podróże. Pierwsza skierowana była ku zachodnim brzegom Anglii, pod dowództwem konchyliologa Gwyna Jeffreys, druga—do południowéj części zatoki biskajskiéj, pod dowództwem Carpentera, trzecia zaś— w okolice pomiędzy Hebrydy, Faröer i wyspy Szetlandzkie, pod wodzą Wyville Thomsona. Największa głębokość, do jakiéj udało się zapuścić dragę podczas tych podróży wynosiła aż 2,435 sążni.

W następnym roku (1870) okręt „Porcupine“ odbywa znów większą ekspedycyą, w poprzek przez zatokę Biskajską, wzdłuż zachodniego brzegu Hiszpanii, a następnie przez Gibraltar po morzu Śródziemnem. Naukowe kierownictwo téj wyprawy objęli Gwyn Jeffreys, Carpenter i Wyville Thomson, z których ostatni z powodu choroby

nie mógł się z przyjętego na siebie obowiązku wywiązać. W ciągu téj krótkotrwałéj, bo tylko trzymiesięcznéj podróży, zdołano tak wiele znaleść nowego, że podziwiać należy energią i dzielność naturalistów angielskich. Dzięki téj wyprawie zmieniły się w nauce zapatrywania co do rozmieszczenia temperatury w morzu, co do natury gruntu na dnie morskiém i świata zwierzęcego, zamieszkującego głębie morza. Rezultaty téj podróży żywo zainteresowały nie tylko uczonych, ale i cały inteligenty ogół w Anglii. To téż z łatwością przyszło Carpenterowi przekonać ówczesnego lorda admiralicyi oraz ministra finansów o nadzwyczajnéj wadze naukowéj podobnych ekspedycyi, a *Royal Society*—o konieczności przedsięwzięcia nowéj wyprawy na jeszcze większą skalę, niż dotychczasowe. Wkrótce téż rząd angielski ofiarował znaczną sumę na nową ekspedycyą naukową. Ofiarowano wielki parowiec z floty jej królewskiéj mości, nazwany „Challenger“, obejmujący 2306 tonn i posiadający siłę 1234 koni. Na kapitana okrętu wyznaczono dzielnego marynarza George'a S. Naresa, a sztab naukowy utworzyli: prof. Wyville Thomson—jako dyrektor, J. Y. Buchanan—jako fizyko-chemik, H. N. Moseley oraz dr. Willemoes-Suhm, jako zoologowie, J. Murray—jako geolog, oraz J. J. Wild—jako rysownik i sekretarz dyrektora. „Challenger“, były okręt wojenny, zatknął sztandar pokoju i humanizmu, zbrojne jego kajuty przeobraziły się w laboratorya naukowe, a miejsce dział armatnich na pokładzie zajęły lokomobile do zapuszczania i wyciągania sieci lub ołowianek z głębi morskich. „Challenger“ stał się rajem dla biologa! Wspaniałe laboratoryum zoologiczno-botaniczne, zajmujące salon 20 stóp długi i 12 szeroki, uposażone w mikroskopy, odczynniki i wszelkie w ogóle narzędzia do badań i do konserwowania zwierząt, pomocnicza pracownia fizyczno-chemiczna, bogata podręczna biblioteka, akwaryum, do przechowywania w żywym stanie schwytanych zwierząt—wszystko to razem wzięte czyniło „Challenger“ wymarzoném miejscem dla badacza, kochającego przyrodę i pragnącego zgłębiać tajniki życia otchłani morskich. W listopadzie 1872 r. „Challenger“ opuścił Portsmouth i wypłynął na otwarte morze. Podróż składała się z 4-ch części. Pierwsza z nich objęła następujące punkta: z Portsmouth do zachodnich brzegów Hiszpanii, ztąd do Madeiry oraz wysp Kanaryjskich, daléj w poprzek przez ocean Atlantycki do Antyllów, na północ do Bermudów, wysp Azorskich napowrót do Madeiry, wysp Kanaryjskich, wzdłuż zachodnich brzegów Afryki, późniéj znów w poprzek przez Atlantyk, aż do wschodniego brzegu Ameryki Południowéj; wzdłuż niego do Bahii, następnie po raz trzeci w poprzek przez Atlantyk do Tristan d'Acunha i aż do Kapstadtu. Drugą

część podróży objęła następujące punkty: z Kapstadtu przez Kerguelenland do wód podbiegunowych, ztąd na północo-wschód do Australii, do portu Melbourne, ztąd do Nowéj Zelandyi, Nowéj Gwinei, wysp Filipińskich i Hongkong. Trzecia część ekspedycyi objęła: znów Nową Gwineę, wyspy Admiralicyi, Sandwich, Tahiti, Juan Fernandez, aż do cieśniny Magellana. Wreszcie czwarta część podróży objęła: cieśninę Magellana, wyspy Wniebowstąpienia, Zielonego Przylądka, zachodni brzeg Hiszpanii aż do Sherness, dokąd „Challenger“ przybył w maju 1876 roku. W podróży téj okręt angielski przeciął, jak widzimy, kilkakrotnie w różnych kierunkach największe oceany, zabawił 719 dni na otwartém morzu, przepłynął 68890 mil geograficznych, spalił 96567 cetnarów węgla kamiennego, zrobił 370 pomiarów głębokości za pomocą ołowianki i 240 razy zapuszczał dragi i sieci w otchłanie morskie! Materyał naukowy, zdobyty w téj podróży, był tak olbrzymi, że z wyprawą „Challengera“ rozpoczęła się nowa era w dziejach zoologii opisowéj. W opracowaniu tego materyału wzięli udział najwybitniejsi uczeni. Dotąd ogłoszono już dwadzieścia wielkich dzieł in 4° z wielu setkami kosztownych kolorowanych tablic rysunków, a dzieła te nie wyczerpały jeszcze bynajmniéj całego ogromu materyału faktycznego, który obecnie jeszcze przez różnych specyalistów jest opracowywany. Ekspedycya „Challengera“ zrobiła tak wiele dla poznania życia w głębiach oceanu, że wszystkie późniejsze wyprawy już tylko dopełniały jéj zdobycze naukowe.

Z późniejszych bardziéj lokalnych wypraw zasługują na uwagę: amerykańska w latach 1877—1880 pod przewodnictwem Aleksandra Agassisa, syna Ludwika, norweska w r. 1876 pod przewodnictwem H. Mohna, włoska w r. 1881 pod kierunkiem Giglioli’ego. Wreszcie w najnowszych czasach dla poznania fauny głębin morskich uczyniły bardzo wiele ekspedycye naukowe francuskie na okrętach „Travailleur“ i „Talisman“. W r. 1880 okręt „Travailleur“ wyruszył w podróż naukową pod wodzą młodego Milne Edwards’a, dzielnego zoologa francuskiego. Poszukiwania robiono wzdłuż północnego brzegu Hiszpanii; w rok późniéj tenże okręt okrążył Hiszpanią, a w następnym znów roku popłynął do wysp Kanaryjskich. „Talisman“ w r. 1883 odbył podróż pod tém samém dowództwem naukowém wzdłuż brzegów zachodnich Hiszpanii, Afryki, a następnie zwiedził t. z. morze sargassowe na środku Atlantyku, powróciwszy około wysp Azorskich do Francyi. Największą zasługą ekspedycyi „Talismana“ było powtórne znalezienie wielu zwierząt, odkrytych już podczas wyprawy „Challengera“, a co ważniejsza—bardzo wielu zupełnie nowych zwierząt, zwłaszcza zamieszkujących gęste zarośla morza sargassowego.

Zanim przystąpimy do rozpatrzenia fauny głębin morskich, musimy się jeszcze nieco zatrzymać nad kwestyą głębokości morza, zbadanéj dosyć dokładnie w ostatnich czasach, dzięki wyżéj wymienionym ekspedycyom naukowym. Mierzenie głębokości morza odbywa się za pomocą tak zwanéj ołowianki. Najpierwotniejsze urządzenie tego przyrządu polega na tém, że do długiéj liny przywiązuje się ciężar, np. kulę ołowianą, i linę tę spuszcza się z okrętu w kierunku pionowym w dół do dna morskiego. Takie pierwotne urządzenie nie wystarcza jednak bynajmniéj, gdy chodzi o pomiary znacznych głębokości. W tym celu potrzeba miéć jaki oczywisty dowód, iż ołowianka zetknęła się z gruntem i prócz tego nadzwyczajnie jest ważne otrzymanie próbki gruntu. Dlatego téż ołowianki, używane przez naturalistów nowszych czasów, są tak urządzone, iż wskutek samego uderzenia ołowianki o grunt, i podrzucenia jéj do góry odczepiają się pewne dodatkowe części. Gdy więc ołowiankę wyciągamy na powierzchnie morza i widzimy, że części te są odczepione, mamy dowód, że nastąpiło zetknięcie z gruntem. Oprócz tego w związku z ołowianką znajdują się szczególne skrzynki z jednego końca otwarte; gdy ołowianka styka się z gruntem, skrzynki te przybierają takie położenie, iż nachodzi w nie muł i piasek, a gdy następnie ołowianka zostaje ku górze pociągnięta, specyalna klapka zamyka otwór skrzynki, przez co zaczerpnięty muł nie może być przez wodę wypłukany. W taki sposób dzięki ołowiance nie tylko daje się określić głębokość morza w daném miejscu, ale otrzymuje się także próbkę gruntu z dna morskiego. Modyfikacye ołowianek są bardzo rozmaite i liczne; podczas każdéj z wyżéj wymienionych wypraw morskich używano ołowianki odmiennéj konstrukcyi. Największą doskonałość osiągnięto pod tym względem na „Talizmanie“, gdzie udało się zbudować przyrząd, dzięki któremu na ołowiankę, spuszczającą się w głąb', nie okazywało najmniejszego wpływu kołysanie się okrętu. Badania za pomocą ołowianki wykazały, że przeciętna głębokość mórz wynosi 3440 metrów; największa znana głębokość oceanu Atlantyckiego— 7086 m. (3875 sążni), Spokojnego zaś 8513 m. (4655 sążni).

Łowienie zwierząt, zamieszkujących głębie morskie, uskutecznia się za pomocą t. z. drag. Są to wielkie sieci, wprawione w żelazne ramy różnéj konstrukcyi. Ramy te przymocowane są do silnych lin, za pomocą których dragę spuszcza się na dno morskie. W miarę jak sieć wlecze się po dnie, wpadają do niéj liczne rośliny i zwierzęta, które w ten sposób wydobywa się na powierzchnię. Ulepszone sieci tak są zbudowane, że z chwilą gdy zaczyna się je wyciągać do góry, otwór w oprawie żelaznéj, wiodący do wnętrza

sieci, zamyka się i zaciska tak, iż zdobycz nie może z niéj uchodzić. Niekiedy znów draga tak jest urządzona, że na żelaznych łańcuchach zawiesza się gęste chwasty z włókien konopnych, ze szczątków lin i sznurów. W chwasty te plątają się liczne zwierzęta, a zwłaszcza szkarłupnie, jak gwiazdy, lilie i jeże morskie, których kolce, pokrywające ciało oraz długie promienie tak silnie wikłają się we włókna, że zwierzęta nie mogą się z nich wydostać i zostają w ten sposób schwytane. Kierowanie dragą przedstawia znaczne trudności. Jeśli uwzględnimy, jak wielki jest ciężar liny, opuszczonéj na kilka tysięcy metrów wgłąb', jak znaczny jest ciężar saméj dragi, a zwłaszcza wielkiéj jéj oprawy metalowéj, i wreszcie ile waży zaczerpnięty dragą muł, piasek, kamienie, rośliny i zwierzęta, to zrozumiemy, ile potrzeba zużyć siły, aby takie olbrzymie masy w wodzie poruszać. Dlatego téż podczas większych wypraw używano do spuszczania i wyciągania drag silnych maszyn parowych. Według obliczeń Wyville Thomsona ciężar większéj dragi wraz z liną i zaczerpniętemi przez nią przedmiotami wynosi blizko 2050 pudów!

Gdy spuszczona do wody draga dosięgła gruntu (o czém można się przekonać wymierzywszy uprzednio za pomocą ołowianki głębokość morza w daném miejscu), okręt zaczyna się z wolna poruszać, a draga wlecze się po dnie morskiém. Przy głębokościach, wynoszących 40 do 200 sążni, pozostawia się na dnie dragę w ciągu dobrego kwadransa, poczém wyciąga się ją napełnioną na powierzchnię. Przy mniejszych głębokościach draga pracuje kilka minut. Lecz przy bardzo wielkich głębiach dragowanie nastręcza bez porównania więcéj trudności. Nawet przy najlepiéj urządzonéj dradze i przy najlepszym parowcu łowienie zwierząt na głębokości około 3000 sążni jest nadzwyczajnie uciążliwe i zmudne.

Z rannym brzaskiém rozpoczyna się już wtedy na okręcie pracę olbrzymią, sieć zapuszcza się na ciężkich sznurach w otchłaniach morza; dopiero po trzech godzinach draga dosięga dna morskiego. Przez cały ten czas okręt musi pozostawać możliwie w jedném miejscu, w przeciwnym bowiem razie sieć nie może się należycie ułożyć i cały połów będzie daremny. Gdy draga spoczęła na dnie, okręt przez kilka godzin posuwa się w pewnym kierunku, ciągnąc za sobą sieć. Wreszcie rozpoczyna się wyciąganie olbrzymiego ciężaru, koła lokomobili pracują bez wytchnienia, a mijają całe godziny, zanim się dragę z głębin na powierzchnię wody wyciągnie; zwykle już zmrok zapada, kiedy się z wody wyłania potężna sieć, obarczona zdobyczą. Możesz sobie wyobrazić czytelniku, jak silnie bije serce naturalisty, spoglądającego na dragę, przyno-

szącą mu nieznane skarby z tajemniczego świata bezdennych otchłani morskich. Nie zapomnę nigdy silnych wrażeń, jakich doznawałem na widok dragi, obarczonéj bogatym łupem. Wprawdzie nie brałem udziału w większych wyprawach naukowych, ale wprost w ekskursyach (1) na otwartém morzu, mających na celu zbieranie materyału do pracowni. Dragi nasze nie były tak wielkie, głębokość do jakich zapuszczano je, nie przewyższała kilkuset metrów, fauna okoliczna była dosyć dobrze znana i trudno się było spodziéwać znalezienia nowych jakich, nieznanych dotąd form. Pomimo to jednak trzeba osobiście tego doświadczyć, aby ocenić, z jaką gorączkową niecierpliwością i wtedy nawet oczekuje naturalista wydobycia dragi na pokład okrętu. O ileż ta gorączka jest większa, o ile niepokój silniejszy, gdy biolog przystępuje do rozpatrzenia zawartości dragi, powracającéj z owych niezmiernych głębi, do których po raz pierwszy geniusz ludzki próbuje dotrzéć. Z każdém zaczerpnięciem sieci spodziéwa się on znaléźć wtedy formy nowe, niezwykłéj budowy i niezwykłéj postaci, formy łączące sobą różne odległe grupy zwierząt i pozwalające głębiéj pojąć ogólną genezę istot żyjących.

Zwierzęta, zamieszkujące znaczne głębokości morskie, są w całéj swéj organizacyi przystosowane do swego środowiska. Przedewszystkiém zasługuje na uwagę przystosowanie ze względu na ciśnienie wody. Trudno sobie wyobrazić, jak wielkie jest ciśnienie olbrzymiego słupa wody w znacznych głębiach. Człowiek— powiada Wywille Thomson — znajdujący się w głębokości 2000 sążni, podlegałby takiemu ciśnieniu, jak gdyby ciążyło na nim dwadzieścia długich towarowych pociągów kolei żelaznéj, naładowanych żelaznemi szynami; innemi słowy, gdyby człowiek uległ nagle ale tylko w jednym kierunku podobnemu ciśnieniu, zostałby zgnieciony i spłaszczony, jak listek cienkiego papieru. Według obliczeń Perrier'a, na każde tysiąc metrów głębokości, ciśnienie wywierane na decymetr wzrasta o 10850 kilogramów. Dla tego też przedmioty drewniane lub korkowe, zostają pod wpływem tego ciśnienia zmniejszone aż do połowy swéj dawnéj objętości. Wobec tego faktu łatwo zrozumiéć, dla czego wszystkie prawie zwierzęta, wyciągane nagle ze znacznych głębokości na powierzchnią morza, zostają mniéj lub więcéj uszkodzone i rozerwane. Rozmaite gazy i płyny w ciele zwierząt wywiérają ciśnienie, które równoważą się ciśnieniem otaczającego środka: czy to wody, czy powietrza. Skoro

---

(1) Wycieczki takie odbywałem kilkakrotnie w r. 1886, podczas pobytu mego w Roscoff, stacyi zoologicznéj nad brzegiem oceanu Atlantyckiego (w Bretanii).

więc zwierzę, mające organizacyą, przystosowaną do wielkich ciśnień, dostaje się nagle w środowisko, w którém ciśnienie zewnętrzne jest mniejsze, rozprężające się gazy i płyny mogą spowodować pęknięcie i rozerwanie różnych organów. Ryby, jako posiadające pęcherz pławny; wypełniony gazami, daleko łatwiéj niż inne zwierzęta podlegają zabójczemu wpływowi zmniejszającego się ciśnienia zewnętrznego. Wiadomo, że ryby, zamieszkujące bardzo głębokie jeziora szwajcarskie, ulegają częstokroć śmierci w chwili wydobywania ich na powierzchnię, wskutek tego właśnie, iż pęka im pęcherz pławny pod wpływem wewnętrznego parcia. Oto, co mówi v. Siebold o alpejskiéj kilce (*Coregonus hiemalis*), zamieszkującéj jeziora Szwajcaryi: W głębokości 40 sążni pęcherz pławny téj ryby wytrzymuje ciśnienie około $7\frac{1}{2}$ atmosfer. Gdy ryby zostają przeniesione z naturalnego miejsca przebywania na powierzchnię wody, gdzie działa na nie ciśnienie jednéj tylko atmosfery, w takim razie powietrze zawarte w pęcherzu, a podlegające dotąd ciśnieniu $7\frac{1}{2}$ atmosfer, pozbywa się ciśnienia $6\frac{1}{2}$ atmosfer i w tymże stosunku się rozpręży, co znów spowoduje rozerwanie się nietylko ścianek samego pęcherza, ale i brzusznych. To samo ma miejsce z rybami morskiemi, które przebywając przedtém w ogromnych głębiach i znosząc olbrzymie ciśnienie, wydostają się na powierzchnię wody. U wielu ryb przełyk zostaje wtedy wyparty z pyska, oczy pęcznieją i wyskakują z oczodołów, pletwy rozluźniają się i częściowo wypadają z ciała.

Ponieważ w wielkich głębokościach nie ma ani prądów, ani téż działania fal, woda pozostaje tam w nadzwyczajnym spokoju, co znów okazuje wpływ na ogólne kształty ciała niektórych zwierząt, oraz na narządy ruchu. Tak np. wiadomo, że gąbki bardzo łatwo zmieniają postać swą, w zależności od środowiska, w jakiém przebywają; w miejscach, gdzie panują silne prądy, gąbki otrzymują formy wydłużone w kierunku działania tych prądów; przeciwnie zaś, gatunki tych rodzajów, które przebywają w miejscach spokojnych, mają kształty kuliste i uderzająco prawidłowe. Te ostatnie właściwości znajdujemy u gąbek, zamieszkujących znaczne głębokości morskie. Nadzwyczajnie długie i wiotkie kończyny wielu skorupiaków tychże okolic pozostają również w związku ze spokojem wody.

Rozpatrzmy teraz pytanie, jak są przystosowane zwierzęta głębin morskich do warunków światła. Czy na dnie morskiém, w głębokości kilku tysięcy metrów panuje wogóle jakiebądź światło, jest to dotąd kwestya w nauce nie rozstrzygnięta. Niektórzy badacze twierdzili, że promienie słońca zostają zupełnie pochło-

nięte przez tak grubą warstwę wody i że na dnie morskiém panuje w tych strasznych otchłaniach zupełna ciemność. Inni, a zwłaszcza Verril, starali się dowieść, że ogromna massa wody pochłania tylko promienie pomarańczowe i czerwone, przepuszcza zaś zielone, wskutek czego na dnie morskiém panuje zielonawe światło. Zwierzęta, zamieszkujące znaczne głębie, są najczęściéj barwy pomarańczowéj do purpurowo-czerwonéj lub brunatno-czerwonéj, nigdy zaś prawie nie posiadają barwy jasno-żółtéj, zielonéj i zielono-niebieskiéj. Fakt ten przemawia za przypuszczeniem Verrila. Gdyby bowiem rzeczywiście do głębin morskich nie przenikały wcale promienie czerwone i purpurowe, zwierzęta, ubarwione w taki sposób, nie odbijałyby tam żadnych promieni i wydawałyby się zupełnie prawie czarnemi, przez co mogłyby łatwo uniknąć wzroku nieprzyjaciół. Istnieją jednak pewne fakta, które dowodzą, że i zielone promienie są w znacznéj mierze pochłaniane przez bardzo grubą warstwę wody. William Marshall sądzi, że przenikają one co najwyżéj na głębokość 500 sążni, lecz że w jeszcze większych głębiach panuje już ciemność, o ile częściowo nie rozprasza jéj blask fosforyczny zwierząt samoświecących. Braku światła słonecznego w znacznych głębokościach morskich dowodzi fakt, iż niektóre gatunki zwierząt np. kraby z gatunku *Ethusa granulata* posiadają w płytkiéj wodzie dobrze rozwinięte oczy, egzemplarze zaś z głębokości 110 do 370 sążni mają jeszcze wprawdzie słupki oczne, lecz zamiast oczów posiadają już tylko wapienne obrzmienia, a wreszcie osobniki z głębokości 500 do 700 sążni straciły już nawet w znacznym stopniu i same słupki oczne. Wszelako nie zawsze miéwa to miejsce. Obok bowiem zwierząt całkiem ślepych lub źle widzących znajdujemy i takie, u których oczy dosięgają bardzo znacznéj stosunkowo wielkości. Objaśnić to sobie można przez tę okoliczność, że fauna głębinowa według wszelkiego prawdopodobieństwa rekrutuje się z gatunków, przebywających bliżéj powierzchni i że tylko stopniowo i powoli przystosowywała się do nowego swego środowiska. Otóż zanim te zwierzęta dosięgły najciemniejszych i najgłębszych okolic, musiały one w ciągu wielu nieraz pokoleń przebywać w miejscowościach, w których panuje zmierzch; im zaś były uboższe w światło zamieszkiwane przez nie okolice, tém silniéj rozwijały się ich narządy wzrokowe, podobnie jak to ma miejsce u lądowych zwierząt zmierzchnych, które posiadają tém większe oczy, im bardziéj przystosowane są do zmierzchu. Za przykład służyć tu mogą nietoperze, latające późnym wieczorem, sowy, żerujące w nocy, oraz liczne gatunki lemurów (np. lori, maki i t. p.). Otóż przypuścić można, że i w morzu, w okolicach,

w których panuje zmierzch, oczy nadmiernie się rozwijają. Jeśli więc przyjmiemy, że takie wielkookie zwierzęta przybywają do największych głębin, gdzie panuje już zupełna prawie ciemność, łatwo sobie wyobrazić, że przez pewien czas zanim się dostatecznie do nowego środowiska przystosują, będą jeszcze posiadały skłonność do nadmiernego rozwoju oczu, a dopiéro późniéj organy wzrokowe zaczną się u nich coraz słabiéj w ciągu pokoleń rozwijać. Dla tego téż porównywając z sobą różne pokrewne zwierzęta, właściwe wielkim głębiom, możemy powiedziéć, że formy z bardzo wielkiémi oczyma są dawne, formy z mniejszemi nieco, jeszcze dawniejsze, a z zanikłemi oczyma — najdawniejsze.

Bardzo liczni mieszkańcy głębin morskich odznaczają się zdolnością świecenia fosforycznego. Znaczenie tego zjawiska może być bardzo rozmaite. Przedewszystkiém służyć ono może zwierzętom za środek szukania sobie drogi w ciemności; światło to bywa bowiem u niektórych zwierząt tak silne, że na dosyć znacznym stosunkowo promieniu rozprasza częściowo ciemności panujące w otchłaniach morskich. Powtóre światło to służyć może jako środek zwabiający zdobycz, lub téż działa być może odstraszająco, na mających złe zamiary nieprzyjaciół, jakby przemawiając do nich: „*Noli me tangere*“.

Bardzo ważną i interesującą jest kwestya, tycząca się odżywiania fauny głębinowéj. Wiadomo, że niezbędnym pośrednikiem w odżywianiu się zwierząt jest świat roślinny. Roślina pobiéra z ziemi i powietrza wodę, amoniak i kwas węglowy, rozkłada je i następnie wytwarza z nich drogą syntezy różne złożone ciała organiczne: węglo-wodany, tłuszcze, białka i t. d. Zwierzę żywi się gotowemi substancyami organicznemi bądź roślinnemi (istoty roślinożerne), bądź téż zwierzęcemi (istoty mięsożerne), ostatecznie więc zawdzięcza roślinom byt swój. Ale oto w wielkich głębiach morskich znajduje się tak nadzwyczajnie mało żywych roślin, że udział ich w odżywianiu zwierząt jest równy prawie zeru. Jakiež więc jest pierwsze źródło, z którego świat zwierzęcy czerpie tutaj pożywienie? Niektórzy przyrodnicy, jak Wallich, wypowiedzieli przypuszczenie, iż pewne formy zwierzęce są w stanie rozkładać wodę, bezwodnik kwasu węglanego i amoniak, a pierwiastki ich, bez współudziału światła przeprowadzać w związki organiczne. Wallich przypuszcza więc możliwość wytwarzania połączeń organicznych z materyi nieorganicznych bez pośrednictwa roślin i światła słonecznego i sądzi, że pomiędzy fauną głębinową muszą się właśnie znajdować zwierzęta, obdarzone taką zdolnością. Przypuszczenie to jest bardzo śmiałe, nieprawdopodobne i na żadnych prawie faktach nie oparte.

Z daleko większą pewnością możemy przypuścić, że substancye organiczne zostają sprowadzane na dno morskie w postaci martwéj t. j., jako szczątki ciał roślinnych i zwierzęcych flory i fauny pelagicznéj, oraz lądowéj. Zważmy tylko, jak wiele substancyi organicznych doprowadzają do mórz większe rzeki. Tamiza wlewa codziennie do morza 5,443,200 metrów sześciennych wody, w któréj (pod Londynem) na każde 10,000 części wypada 370 części substancyi organicznych. Gdybyśmy przypuścili, że taki sam stosunek zachowuje się aż do ujścia rzeki, w takim razie Tamiza powinnaby wlewać codziennie w morze przeszło 200 metrów sześciennych substancyi organicznéj. Amazonka wprowadza codziennie przecięciowo 1,111 razy większą ilość wody do oceanu Atlantyckiego, aniżeli Tamiza. Jeśli więc przypuścimy, że ilość substancyj organicznych nie jest w niéj większa, niż w rzece Angielskiéj,— jakkolwiek Amazonka przepływa przez dziewicze lasy, tryskające życiem organiczném i prócz tego sama odznacza się najbogatszą niemal w świecie fauną i florą słodko-wodną — w takim razie codziennie powinnaby ona doprowadzać do morza 222,200 metrów sześciennych substancyj organicznych. Zważywszy tedy, jak wiele rzek wpada do mórz i jak olbrzymie masy części organicznych znoszą one i gromadzą na dnie morskiém, łatwo ocenić, iż roślinność oraz fauna lądowa dostarczyć może ogromnych ilości pożywienia zwierzętom głębinowym. Oprócz tego roślinność, pokrywająca płytsze miejsca w morzu, stanowi także znakomite źródło pokarmu dla istot, zamieszkujących głębie. Wiadomo, jak gęstym lasem wodorostów pokryte jest niegłębokie stosunkowo dno tak zwanego morza sargassowego w ocenie Atlantyckim, które przedstawia przestrzeń, zajmującą cztery miliony kilometrów kwadratowych, a pokrytą tak gęstemi zaroślami, że w wielu miejscach statek parowy nie może się przez nie przedrzéć. Otóż obumarłe i gnijące części tych roślin, podobnie jak muł, sprowadzany przez rzeki, oraz martwe ciała zwierząt, począwszy od pierwotniaków, a kończąc na kręgowcach, porywane i roznoszone prądami we wszelkie okolice oceanów, opadają powoli na dno nietylko płytszych miejscowości, ale i największych głębin morskich, wytwarzając tu znaczne pokłady substancyj organicznych, które służą za pożywienie dla fauny głębinowéj.

Po tém krótkiém przedstawieniu ogólnych stosunków biologicznych fauny głębin morskich, rozpatrzmy bliżéj ważniejsze grupy zwierzęce, faunę tę składające.

Cały świat zwierzęcy rozpada się na dwie wielkie grupy, na pierwotniaki — *Protozoa*, oraz wielokomórkowce — *Metazoa*. Do

pierwotniaków zaliczamy istoty po większéj części mikroskopowych wymiarów, składające się z jednéj tylko komórki, albo téż z kilku, kilkunastu lub kilkuset komórek, połączonych z sobą luźno, łatwo się więc oddzielających wzajemnie i nie tworzących jeszcze żadnych tkanek określonych. U wielokomórkowców (*Metazoa*) ciało złożone jest z tysięcy i milionów komórek, ściśle z sobą połączonych i wytwarzających całe systematy najróżnorodniejszych kompleksów komórkowych czyli tkanek. Z gromad, należących do pierwotniaków, głębie morskie zamieszkuje tylko jedna, a mianowicie gromada korzenionogów (*Rhizopoda*). Te ostatnie są to istoty jednokomórkowe, złożone z bezkształtnych najczęściéj kłaczków białkowatéj substancyi, zwanéj plazmą lub zarodzią, i zawierają pośrodku jedno lub wiele gęstszych, mniej lub więcéj kulistych jąder. Plazma wydłuża się na obwodzie w tępe i grube, lub téż w cienkie, nitkowate wyrostki. Wyrostki te, zwane niby-nóżkami (*pseudopodia*), mogą się wciągać czyli kurczyć, lub téż wyciągać i wydłużać; wyrostki te rozgałęziają się częstokroć na podobieństwo włóknistych korzonków roślinnych, ztąd więc nazwa korzenionóżki (*Rhizopoda*). Wyrostki plazmatyczne służą do ruchu oraz do pochłaniania cząstek pokarmowych. Ernest Haeckel opisał korzenionogi, które są tak prostéj organizacyi, że nawet jądra są pozbawione, a składają się tylko z bezkształtnego kłaczka jednorodnéj plazmy. Ustroje te nazwał Haeckel m o n e r a m i. Nowsze atoli badania coraz bardziéj przemawiają za tém, że ustroje te nie są bezjądrowe, a jądra ich dają się w wielu wypadkach zauważyć przy użyciu pewnych barwników. Otóż do takich bezjądrowych moner zaliczono także w swoim czasie słynny w dziejach nauki organizm—*Bathybius Haeckelii*, o którym kilka słów powiemy. W roku 1868 znakomity zoolog angielski, Henryk Tomasz Huxley, badając próbki mułu z dna oceanu Atlantyckiego (wydobyte za pomocą ołowianki w czasie przeprowadzenia liny telegraficznéj transatlantyckiéj), znalazł bezkształtne mniejsze lub większe kłaczki śluzowatéj massy, którą uznał za plazmę i oznaczył jako jeden z najniższych organizmów mianem *Bathybius Haeckelii*. Zoologowie ekspedycyi na „Porcupine", Wyville Thomson oraz Carpenter znaleźli również Bathybiusa i sądzili, że dają się w nim nawet dostrzedz zjawiska ruchu. Przypuszczano, że śluz ten pokrywa wszędzie dna wielkich głębi morskich, poczytywano go za pierwotny śluz żyjący, za pierwotnego jakby przodka całego świata organicznego. Wyville Thomson opisuje ten pierwośluz, jako sieć białkowatéj substancyi, powoli zmieniającą swe kształty. Odkrycie Bathybiusa uważane było powszechnie za wielką zdobycz naukową. To téż nie dziw,

że zoologowie ekspedycyi „Challengera“ zadali sobie bardzo wiele pracy w celu odszukania owego osławionego żyjącego śluzu głębin morskich. Pomimo najskrupulatniejszych badań nie odnaleziono go, ale zauważono, że jeśli nieco mułu głębinowego umieścić w spirytusie to pojawiają się w nim kłaczkowate, śluzowate massy. Buchanan wykazał, że to nie jest żaden śluz organiczny, lecz tylko osady siarczanu wapna czyli gipsu, w skutek działania alkoholu na wodę morską. Przypuszczano więc, że i sam Bathybius jest niczém innėm, jak tylko osadem gipsu, sztucznie wytworzonym. Niektórzy przyrodnicy stanęli w obronie Bathybiusa, ale gdy w r. 1876, zoolog niemiecki Möbius na zjeździe przyrodników w Hamburgu, wytworzył raz jeszcze sztucznie, *coram publico*, Bathybiusa i wykazał, że tak się on barwi, jak to podawali zoologowie, którzy uważali twór ten za żywą istotę — wiara w żyjący pierwośluz upadła, a nazwisko Bathybiusa wciągnięte zostało ku wielkiemu niezadowolnieniu jego zwolenników nie do katalogu nowych gatunków, lecz tylko do archiwów nauki, stanowiąc bądź co bądź interesującą zawsze kartkę w dziejach biologii.

Głębie morza zamieszkane są przez przedstawicieli korzenionogów, należących do dwóch rzędów: otwornic (*Foraminifera*) i kracinników (*Radiolaria*). Otwornice posiadają plazmatyczne ciało, zawierające zwykle kilka jąder i pokryte z zewnątrz wapienną, rogową, a niekiedy krzemionkową skorupą. W téj ostatniéj znajduje się jeden większy lub téż bardzo wiele drobnych otworków, przez które wychodzą na zewnątrz nitkowate plazmatyczne niby-nóżki, tworzące delikatne siateczki. Skorupki otwornic przedstawiają albo jeden tylko oddział, czyli jednę komórkę, albo też szereg komór, oddzielonych od siebie przegródkami i leżących w jednéj płaszczyźnie i w jednym kierunku, lub też skręcone kolisto albo spiralnie. Dzięki wyprawie „Challengera,“ liczba znanych dotąd gatunków otwornic wzrosła o kilkaset. Dziewięćdziesiąt osiem do dziewięćdziesięciu dziewięciu odsetek ogólnej liczby gatunków zamieszkuje dno morskie w różnych głębokościach, a tylko około dwudziestu gatunków żyje na i przy powierzchni morza, czyli należy do t. z. fauny pelagicznéj. Te gatunki pelagiczne są niezwykle bogate w osobniki, a martwe ich skorupki, opadając na dno morza, tworzą tam grubą warstwę mułu (zwłaszcza gatunki rodzaju *Globigerina*). W wielkich głębiach panują formy z jednym tylko otworkiem w skorupce, która utworzona jest najczęściéj z różnych obcych ciał, jako to: ziarnek piasku, gliny i t. p. Najpospolitszemi mieszkańcami największych głębin morskich są rodzaje: *Astrorhiza, Pilulina* i t. d.

Kracinniki czyli radiolarye należą również do bardzo pospolitych mieszkańców morza. Są one, jak i otwornice, istotami jednokomórkowemi, a tylko niektóre ich formy są kolonialne. Organizacya ich jest wyższa, niż u otwornic, albowiem ciało ich składa się z dwóch części: wewnętrznéj i zewnętrznéj, oddzielonych od siebie delikatną błonką, przebitą otworkami. Na wewnątrz téj błoneczki znajduje się znacznéj wielkości jądro, zajmujące sam środek ciała. Zewnętrzna warstwa plazmy składa się z kilku znów drugorzędnych warstewek (trzech) koncentrycznie ułożonych i daje delikatne nitkowate niby-nóżki. Prócz tego w owéj zewnętrznéj części plazmy rozwija się szkielecik, najczęściéj krzemionkowy, niekiedy zaś utworzony z substancyi organicznéj. Kształty szkielecika radiolaryi bywają jaknajróżnorodniejsze i najfantastyczniejsze, szkielet ten składa się z igiełek albo luźno ułożonych w kierunku stycznych, lub téż tworzy kule o ściankach siateczkowatych i kratkowanych; w kierunku promieni ułożone są większe pręciki i igiełki, częstokroć łączące się z sobą w samym środku kulistego ciała. W innych razach szkieleciki przedstawiają postaci hełmów, koszyczków, latarni, kielichów, kwiatów, dzwonków, stożków, czerpaczków, krzyżyków i t. d., słowem fantazya natury nie ma tu hamulca. Trzeba przyjrzéć się wspaniałym i kosztownym rysunkom w dziełach Haeckla, traktujących o radiolaryach, które zostały znalezione podczas ekspedycyi na „Challengerze“ i innych, ażeby ocenić całe bogactwo i piękno form tych mikroskopowych organizmów. Znaczna większość radiolaryj przebywa na i przy powierzchni morza, w wielkiéj odległości od brzegów, ale i w głębiach oceanów żyje niemała ich ilość. Opadające na dno martwe skorupki kracinników przyczyniają się do wytworzenia znacznych pokładów mułu, podobnie jak skorupki otwornic.

Tak więc z pierwotniaków, czyli najniższych organizmów zwierzęcych, liczni przedstawiciele dwóch grup: otwornic i radiolaryj należą do fauny głębinowéj i przyjmują nie mały udział w formowaniu pokładów dna morskiego. Z pozostałych typów zwierzęcych, faunę głębinową stanowią liczne gatunki: jamochłonnych, szkarłupni, robaków, mięczaków, stawonogów (a mianowicie skorupiaków) oraz kręgowców (ryb).

Jamochłonne (*Coelenterata*) są to ustroje, mające ciało miękie, galaretowate. Charakterystyczną ich właściwość stanowi t. z. układ żołądkowo naczyniowy czyli gastrowaskularny. Ten ostatni polega na tém, iż z jamy żołądkowéj, w któréj odbywa się trawienie pokarmów, rozchodzą się bezpośrednio kanały, po których krążą soki odżywcze; tu więc organy trawienia i krążenia są połączo-

ne w jeden układ, gdy tymczasem u wszystkich innych zwierząt (wyjąwszy niższe robaki) organy trawienia są zupełnie oddzielone od układu krążenia czyli organów krwionośnych. Oprócz tego charakterystyczną cechę jamochłonnych stanowi to, iż ich jama pokarmowa posiada tylko jeden otwór, wiodący na zewnątrz i odgrywający rolę i gęby i odbytu. Najniższą grupę jamochłonnych stanowią gąbki (*Spongiae*). Te ostatnie posiadają wewnątrz miąższu swego ciała szkielet wapienny, krzemionkowy, włóknisty lub rogowy, szkielet ten, zazwyczaj delikatny, utworzony jest albo z różnokształtnych igieł, rozmaicie z sobą połączonych lub téż z włókien, w najróżnorodniejszy sposób z sobą poplątanych. Gąbki wapienne zamieszkują płytkie wody, rogowe są również prawie wyłącznie mieszkańcami płytkich miejscowości. Z włóknistych znajdujemy już przedstawicieli w faunie głębinowéj, a pomiędzy niemi pewne formy odznaczają się szczególną pięknością. Tak np. *Radiella Sarsii* jest to niewielka gąbka głębinowa, w postaci płasko-wypłukłego krążka, którego brzeg pokryty jest pierścieniem migawkowych włosków i uzbrojonych igiełkami krzemionkowemi; *Esperiopsis Challengeri*—gąbeczka z głębokości 800 sążni, przedstawia się w postaci długiéj osi, pokrytéj liściowatemi wklęsło - wypukłemi tworami. Najwspanialsze gąbki fauny głębinowéj należą do grupy *Hexactinellidae*, których krzemionkowy, niezmiernie delikatny i misternie utkany szkielecik złożony jest z igieł, jak szkło przezroczystych. Gąbki te zamieszkują ogromne głębie, np. rodzaj *Hyalonema* znaleziony został na głębokości 1312 sążni; rodzaj *Pheronema* na głębości 1500 sążni itd. Na dnie tych wielkich otchłani gąbki te tworzą miejscami całe gęstwiny, w wielkiéj rosnąc ilości oraz ściśle obok siebie. Jedne z nich mają postać koszyków, rogów obfitości, inne—podpartych klinów lub kielichów, jeszcze inne wyglądają zupełnie jak gniazda ptasie, grzyby kapeluszowe, wielokrotnie poplątane z sobą rurki itd., rzadziéj mają one postaci masywne, lub rozgałęzione. Gęste klomby tych różnokształtnych gąbek, ścielące się na dnie morskiém, przedstawiają niezmiernie swoisty i interesujący wygląd, a pomiędzy temi gęstwinami tysiące różnych innych zwierząt, zwłaszcza skorupiaki, znajdują bezpieczne ukrycie.

(*D. n.*) *Dr. Józef Nusbaum.*





MAREK CIUPAŁA.

I.

Otrząsło się słonko z mgły porannéj, senne przetarło powieki i jasném, złotém okiem spojrzało na świat boży, na lasy zielone i pola chwiejące się złotą pszenicą i żytem srebrném. Jak dobry, gospodarz, zajrzało w kąt każdy; przez wąskie okienko wbiegło do środka młyna, który stał na końcu wioski; do każdéj chaty wsunęło się przez szczelinę jakąś, a widząc, że młyn nie próżnował, lecz białą pianą pryskał i tyrkotał już na dobre, że ludzie z sierpami na pole, z kosami na łąki poszli — podniosło się wyżéj i duże, złote po jasnym sunęło błękicie. Na polach był ruch wielki, ludzi jak mrowia—dzwoniły kosy, zgrzytały sierpy i co chwila kładły się na ziemię, to duże snopy pszeniczne, to pachnące trawy pokosy. Urodzaj był wielki, więc się cieszyli ludziska i pracowali zawzięcie. Jeden tylko a spory pas pola nie otrzymał widać błogosławieństwa szczęśliwego roku. Mizerne kłoski żyta plątały się z pachnącym rumiankiem, pszenica nie lepsza, a ziemia pod nią była zaklepana i żółtym piaskiem świéciła. I na innych polach piasek był, a zakrywało go jednak gęste ściernisko — tutaj źdźbło liche, że pożal się Boże! Od świtu już uwijali się z sierpami ludzie, a na pólku oném żywéj nie było duszy.

Szeroką drogą wioski, krokiem leniwym i ociężałym szedł Marek Ciupała. Kosę na plecach niósł i dzbanek z wodą u pasa. A rosły i dorodny chłop był z Marka: kark jak u dworskiego byka, piersi jak wrota, prowadzące do gumna księdza Macieja i siłę niedźwiedzią miał. Szedł pomału jakby się czegoś ociągał, czasami spluwał na bok i coś mruczał niezrozumiale.

— Marku?—zawołał nagle głos jakiś przeciągle.

Chłop stanął i spojrzał zaspanemi oczyma przed siebie.

Na progu karczmy stał „pan arendarz“, kiwał rudą brodą i dwa duże palce założywszy w kieszenie rozpiętéj zupełnie kamizelki, mówił do Marka drwiącym głosem.

— A dokąd to tak rano?

— Na pole.

— Na poole? a jest tam co zbiérać?

Marek machnął ręką.

— A no, jak zawsze, więcéj rumianku niż zboża.

— To po co iść! lepiéj niech Marek do mnie zajdzie. Ja wczora przywiozłem z Wieniawy taki miód, że i dziedzic lepszego nie ma, a *fajne* miód!

Cmoknął ustami i rudą brodę pogładził.

— Ano, nie zawadzi spróbować kapkę—rzekł Marek.

— Na co kapkee? — ciągnął daléj gościnny gospodarz karczmy — taki miód u mnie kwartą i proboszcz pić będzie.

Marek się nie wahał, zdjął kosę z ramienia i już krok jeden postąpił do stojącego w drzwiach Chaima, gdy nagle ktoś go za rękę uchwycił i jakiś głos przestraszony a dźwięczny i błagalny zawołał za nim.

— Marku!... ja ciebie nie puszczę!...

Chłop się obejrzał i gniewnie brwi ściągnął, chciał już wybuchnąć, ale się jakoś pomiarkował.

— I czego ty odemnie chcesz, Kachna?—zapytał ponuro.

Kaśka patrzyła w twarz Marka, z dłoni swojéj rąk jego nie puszczając, w błękitnych oczach kręciły się dwie łzy i usta drżały.

— Miałeś ze mną na pole iść — szepnęła.

— To i co? — zapytał ostro.

— Nikt ci nie pomoże zebrać, jeżeli nie ja, ludzie już wszyscy powychodzili, słonko wysoko... a ty?...

Marek się zawahał, ale na progu karczmy stał Chaim i śmiał się czegoś, aż brzuch mu się trząsł. Widać śmiał się z Marka, że dał się dziewczynie zatrzymać.

— Kachno, puść!... — zawołał niedobrym głosem.

Ale Kaśka uczepiła się ramion i w przeciwną ciągnęło go stronę, ku polom.

— A ruszysz ty precz, zatracona! — huknął Marek i jednym ruchem ręki odtrąciwszy dziewczynę, za tryumfującym Chaimem do karczmy wszedł.

Dziewczyna stała chwilę przerażona i blada jak chusta. Płakać zrazu nie mogła, bo wielki ból serce jéj ścisnął. Późniéj jednak ciche łzy zaczęły po jagodach płynąć, zatrzymała się u płotu, o pień topoli się oparła, która szumiała zielonemi liśćmi, z wietrzykiem

porannym bawiąc się — i płakała. Ale wszystkiemu jest koniec. Ciepłe powietrze łzy wysuszyło, wilgotne jeszcze powieki otarła białym fartuchem i tylko smutna bardzo, wziąwszy sierp zostawiony na progu chaty, w pole poszła. Wyszedłszy za wrota wioski, parę razy obejrzała się za siebie, jakby chciała dojrzéć kogoś, ale na drodze szerokiéj nikogo nie było.

— Głupia ty, Kachno, głupia! —szepnęła cicho— i po co przepadasz tak za nim?!...

Marek tymczasem pił miód słodki, zaprawiony wódką i korzeniami; policzki miał zaczerwienione i jakieś gorąco w żołądku czuł, którego nie mógł przytłumić, podawanym przez gościnnego Chaima napojem.

— A jak wam, Marku, smakuje? — pytał Chaim.

— Sam do gęby lézie— odpowiedział Ciupała, bełkocąc, i blaszanką w stół palnął.

— Daj jeszcze, żydzie!

Obudził się koło południa, spojrzał na słońce i zębami zazgrzytał. Nie iść mu już na pole, bo by się ludziom naraził na śmiéch, i nie wracać do domu, bo stary ojciec, co ledwo nogami włóczy, sierdziłby się za dzień zmarnowany i grosz przepity. Dopiéro, gdy ludzie z pola poprzychodzą, pójdzie na zagon swój, by snopów kilka użąć, i tego będzie dosyć!

Wyszedł z karczmy, zaszył się w żydowskie konopie i daléj spał.

Nie staje słonko, żeby poczekać na tych, co z pracą lub dobrą myślą spóźnili się; nie powraca dzień przespany albo zmarnowany na złém.

Marek obudził się wieczorem. Porządny kawał konopi wytłukł żydowi ale na to nie zważał, podniósł się, przyklęknął i nasłuchiwać zaczął. Ze wszech stron dolatywały do niego głosy różne: ryk krów i owiec bekanie, szczekanie psów, radosne rżenie koni, nawoływanie parobków i śpiéwy dziewcząt wracających z pola, a całéj téj muzyce wioski przewodził dzwonek kościelny, którego dźwięk płynął górą nad lasy i pola i hen — precz! w dalekiéj dzwonił jeszcze dąbrowie. Marek się podniósł, pochylił w pół pasa i rozgarniając ostrożnie twarde łodygi konopi, iść zaczął. Dopadł do wierzchowiny stawu, prześliznął się przez oczeret, chlupiąc trochę po błocku i dopiéro gdy na przeciwnym brzegu stanął, wyprostował się i miedzą zieloną ku swojemu polu pośpieszał.

Wieczór był cichy, ciepły; słonko ostatnie rzuciło promienie i całowało dużém ziarnem pszenicznem napełnione kłosy, które kołysały się lekko, szumiąc niby fale wielkiego jeziora. Tu zagon Stacha, tam Piotra łan duży, a tu Bartłomieja żyto bez mała Mar

kowego wzrostu, a na lewo i prawo równym szeregiem już kopy stały, ściernisko było gęste, że wążby się nie prześliznął. Jakiś gniéw opanował duszę Marka i zazdrość nie ludzka. Pełną dłonią chwytał kłosy pszeniczne, zrywał i rzucał pod nogi, klnąc siebie i dolę swoję. Tam, za żytem Bartka, jego rozciągało się pole i kawał łąki z jeziorkiem błotnistém i gruszą, Janowa zwaną, przy któréj ocembrowana stała krynica. Wróciłby, ale mu pić się zachciało... Przyśpieszył więc kroku i szedł daléj! Łan żyta się skończył, Marek wszedł na swój zagon i wstrzymał się nagle. Oczy otworzył szeroko i patrzał przed siebie zdziwiony bardzo.

Dwie kopy pszenicy użętéj stało na jego polu.

Obejrzał się: dokoła było pusto, z bliskiéj łąki tylko chłód wiał, bo słońce już się zatoczyło w cichą głąb nieba i cień różowy, jak to po zachodzie bywa, rzuciło na ziemię. Marek się poruszył, ale zaledwie kroków parę postawił, gdy do jego ucha doleciał szmer żętego zboża; wyciągnął szyję i dojrzał z daleka jakąś postać białą, która się to schylała, to podnosiła, kładąc mizerne snopki na ziemię.

Marek poczerwieniał i bliżéj postąpił.

— Kachno! to ty? — wyszeptał.

Żniwiarka odwróciła się, założyła sierp na ramię i głosem spokojnym odrzekła:

— Ja, abo co?

Pot kroplisty spływał jéj z czoła, ręce miała poczernione i w kilku miejscach zranione palce.

— Chodź, Kachno! — rzekł przycichłym głosem — koło krynicy siądziemy i pogadamy.

Kaśka opuściła podniesioną do kolan spódnicę, fartuchem pot na twarzy otarła i milcząc szła koło Marka.

Weszli na łąkę i do krynicy się zbliżyli. Marek bańkę przywiązaną do sznurka zapuścił w głąb, woda bełkocąc napełniła naczynie, które on z chciwością do ust swych przytknął i pił zapamiętale.

— A ty chcesz? — zapytał dziewczyny, podając jéj bańkę.

— Daj!...—wyszeptała Kaśka — nie piłam cały dzień, żeby tobie te duże kopki postawić a ludzie się z ciebie nie śmieli. Zaczęłam od brzegu, by tu mnie nikt zobaczyć nie mógł za wysokiém żytem Bartkowém.

Marek patrzał ponuro w ziemię i dychał ciężko.

— A na waszém polu... kto? — zapytał po chwili.

— Brat — odpowiedziała dziewczyna, odejmując glinianc naczynie od ust spalonych.

Marek poruszył się niecierpliwie.

— Będzie łajał ciebie, żeś z nim na zagon ojcowy nie poszła.

— To i co? pogniéwa się i przegniéwa, ale nikomu nie powié, że twoje żęłam zboże, nie powié, jeżeli poproszę o to.

— Dobra ty Kachno, ja to wiem! ale wolałabyś żąć gęstą pszenicę, gdzie snopy same na sierp się kładą, niż łapać kłosek za kłoskiem... w tém śmieciu.

Rzucił głową, wskazując na łan swój.

— Marku, nie mów tak! nie byłoby tego śmiecia, gdybyś ty uczciwiéj swój zagon uprawiał.

— Et! piachy, trudu nie warte!

Machnął niechętnie ręką.

— Nie, nie, ty Marku źle mówisz, i Bartkowe pole nie lepsze, a patrz ino, pszenica jak las. I na twojém było inaczéj nim choroba nogi staremu odjęła a matuś zmarła. Ale ja sama pamiętam jak ziemi swojéj i nawozu nie pożałował i zorał drobniutko. Srebrzyła się żytém i pszenicą złociła, i składał się grosz do grosza na dzień czarny... Ale ty Marku dobytek ojcowski marnujesz, z niedobrymi przystajesz ludźmi, ot co!

Złe ognie zabłysły w oczach Ciupały, sumiastemi ruszył wąsami i poczerwieniał, jakby mu kto do twarzy gorącéj nalał krwi.

— I ty jeszcze... wiedźmowa córko, w oczy mi ćwikać będziesz próżniactwem? Nie dosyć, że ojciec gdérze od ranka do nocy aż mi w uszach szerszeniem dzwoni; że ludzie trącają się łokciami, gdy spóźnię się na pole z robotą a dowcipkują parobki i dziéwki, po zachodzie słońca dzień dobry mi mówiąc? jeszcze i ty?... Czekać ino, jak psy własne ujadać za mną zaczną i łydy kąsać!...

Chciał mówić daléj, ale mu tchu zabrakło, porwał naczynie z wodą i łapczywie pić zaczął. Kaśka stała przed nim jedną ręką oparta o cembrzynę i przez łzy w twarz mu patrzyła. Czerwono jeszcze było na ziemi, choć słonka nie było, więc łatwo Marek dostrzegł w błękitnych oczach łzy, które świéciły jak na bławatkach rosa wieczorna. Zmiarkował się trochę i cichszym głosem się ozwał.

— Pójdę ja w świat daleki, niech tylko ojczysko zemrze — pójdę!

Dreszcz strachu przeleciał po Kaśce, obiema rękami pochwyciła dłoń miłego i w silnym zatrzymała uścisku.

— Marku! — jęknęła.

— Co? — spytał krótko, z pode łba patrząc.

Dziewczyna nie mogła powiedziéć nic, usiadła na brzegu krynicy ale z dłoni nie wypuściła ręki Markowéj.

— Jak tylko ojczysko zemrze — ciągnął Marek — nie porać mi się z piachami temi, sprzedam ojcowiznę Niemcowi i pójdę w świat.

— Nie godzi się ziemi rodzonéj zaprzedawać — szepnęła dziewczyna...

— Pójdę, i koniec! — rzekł z mocą.

Kaśka siedząc na brzegu krynicy nie odpowiadała nic, oczy w dół opuściła, ale widać było, że jakąś myśl miala, z któréj się szczerze wyspowiadać nie mogła. Gniotła tylko fartuch biały niecierpliwemi palcami, od czasu do czasu marszczyło się jéj czoło a serce biło. Siedzieli tak oboje na brzegu cembrzyny i milczeli. Marek kopał nogą ziemię, ukradkiem rzucając wzrok na zakochaną, która była bardzo smutna.

Zmierzch zapadł, zeszedł księżyc czerwony, wieczorna rozpoczęła się muzyka. Zabrzęczały komary nad wodą, niepewnym głosem w zbożu odezwały się przepiórki, zahuczał bąk w trzcinach, a z błotnistego jeziorka odezwały się żaby: kum-kum...

Marek wstał i rzekł raz drugi.

— Pójdę i koniec!

Twarz Kaśki pobladła.

— Gdybyś miał Bartka pszenicę a żyto Maćka, to zostałbyś? — spytała.

— A no... może..

Dziewczyna podniosła głowę, dużemi oczyma wpatrzyła się w pochmurną twarz Marka i głosem drżącym szepnęła.

— Gdybyś ty, Marku, pokochał mnie i wziął za swoję... możeby i było tak!

Marek pokręcił głową.

— Kawałek pola mam... twojego blisko, miedza z miedzą się łączy—ty wiész! Razem—to kawał spory a czworo rąk nie dwoje. Każem ziemi rodzić kłosy duże i ziemia nas posłucha. Trud jeden na ramion dwoje to ciężar nie wielki—a lepsza własna chata niż cudzy dwór, smaczniejszy chléb z własnego zboża niż darowane kasztany. Nie sprzedawaj ty ojcowizny a mnie sobie weź.

Zasromanemi oczyma patrzyła w twarz miłego i odpowiedzi czekała. Bladła to czerwieniała a serce jéj biło gwałtownie, jak dzwonek kościelny, kiedy uderza na pożar.

Marek milczał, lewą ręką tylko drapał się w głowę i coś mruczał.

— A brat by ciebie mnie dał?—zapytał nagle.

Kaśka odetchnęła głęboko, jakby zrzuciła kamień z piersi, co ją gniótł nielitościwie.

— Nie twoja to już rzecz, szepnęła—Szymon zrobi wszystko, co zechcę, bo kocha mnie bardzo.

— A ty mnie miłujesz na śmierć?—zapytał jeszcze Marek.

— Na śmierć!—odpowiedziała.

Głos jéj w cichém zadzwonił powietrzu jakąś uroczystą przysięgą, że aż Markowi zimno przeszło po ciele i serce się zatrzęsło. Obejrzał się, nie wiedząc sam czego—i jakiś strach go ogarnął. Czuł, że ta dziewczyna stojąca przed nim, od téj chwili, czy zechce on czy nie zechce, panować nad nim będzie. Ujął ją za rękę i pociągnął za sobą. Zbliżyli się do tych dwóch kóp mizernego zboża użętych ręką Kaśki. Marek wziął snop jeden do ręki, przypatrzył się, pracowicie wybranym z zielska źdźbłom pszenicznym i ściskając dłoń ładnéj dziewczyny.

— A może by to i dobrze było, Kachno!—wyszeptał.

Nie przygarnął jéj jednak do serca, ale Kaśka nie zważała na to; przytuliła się, szczęśliwa, do jego ramienia i tak oparta szła z nim razem do Szymonowéj zagrody.

II.

Niecierpliwił się Szymon, że tak długo nie było Kachny. Stara baba, którą z miłosierdzia do chaty swojéj przyjął i ciepły kąt dał, ugotowała już dawno wieczerzę, ale on bez siostry nigdy ławy nie zasiadał, i choć głodny był jak wilk, czekał na nią. Wiedział, że Kachna na Markowém żęła polu, wiedział, że przepadała za niegodziwym człowiekiem, który pracować nie lubił, marnował przez ojca zostawiony mu dobytek, ziemię zapuścił, że tylko chwasty a dziki rumianek rodziła: ale, że chłop był jak malowidło, garnęły się dziewki do niego, lecz widząc, że Marek o żadnéj nie myśli, dały pokój zalotom—jedna Kachna tylko z sercem swojém poradzić nie umiała, i, gdy się odwracali od niego ludzie—ona się doń więcéj garnęła, im więcéj napadali—ona go broniła goręcéj i sercem lgnęła. I roiło się w głowie dziewczynie, że gdy ją Marek pokocha, zmienić się musi. Szymon to widział a o kochaniu jéj z jej własnych słów się dowiedział, bo między rodzeństwem, co po bożemu żyło, nie było żadnych tajemnic. Ale Szymon żałował Kachny i zmarnowanego kochania; tłómaczył, połajał raz nawet, lecz zobaczywszy łzy i to łzy smutne jakieś w błękitnych oczach Kaśki—za połajankę przeprosił i tylko cierpiał z nią razem. Rodziców już nie mieli, Szymon jako starszy opiekował się siostrą i gospodarzył na wspólnym ziemi kawałku.

Dzisiaj nie tajném mu było, że Kaśka, chcąc miłego przed drwinami ludzkiemi zasłonić, poszła na jego zagon i zasłoniona Bartkowém żytem a wydmą górzystą, na jego polu żęła; kazał babie drew więcéj podrzucić, żeby nie ostygła wieczerza, zapalił łojówkę i siadłszy przy stole na ławie, oparł głowę o dłoń spracowaną, na siostrę czekając.

Nie długo czekał—zaklekotał drewniany kołek, cicho otworzyły się drzwi i weszła Kaśka.

Ze zdziwieniem spojrzał Szymon w twarz siostry. Niebywałe rumieńce krwią żywą biły na jéj licach, oczy błyszczały jak na pogodném niebie gwiazdy jasne. Pocałowała brata w rękę i usiadła naprzeciw.

— A co tam, siostruniu?—zapytał brat,—wiele postawiłaś kopek na polu Markowém?

— Dwie i snopów kilka.

— Oho! zaśmiał się Szymon—to cały już mu łan zżąć musiałaś?

Kaśka srebrnym odpowiedziała śmiechém.

— A Marek prędko po tobie przyszedł? ciągnął brat daléj.

Zaczerwieniła się dziewczyna, ale kłamać nie umiała.

— Wieczorem—szepnęła cicho.

— A nicpoń! a hultaj...

— Braciszku! głosem błagalnym—odezwała się Kaśka.

Szymon urwał w pół słowa, pokręcił tylko głową i kazał babie wieczerzę dawać.

— Żal mi ciebie, Kachno!—rzekł łagodnie—uśmiechnął się i pocałował siostrę. Czy wiész co? zapytał po chwili—dziś, kiedym na polu żął, podszedł do mnie Bartek i o ciebie prosił.

— Nie, nie, nie,—odpowiedziała, trzęsąc głową.

— Gospodarz znaczny, człek złoty a miłuje ciebie jak wróbel drzewko wiśniowe.

— Nic z tego, nic z tego—powtarzała wciąż Kaśka.

Szymon się zaczął sierdzić.

— Czy chcesz do śmierci dziéwką pozostać? Bartka takiego i pisarzowa by wzięła i dworska panna nie powstydziłaby się za niego za mąż wyjść. Ej! Kachno—nie marnuj młodych latek, bo te jak woda przepłyną, nie wrócą jak woda.

— Marek mnie weźmie — głosem spokojnym odpowiedziała dziewczyna.

— Marek?... i kiedy ty siebie oszukiwać przestaniesz?

— Szymku! on o tém mówił mi, gdyśmy razem do domu wracali. Nie sprzeciwiaj się ty nam—on ze mną będzie inny i ojcowizny nie straci, bo ja nie pozwolę.

Gdy Kachna mówiła, Szymon usta i oczy szeroko otworzył, tak mu dziwną wydawała się ta mowa. Marek by się przemienił dla dziéwki jednéj? dla liczka gładkiego próżniactwo by porzucił? a skąd tak nagle kochanie w serce mu powiało? nie—temu wierzyć nie mógł!

— Szymku! co ty na to? zapytaniem skończyła Kaśka.

— Ja—ja,—zająkał.

Kołowrotem latały mu myśli po głowie, że mówić nie mógł? Może Marek i wziąłby dziewczynę ale nie dla tego, że rozkazało mu tak serce, wziąłby dla grosza, który ojciec i on siostrze na wiano zachował; dla kilku morgów pola, co do niéj należało, by wszystko to puścić na marne a ją późniéj ni to panną, ni wdową zostawić. Kochał siostrę, zarąbać by się dał dla niéj, ale na to nie pozwoli.

— Szymku! co ty na to?—zapytała znów siostra.

— A no! zobaczymy; nie śpiesz się ino... niech pracować zacznie—zobaczymy!

Kaśka skoczyłą, ucałowała dłoń brata, który ją serdecznie do piersi przytulił.

— Idź, Kaśko—pomódl się do Najświętszéj panienki, by tak było, jak ty chcesz i jak ja pragnę...

Wstał z ławy, otarł usta rękawem, bo wieczerza była skończona, i wyszedł na podwórko.

Kachna długo usnąć nie mogła. Marzył się jéj Marek uginający się pod ciężkiemi snopami pszenicy, stawały kopy na polu jak chaty duże... późniéj ksiądz, ślub.

Usnęła.

Przez małe okienko wbiegł srebrny promyk księżyca do izby cichéj i patrzał w przymrużone powieki śpiącéj dziewczyny.

Na przeciw Szymonowéj zagrody stała karczemka, gdzie Chaim gospodarzył. W sześcioszybowych oknach było jasno a gwar bił z wnętrza i do uszu stojącego na podwórku Szymona dolatał. A no, i on nie gardził kwartą miodu lub sporym kielichem mocnéj gorzałki, ale upijać się nie lubił, bo to uczciwego człowieka w nierogate stworzenie przemienia. Ale zajść, pogwarzyć z sąsiadami o rzeczach przeróżnych, dowiedzieć się o tém i owém, coś nowego od przyjezdnych ludzi zasłyszéć—to zawsze się człeku przyda i rozumienie jego o świecie rozszerza. Zatkał więc kołkiem drzwi chaty i do karczmy podybał.

W obszernéj izbie zebrało się dużo ludu. Starzy rozprawiali o rozpoczętém żniwie, parobcy umizgali się do dziéwek a baby wszystkie naraz mówiły, chcąc jedna drugą przegadać. Gdy Szymon przestąpił próg, wstał od stołu parobczak młody, wysmukły jak naszych lasów sosenka, i szybko podszedł ku niemu.

— A mówiliście z Kachną, Szymonie?—zapytał cicho.

Szymon zwrócił się do ławy, stojącéj w samym rogu izby, i rzekł.

— Siadaj—gadać będziemy.

Usiedli naprzeciw i podparli się o stół łokciami. Bartek badawczo patrzał w twarz Szymona i czekał.

— Marek o Kachnę prosił—odezwał się ten ostatni.

Bartek poruszył się gwałtownie, aż ława zatrzeszczała.

— I ty mu ją dasz?—zapytał.

— Dam—odpowiedział Szymon—dam, bo Kachna go kocha. Ale dam wtedy dopiero jeżeli uczciwą pracą na tę złotą zasłuży dziewczynę.

Bartek spochmurniał jak noc.

— Dolo moja—szepnął cicho—dla czego ty mnie skrzywdziłaś tak srodze?!..

— Skrzywdziła i nie skrzywdziła—kto to wie?—rzekł Szymon.

— A jeżeli się istotnie Marek poprawi, to co?—pytał znów Bartek.

— Kachna dostanie szczęście, a wieś nasza człowieka dobrego. Czy źle?

Bartek nie znalazł odpowiedzi.

— Kumie!—rzekł po chwili—ty językiem tak rżniesz jak nasz Bartłomiéj kosą... Chciał jeszcze coś mówić, ale drzwi się otwarły i wszedł Marek.

Cichy szept popłynął dokoła, jak to bywa na stawie, gdy wiatr przybłęda oczeretem potrąci i zaszumi. Trącili się łokciami i gwar ustał na chwilę.

— Marek!

— Nie widziałem go dzisiaj z sierpem na polu.

— Pić przyszedł!—szepnął Szymon przez zęby.

Ciupała wszystkich wzrostem przenosił, a że siłę miał niepomierną i gwałtownikiem był, nie każdy lubił leźć mu w oczy. Serca u swoich nie znalazł, bo nie zasłużył się niczém gromadzie, a jakkolwiek nic złego drugim nie zrobił, rozpustował, rozum swój nad innych wysadzał a często pijany walał się w żydowskiéj karczmie pod stołem. Że był dorodny jak mało, kochały się w nim zrazu dziewczęta, ale prędko odskoczyły niby owieczki od wilka, co Marka taką napełniło złością, że pluł na świat cały a siebie przeklinał. Winni tu trochę i Marka rodzice byli, bo rozpieszczali jedynaka, a że stary miał grosza nie mało i ziemia, koło któréj pracował, rodziła dobrze, dawali synowi wielką swobodę. Gdy matka zmarła a staremu ojcu choroba odjęła nogi, Marek prędko gotowiznę z rąk puścił a zaniedbana ziemia rodzić przestała. Wkradła się bieda—

podsunął się Chaim. „Pożyczę“—mówił. „Dawaj!“ Brał Marek grosz lekki—pił i lazł w błoto. Mówiono téż i o jakimś Dyzmie, z którym się był roku zeszłego na jarmarku zapoznał i ten do reszty głowę mu przewrócił opowieściami o swobodném na wielkim świecie życiu. Od téj chwili opuścił się więcéj, myśląc ciągle o Dyzmie i mieście murowaném.

Przestąpiwszy próg karczmy, kiwnął od niechcenia głową gospodarzom i usiadł na ławie, obadwa łokcie na stół rozkładając. Był bardzo zamyślony i ponury. Szymona nie widział, bo Bartek sobą go zasłaniał a teraz sam siadłszy na drugim końcu izby, plecyma się do niego obrócił.

Przerwana na chwilę rozmowa wybuchnęła znów z całą gwałtownością; milczeli tylko Bartek i Szymon, który z podełba patrzył na ukochanego Kaśki.

Chaim zobaczył Ciupałę, podbiegł szybko, klapiąc pantoflami i dużą kwartę miodu przed nim postawił.

— Nie chcę!—rzekł Marek krótko, odsuwając podany napój.

Żyd z wielkiego zdziwienia brwi podniósł, gębę wykrzywił i dziwnie szyję wykręcił.

— To miód, co ja umyślnie dla „pana Marka“ z Wieniawy sprowadził—fajne miód!... i podsunął kwaterkę.

— Nie piję!—syknął Marek przez zęby.

Żyd zgłupiał.

— *Wuse dues*? czy to ziemia ma stanąć do nogi górami? zapiszczał, przekręcając wyrazy ze wzrastającém coraz bardziéj zdziwieniem. To miód? krzyknął w samo ucho Marka, podnosząc mu do ust kwaterkę.

Nagle stół, na którym spoczęła wściekła pięść Marka, z trzaskiem poleciał na ziemię, szyby zadzwoniły gwałtownie, starzy zerwali się z ław, baby wrzasnęły a jedna z nich potoczyła się z ławy na środek izby, krzycząc jakimś kocim głosem, co wywołało śmiéch ogólny... w ślad rozpaczliwy krzyk Chaima: „aj waj!“ zabrzmiał w powietrzu. Zrobił się tumult — śmiéch gwałtowniejszy wstrząsnął ścianami karczmy: Marek przerażonego żyda chwycił za kołnierz chałata i rękę wyciągnąwszy, trzymał go tak w powietrzu. Chaim machał rękami jak wiatrak, rozmaite figury kréślił nogami, chcąc ziemi dostać... wił się i krzywił, jakby ostatnia przyszła na niego godzina. Marek raz jeszcze wstrząsnął nim, by gruszą, i rzucił w kąt. W tém Szymon przystąpił do Ciupały.

— Marku!—rzekł—czy widziałeś, że ja tu jestem?

— Nie—ale teraz widzę i pytam: czy dasz mi Kachnę za żonę?

— Dam!—odpowiedział Szymon, jeżeli tak jak Chaimem, cepem będziesz machał.

Arendarz głowę z kąta wysunął i rudą brodą pokręcił.

— Cepem niechaj macha—odezwał się—ale Chaimem na co?

Śmiéch znowu buchnął; Szymon z Markiem opuścili karczmę.

Marek, nie mówiąc słowa, odprowadził Szymona przez drogę do chaty, a sam do swojéj zagrody się udał.

Szedł jak senny, myśląc o Kaśce; dał jéj słowo, nie wiedząc sam, jak do niego przyszło. Czy miłował on ją?—sam nie wiedział. Ładną była—no! ładną bardzo—to nic! ale dobrą jak matka rodzona. Nie śmiała się z niego nigdy; broniła go, gdy ludzie się śmieli; ukradkiem użęła mu dwie kopy pszenicy, niby to on. A co więcéj, parobek niejeden w piekielny by żar za nią skoczył, bogaty Bartek nawet, którego i dziedzic szanuje i organista; ona—jego przeniosła. Czy miłował ją?—zagadka! ale nie mógł jéj z przed siebie usunąć. Zamykał oczy—wsuwała się mu pod powieki; zatulał uszy—słyszał jéj głos uroczysty, gdy mówiła: na śmierć!.. I zimno mu się robiło, taką siłę miała w sobie ta przysięga.

Chwiał się, szedł jak senny i nie wiedział, jak i kiedy doszedł do chaty ojcowéj i próg świetlicy przestąpił.

Stary Jur leżał na słomie, ale nie spał—czekał na syna. Głowę miał zupełnie łysą, oczy zapadłe, brodę białą jak mleko. Łagodny blask księżyca przez małe okienko na twarz mu padał i stary bawił się z tém światłem cichem, wyciągał ręce i gładził powietrze srebrzyste...

Marek otworzył drzwi.

— To ty, synku?—odezwał się ojciec.

— Ja—szepnął Marek—nie śpicie jeszcze tatulu?

Stary poruszył głową.

— Nie chcę—nie chcę... napatrzyć się trzeba na świat boży—sen mnie nie minie, Marku,—długi... długi... długi...

Marek się pochylił, wziął ojca za rękę i szepnął:

— Nie gadajcie tak, tatuś—bez was mi będzie źle!

Stary wypatrzył się na syna—nigdy Marek tak miękkim nie mówił głosem.

— A co ja tobie?—rzekł. Czy w polu pomagam—dopatrzę chudobę—dla koni owsa omłócę?.. Ja tobie na nic!

Marek poruszył głową.

— Ej ojciec, ojciec...—odszepnął—kto wié czy nie wy tylko w téj chacie mnie trzymacie. Nie umierajcie, póki ja...

Zatrzymał się.

— Co Marku?—zapytał stary.

— Póki ja uczciwszym się nie stanę — dokończył szeptem prawie.

Stary nie dosłyszał słów ostatnich, bo trochę głuchy był; obrócił twarz na światło księżyca i znowu ze srebrnym bawił się blaskiem.

— Marku!—odezwał się po chwili—byłeś na polu?

— Byłem—odpowiedział syn posępnie.

— Jak tam muszą trawy pachnąć a grać komary! Toż to już piąte lato, jak ja ziemi swojéj nie widział... jak kłosów pszenicznych nie gładził, nie pił wody z krynicy téj, którą sam wykopałem na łące i dębowe cembrzyny dałem! Czy jest tam jeszcze moja krynica na łące?

— Jest, ojcze—odpowiedział Marek.

— Jaka tam woda zdrowa!... Gdybyś mi kiedy, Marku, wody z téj krynicy przyniósł?... a pszenica na Borsuczym Wygonie—musi być bujna?

— Jak las, ojcze!..—rzekł Marek ciszéj.

— Jak las!.. a ja zobaczyć nie mogę!.. Jak ona zawsze szumiała ładnie a do kolan mi się kładła, kiedym, w dobry czas, z sierpem do niéj przychodził.

Zamyślił się chwilę i znów pytał:

— Marku! a grusza Janowa stoi na zielonéj miedzy.

— Stoi, ojcze—tylko piorun, co dwie niedziele temu uderzył, brzydko korę jéj rozpruł.

Stary posmutniał.

— Sadził ją Jan, mój ojciec, który po dziadach na téj ziemi siedział i potem swoim a krwią poléwał. Poléwał i ja—na ciebie kolej teraz, Marku!..

Musnął powietrze srebrne, wspomniał raz jeszcze o krynicy na łące, o gruszy Janowéj... i zasnął.

Marek siedział na ławie i patrzył w oświetloną przez księżyc twarz ojca, który oddychał równo.

III.

Zaledwie niebo pobielało na wschodzie, gdy trzykrotne stuknięcie w małą szybkę okienka zbudziło Kaśkę ze snów przyjemnych. Zerwała się na równe nogi i nie budząc chrapiącego na całą izbę Szymona, wybiegła za próg. Przed chatą stał Marek: ostra kosa świeciła mu na ramieniu a sierp za pasem. Kaśka dużemi oczyma spojrzała na niespodziewanego a tak jéj miłego gościa.

— Kachno! chodź ze mną na pole!—jakimś dobrym odezwał się głosem.

Dziewczyna w dłoń klasnęła; Marek z uśmiechem mówił daléj.

— Ino się na mnie nie gniewaj, żem ciebie tak raniutko obudził i gnam do pracy.

— Nie praca to dla mnie lecz odpoczynek, niedzielny dzień, Marku! święto prawdziwe! Dobra dola się dla mnie zaczęła z wieczorem wczorajszym—ty o tém wiesz! Nie gniewaj się teraz ty na mnie, gdy się zapytam: kto ciebie zbudził tak rano?

— Ty, Kachno!—odpowiedział Marek.

— Ja?..

— Tak... ty!—powtórzył z mocą.—Przez nockę całą stałaś mi w oczach a rano obudziłaś; jakim sposobem, ja nie wiem, ale obudziłaś. No—chodźmy!

Kaśka poskoczyła do krynicy, umyła twarz i ręce zimną wodą, i założywszy sierp na ramię, szczęśliwa, jaką nigdy jeszcze nie była, wyszła z Markiem na ulicę.

Powoli budziła się wieś: tu i tam zaskrzypiały wrota, koguty piały na gwałt, w strzechach chat poruszyły się wróble i świergocząc, zlatywały gromadnie na ziemię, trzepocąc skrzydłami i kąpiąc się w kurzu; bociany klekotały, gotując się do wypraw zbójeckich na mokre łąki, a z kościelnéj wieżyczki dzwonek uderzył żelaznem sercem i bił ludziom na dzień dobry. Wschód się różowił, złocił—na trawach bujna rosa świeciła blaskami drogich kamieni.

Marek i Kaśka szli szybko przez wieś a tak byli zajęci sobą, że nie widzieli, co się w koło nich działo—a nie jedna gęba ze zdziwienia się otwarła, widząc Ciupałę, idącego tak rano na pole. Nasamprzód dostrzegł go organista. Kasper Kokociński, który wyszedł na próg swojego domu, w długim surducie, w butach za kolana, przypatrzyć się a u r z e, jak to lubił mówić, i być już co do pogody przez dzień cały spokojnym, spojrzał i oczom swoim nie chciał wierzyć. Zatrzymał się, dobył okulary o dużych szkłach i założywszy je na koniec ogromnego nosa, przypatrywał się bacznie idącemu z Kachną Markowi.

— Ciupała czy nie Ciupała?—pytał sam siebie ochrypłym głosem. On—na Częstochowską tabakę—on! Teraz już żaden filozof nie zgadnie, jaka dzisiaj pogoda będzie.

Wielkim palcem prawéj ręki wepchnął do nosa sporą dozę ulubionego proszku, i kichnął okrutnie.

— Katar!—rzekł zdziwiony.

Pan Kokociński od tabaki nie kichał nigdy.

Na progu karczmy Chaim aż cmoknął ze zdziwienia, widząc niezwykłe zjawisko; baby przechylały się przez płot i głowami krę-

ciły, trącały się dziewczęta łokciami i szeptać zaczęły, że Kaśka ziele jakieś dać musiała Markowi, a parobcy ruszali ramionami i śmieli się głośno, lecz mieli złość i żal na sercu. Najwięcéj jednak pomarkotniał Bartek, bo najszczerzéj Kaśkę miłował. Oparty ręką o wiadro drewniane, stojące na cembrzynie krynicy, bo właśnie koniom wodę do koryta nalewał—patrzał długo za nimi przygnębiony i smutny. Gdy znikli mu z oczu, zapuścił w głąb' krynicy wiaderko i szepnął wzdychając:

— A no—byleby ona z nim szczęście miała!

Wylał wodę do koryta.

— Pijcie koniki, pijcie... i w pole!

Weszło słońce wysoko—na polach zadzwoniły sierpy i kosy. Szymon zazierał często na łan Markowy i widział, jak Ciupała pracował, zginał się, żął to kosił, jak gdzie wypadło. Koszulę miał mokrą, jakby tylko co wyszedł z kąpieli, pot kroplisty spływał mu z czoła, sapał jak miech, lecz nie ustawał w pracy. Zdawało się, że mu jeszcze więcéj przybyło sił, kładł snop za snopem i ledwie słońce naznaczyło południe, dwie duże kopy z lichéj pszenicy naskubał i postawił. Im zboże bujniejsze tém sporzéj idzie praca, ale gdzie źdźbło marne, tam trud nie mały: wiedzą o tém gospodarze i dziwowali się bardzo Markowi. Daremnie Kaśka w zawody z nim iść chciała, ni sił ni nóg jéj nie starczyło; snopów kilkanaście do kopy brakowało jéj jeszcze, gdy Marek rzucił sierp o ziemię i zawołał, by z nim razem śniadanie spożyła. Usiedli na łączce koło krynicy i zaczęli się częstować.

Dzień był bardzo gorący, rozpalonego powietrza najmniejszy wietrzyk nie ochładzał. Cicho było na łączce, tylko koniki polne skakały i świerszcze zgrzytały cienko w trawach. Do odpoczywających przyszedł Szymon i stanął przed nimi.

— A jak tam, Marku, praca idzie?—zapytał.

— A no — widzisz! — odpowiedział zapytany, ruchem głowy wskazując użęte kopy.

Szymon uśmiechnął się i rzekł.

— Jabym tego i na swojéj nie dokazał pszenicy. Ha, Marku! chciéj tylko a długi żydowskie pospłacasz i staniesz się gospodarzem Bartkowi równym.

— Nie prędko to może być a może nigdy—szepnął Marek ponuro.—Pole Bartkowe to nie moje, z piasków nie urodzi się złoto.

— A ja wiem,—rzekł Szymon,—że ludzie w piaskach właśnie złoto znajdują.

— Jéno nie u nas—odpowiedział Marek.

— Znajdziesz i na swojém polu, jeżeli tak jak dziś popracujesz lat z pięć.

— Lat z pięć—mruknął Marek.

— A tak—Marku, wtrąciła Kaśka—pracować będziemy razem.

— Z tobą—to może! no—do roboty! bo jakiś pies mię pędzi.

— Nie ja?—zawołała Kaśka, patrząc na miłego błękitnemi oczyma.

— Tfu!—głupstwo mi się wyrwało—krzyknął Marek. Ty—ty, Kachno, jak król jaki panując nademną.

Chwycił ją wpół i do serca przycisnął.

Zadzwoniły sierpy, zaczęli znowu pracę ciężką koło lichego zboża; przeplatanego ostem i zielskiem różném. Szymon na swoje wrócił pole.

Na polu Bartkowém, które rozłożyło się w środku wieśniaczych łanów, z przyległych pól zebrali się pracownicy, i żeby weselėj im czas przeszedł, śniadali razem. Zobaczywszy Szymona, zaczęli wołać na niego, by podszedł.

— A zbliż się tutaj—wołali jedni.

— Mów, jéno prawdę,—krzyczeli inni.

— Co chcecie?—pytał Szymon, podchodząc do gromady.

— Czy Kaśka warzyła ziele jakie w piątek? czy może kamieniem dziewannę przygniotła i póty jéj nie uwolniła, póki ta nie spełniła jéj życzeń?

— Co? dla czego?—pytał Szymon z uśmiechem, jakby nie wiedział o co rzecz idzie.

— Urok rzuciła na Marka!

— Czar-ziele mu dała—wołano.

— A niech, jak chce, będzie—rzekł Szymon,—byle się chłop przemienił!

— Czy wiész, co powiedział nasz Kokociński, zobaczywszy dzisiaj Marka idącego przed świtem na pole?—odezwał się ktoś z tłumu.

— A no—co?—zapytał Szymon.

— Iż prędzéj spodziewał się, że jego żonka gadać przestanie.

— Za wiele chciał!—ktoś huknął. To jedno, co byś kazał piorunowi, by nie trzaskał, gdy burza się sierdzi. Prosisz go: zmilknij! a on—rym!..

Śmiéch buchnął i posypały się żarty.

Nieśmiał się tylko Bartek, który, markotny bardzo, stał na uboczu przy kopie, skubiąc bezmyślnie snopki pszeniczne. Szymon podszedł do przyjaciela i dłoń mu położył na ramieniu.

— Skrzywdziliście mnie, Szymonie—odezwał się Bartek.

A Szymon na to:

— Żeby Kaśka ciebie przeniosła nad Marka, dał bym sobie prawicę uciąć. Ale się stało inaczéj!.. Com rzekł, tom rzekł. Ty Bartku rozum miéj a rad bądź, że zacny człek nam przybywa. Nie tylko siebie kochać potrzeba, czasem i własny łeb się daje dla szczęścia czyjegoś...

Poszedł na pólko swoje i żąć zaczął.

We wsi zaś, skoro tylko organista żonie powiedział, czego dzisiaj rano był świadkiem, pani Kokocińska, uprzedzając męża, poleciała z niezwykłą wieścią do księdza proboszcza, który ruszył głową i wielkiemi palcami młynkując.—

— Chwała Bogu! chwała Bogu!—powtarzał.

Załatwiwszy się z księdzem, pani organiścina kopnęła się do Chaimowéj, rozgniewanéj bardzo na Marka za despekt, jaki jéj mężowi wczora wyrządził. Opowiedziała wszystko z naddatkami własnego wynalazku.

— Samam widziała, jak Kaśkę wziął na barana i w pole zaniósł...

Chaimowa ze swéj strony chciała jéj opowiedzieć, o wczorajszym strachu swego małżonka, ale Kokocińska, która lubiła gadać nie słuchać, rzekłszy dwa razy: niémam czasu—niémam czasu! do dworu ruszyła. We dworze miała znajomości z klucznicą i panną służącą, z ekonomową ba! i z guwernantką nawet. Dwóch godzin nie upłynęło a wiedzieli wszyscy o Marka poprawie, o Kaśce i szczególniéj jéj jeździe na Marku, do czego przybyły i inne, niezwykłe wiadomości pani organiścinéj.

Późnym wieczorem, Marek z Kachną wrócili z pola. Radośną twarzą patrzyła dziewczyna na zabiegające jéj drogę przyjaciółki a i Marek z fantazyą na tył głowy nasunął kapelusz, ubrany kilku kłoskami pszenicy; jedną połę granatowéj sukmany za pas włożył i trzymając się pod boki, szedł raźno, wąs kręcąc i białe zęby w uśmiechu „paskudnym dziéwkom“, jak je nazywał, pokazując.

Tak upłynęło tygodni parę. Od świtu do nocy Marek jak wół pracował, do karczmy nie zachodził, zdawało się, że się zupełnie przemienił, tylko, jak zawsze, był małomówny i często w zadumę zapadał. Szymon myślał o siostry weselu, którą chciał uczciwie wyposażyć, bo kochał ją jak oko w głowie i więcéj może. Niech no się tylko żniwa a wozowica skończą, zagrają skrzypki weselne; byleby stary Jur dożył téj chwili i pobłogosławił syna. A staremu z dniem każdym było gorzéj: nie stękał, nie narzekał, ale jak lampa przygasał. Kaśka pomagała Markowi pielęgnować starego ojca; zamiotła dawno nieporządkowaną chatę Ciupały, kupiła kur kilka i posadziła na jajach, parę świnek zarochało w chléwku a i krówka,

kupiona jéj przez Szymona, znalazła się w oborze, żeby stary Jur miał mléko świéże a Marek widział jak to wygląda ładnie chata schludna, podwórko zamiecione porządnie i obórka nie pusta. Kaśka na dobre rozgospodarowała się w Markowéj zagrodzie. Obieliła chatę, kazała Markowi na nowo pokryć dach słomą, któréj dostarczył Szymon, wyrównać kołki w upadającym płocie i wrota zrobić, których już dawno nie było, a kupy śmieci i gnoju na pole wywieść. Milcząc Marek robił wszystko, choć czasami po karku się drapał. Odzwyczaił się hultaj dawno od pracy, teraz od świtu do nocy musiał harować. Czasami, gdy Kaśki nie było a stary Jur spał, patrzał na odnowioną sadybę i dziwował się bardzo, że tak dobrze wyglądała, ale czasami zmęczony mruczał pod nosem.

— Pracuj i pracuj, aż kości bolą, a inni ludzie balują po miastach, jak Dyzma mi powiadał, i niby panowie żyją. Ta Kaśka choroby mię nabawi, już i teraz siły ni krzty!

I mrucząc tak, przewracał, by słomę, ciężkie słupy dębowe, brał siekierę i łupał jednym zamachem, to ciosał kołki do płotu albo nową cembrzynę układał.

Kaśka była szczęśliwa, skakała jak wróbel koło Marka, że nieraz i jemu zaśmiać się przyszło. A dni mijały szybko, słonko coraz częściéj za chmury się chowało i patrzało jesienią. Pożółkły listki na drzewach, skończyły się w polu roboty, lada dzień a weselne skrzypki zagrają. O téj szczęśliwéj chwili myślała Kaśka i drżała z radości, przytulając dłonią serce rozskakane. Chata Markowa i całe obejście porządkiem świéciło, gotowe już było wszystko do przyjęcia gosposi młodéj, stary Jur nawet więcéj sił nabrał i wsparty na syna ramieniu, korzystając z ostatnich, ciepłych dni jesieni, wychodził przed chatę, siadał na przyźbie, grzejąc się w ciepłych promieniach słońca. Kaśka ślubną wyprawę kończyła, poduszki i pierzyna już były gotowe, jeszcze krótki tydzień poczekać, wyjdzie zapowiedź trzecia i... ślub!

Głębokie westchnienie poruszało pierś dziewczęcą na myśl o upragnionym tym dniu; rumieniły się jagody, źrenice jak dwie gwiazdy błyszczały zapalone wśród jasnych błękitów. Ze drżeniem serca, z radością i niepokojem przyszłéj oczekiwała niedzieli.

Marek jednak czuł strach jakiś w sercu na myśl zbliżającego się ślubu. Czuł, że Kaśka nie pozwoli mu chwili jednéj spróżnować, że w napędzaniu go do roboty pomagać jéj będzie Jur stary, wiedział, że należéć nietylko do siebie będzie: gospodarka, dom, żona a późniéj... no, późniéj dzieciątko być musi koniecznie. Myśl więc o spódnicy dla żony, o pieluszkach dla dziecka... ej źle! Gdyby to jeszcze pole jego, jak Bartkowe rodziło, nie markociłby

się tak, bo o jutro byłby spokojny, ale on musi ciężko pracować, a czy się to na co przyda? Nie! na piachach jego lepsza już nie urodzi pszenica, kiedy żyto z ziemi wyłazić nie chce.

Tak myślał i smucił się bardzo.

Była to przedostatnia niedziela przed ślubem. Dzień ciepły, jasny. Marek wyprowadził z chaty starego ojca i usiadł z nim na przyżbie. Jur czuł się dnia tego zdrowszym niż kiedykolwiek, otwartemi szeroko oczyma patrzył na słońce, które ku zachodowi śpiesząc, ukośne rzuciło promienie na blaszany dach kościelnéj wieżyczki i złotym blaskiem ramiona krzyża na domku Pańskim oblało. W powietrzu było cicho, dzwonek tylko śpiżowém bił sercem, na nieszpory ludzi wołając. Stary Jur przeżegnał się i zaczął odmawiać pacierze. Marek pochmurném okiem patrzał przed siebie. Nagle posłyszał jakieś klaśnięcie i dłoń czyjąś na swoich ramionach uczuł.

Spojrzał i uśmiéchnął się lekko.

Przed nim stała Kaśka, zarumieniona, śmiejąca się; pochyliła nieco głowę i jasnemi oczyma w twarz mu patrzyła.

— Pójdziesz ty na nieszpory, Marku? — spytała.

— Z tobą to pójdę — odpowiedział i zwrócił się do ojca.

— Zaprowadzę was tatuś do izby, wstawajcie!

Stary ruchem głowy znać dał, że nie chce.

— Idźcie się położyć — odezwała się Kaśka — nim wrócim wieczór będzie, a wam nie dobrze siedziéć na chłodzie.

— Nie, nie, mnie tu dobrze i ciepło—odezwał się Jur.— Niech się słońcem nacieszę a powietrzem pobawię, bo mi nie długo już tego.

Nic nie pomogły nalegania, stary się uparł i został; Marek wziąwszy Kaśkę za ręce, wyszedł na ulicę, kierując się ku kościołowi.

Śpieszył ludek gromadnie do domu bożego, zdaleka już słychać było organy i nosowy śpiéw Kokocińskiego. Narzeczeni wmieszali się do tłumu i szli razem.

Nagle za nimi dał się słyszéć kilkakrotny trzask z bicza i okrzyk:

— Z drogi!

Gromadka się rozstąpiła, ciekawe oczy zwracając w stronę, skąd okrzyk pochodził.

Środkiem ulicy toczyła się czterokonna kareta; to do dziedzica jechał graf Dulski z Gajowiec z wizytą. Kare konie w lejc zaprzężone szły rączo, woźnica rżnął z bata a przy nim na koźle siedział lokaj hrabiego w kapeluszu wysokim, w długim, czekoladowego koloru, surducie o błyszczących niby złoto guzikach. Trzy-

ınał się pod boki a z taką miną patrzał na idących, jakby to on siedział w karecie a pan hrabia na koźle.

— Dyzma! — krzyknął nagle Marek.

Lokaj kiwnął od niechcenia głową, niby król jaki, woźnica palnął raz jeszcze z bata i powóz się potoczył szeroką, lipową aleją do dworu prowadzącą; duże kłęby pyłu w ślady za nim pobiegły.

— Bodaj cię jasne pioruny!... — odezwał się ktoś z tłumu — całkiem oczy zasypał.

— Pfu!—splunął inny i kaszlnął—jakbym obiadu dziś nie jadł, garniec piachu w gębę mi wpakował...

Śmiéch zabrzmiał, posypały się dowcipy i drwinki, i daléj szli ku kościołowi, zkąd coraz głośniéj słychać było śpiéw Kokocińskiego i muzykę organów. Marek tylko z miejsca się nie ruszył, oczy i gębę otworzył, patrząc za znikającą karetą.

— Marku! — odezwała się Kaśka — co ci?

— Czy i ciebie tak prochem zasypało, jak mnie? — rzucił ktoś z boku.

— Nie wytrzészczałby tak oczu — odrzekł głos drugi.

— Marku! — ozwała sie znów Kaśka, trącając go w ramię.

Ale Marek nie ruszył się; stał, jakby go kto w ziemię zarył. Po kilkakrotném dopiéro wołaniu Kaśki, wstrząsł się i coś mruknął pod nosem.

— Co tobie? — pytała dziewczyna.

— A no, nic — odrzekł — ot tak, nic!...

Jakiś parobek w nos mu się zaśmiał.

— Milcz jucho! — wrzasnął Marek, pięść podnosząc, i gdyby nie Kaśka, która sobą zasłoniła niefortunnego żartownisia, porządnąby dostał pamiątkę.

Po skończoném nabożeństwie, Marek szybko wyszedł z kościoła i pobiegł do dworu.

Ściemniało już na dobre, gwiazda jedna po drugiéj zapalała się na niebie, powietrze chłodne było, jakby zima zdaleka posyłała swój pocałunek ziemi. Marek wszedł na dworski dziedziniec widząc światło w oknach czeladniéj izby w oficynie, przysunął się do ścian i okiem ciekawém wewnątrz spojrzał. Cała służba dworska była zebrana i siedziała na ławach, po środku zaś stał lokaj pana hrabiego, świecił guzikami długiego surduta i głośno coś mówił, gładząc raz wraz niewielkie bokobrody, ostrzyżone krótko, przy samém niemal skórze. Marek Dyzmę dawniéj na jarmarku poznał i zaprzyjaźnił się, ale wtedy był posługaczem, teraz, jak widać, kamerdynerem pańskim. Chciał się z nim zobaczyć, bo go bardzo dla jego gadania polubił; ale teraz odstraszały go błyszczące guziki, że na

myśl podania mu ręki mdło się koło serca robiło. Przezwyciężył strach jednak, otworzył drzwi czeladnéj i wszedł do środka. Dyzma nie widział go, bo stał do drzwi obrócony plecyma, Marek więc skłonił się milcząco obecnym i usiadł na brzegu ławy, słuchając rozgadanego przyjaciela.

— U nas, w Warszawie tak—kończył Dyzma. — Zrana wizyty, po obiedzie wizyty a wieczorem do teatru na komedye. Co ja się tam nasłucham i napatrzę! a zawsze siedzę wysoko nad wszystkimi i klaszczę w łapy, kiedy mi się podoba. U nas, w Warszawie tak!...

Palnął pięścią o stół i obejrzał się, chcąc wiedziéć jakie wrażenie na słuchaczach wywarł. Wzrok jego padł na Marka, który szybko powstał, zbliżył się do znajomego i rękę wyciągnął. Dyzma wydął policzki, uśmiéchnął się jednak i dość uprzejmie głową kiwnął, podając dłoń Markowi.

— A... a... Marek!... kopa lat, kopa lat! — zawołał. — Nie raz chciałem się z tobą zobaczyć, ale to nam, z Warszawy, ciężko się wybrać.

Uderzył go po ramieniu.

— No, co? jak? — dodał.

Marek z zachwytem patrzał w twarz przyjaciela, który stał przed nim w surducie długim i złoconemi guzikami świécił mu w oczy.

— A no, różnie bywa — odpowiedział.

— Tęskniłeś za mną? — pytał znów Dyzma.

— Myślało się tam o was nie raz i chciało się zobaczyć a pogadać o rzeczach różnych.

— Mamy czasu dość teraz. Mój graf spać się położył, bo podróż go zmęczyła, a mnie się spać odechciało, kiedym ciebie zobaczył. Wyjdziem na podwórko i gadać będziemy.

Nałożył kapelusz z gwiaździstą kokardą z boku, i pożegnawszy bardzo misternym ukłonem czeladź dworską, wyszedł z Markiem.

— Dokąd pójdziemy? — zapytał, przestępując próg.

— Jeżeli łaska a wola, to do mnie. Mój stary w niczém nam nie przeszkodzi.

Wyszli za bramę, kierując się ku chacie Markowéj.

— Jakże tam tobie tu? — odezwał się Dyzma.

— A no, jak zwyczajnie na wsi! haruj i haruj dzień cały przy robocie, orz piachy a biéda na kurzu siedzi.

Westchnął.

— Nie to, co u was — dodał — w Warszawie!

Dyzma pogładził się po twarzy i rzekł:

— Ho-ho! jużci, że nie to. U nas w Warszawie tak: gdzie spojrzysz to komedye, gdzie obrócisz się to muzyka. Na ulicach korbami kręcą a grają! człek się cywilizuje i świata używa; nie paskudzi się z gnojem i piachami jak wy! co? nie prawda?

Marek westchnął i potwierdził.

— Ale, a! — zawołał Dyzma — kiedym tu przyjechał, pytałem zaraz o ciebie i ludzie mi powiedzieli, że się żenisz.

— A no, tak! — mruknął Marek.

Dyzma śmiać się zaczął.

— Oj wieśniaki, wieśniaki! aby się z was który paciérza nauczył, do żony bierze się zaraz. Oj, wieśniaki!

— A u was w Warszawie nie żenią się? — zapytał Marek.

— U nas w Warszawie tak: człek o ożenku ani pomyśli. U nas inne maniery i zwyczaje. Tam panny na nas, nie my na nie mrugamy. U nas w Warszawie tak!

I rozpowiadał daléj lokaj pana hrabiego o cudach i życiu wielkiego miasta, drwiąc z wieśniaków, którzy grzebią się w piaskach, pracują dużo a mało mają. Słowa Dyzmy dziwnie się obijały o duszę Marka, paliły ogniem, czuł, że mu źle się robi, ale nie przerywał, zaparł dech w piersi i słuchał.

Tak idąc, zbliżyli się do chaty Marka.

Niebo było pogodne, księżyc podniósł się wysoko i srebrnym blaskiem drzémiącą oblał wioskę. Oświécił chatę Markową i jakąś postać siedzącą na przyzbie.

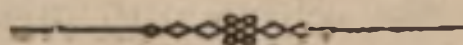
— A to co? mój tatuś jeszcze nie śpi?—zawołał Ciupała i wprowadzając gościa za wrota, zbliżył się do siedzącego i patrzącego w księżyc Jura.

— Tatulo, zmarzniecie, noc zimna. Co wam się stało, że dotąd do chatyście nie poszli? Czy Kachna nie zachodziła do was?... A no, to ja powinienem o was pamiętać, wybaczcie! Pora wam spać.

Jur nic nie odpowiedział, patrzył tylko w księżyc na pół przymglonemi oczyma.

Marek ujął go pod ramię, ale stary dziwnie ociężał, sprobował go podnieść, lecz siwa głowa ojca pochyliła się i bezwładnie na pierś opadła. Marek krzyknął i trząść się zaczął... stary Jur nie żył.

(*D. n.*) *Kazimierz Gliński.*





Z PSYCHOLOGII MUZYKI.

Czytaliśmy niedawno w czasopiśmie „*Revue philosophique*“ zajmujący artykuł Karola Levêque p. t. „*Psychologie du Quatuor*“. Autor przyznaje muzyce dwojaki wpływ: działa ona na zmysł muzyczny t. j. zmysł słuchowy czyli ucho, które pieści, drażni, lub bawi niezależnie zupełnie od znaczenia utworu; działa na uczucie muzyczne, t. j. pobudza wrażliwość naszéj istoty moralnéj, wzbudza w nas smutek, radość, przez swój element psychologiczny, przez stan duszy, jaki tony wyrażają. Otóż autor pragnie koniecznie dowieść, że wskazówki słowne, tytuł dobrze dobrany, nazwy określające tendencye pojedyńczych części utworu muzycznego, objaśniają charakter jego i znaczenie i w pomoc przychodzą wyobraźni, która łatwiéj i trafniéj interpretuje utwór; te lekkie wskazówki, przewodnicząc wrażeniom słuchacza, nadając pewną określoność uczuciom jego, podnoszą wielce urok i interes danéj kompozycyi.

W szeregu artykułów pod ogólném mianem „*l'Estétique musicale en France*“ rozbierał autor znaczenie tekstu słownego dla muzyki instrumentalnéj, dla symfonii; przedmiotem artykułu, który nas tu zajmie, jest muzyka pokojowa, za któréj formę najgłówniejszą uważa Levêque kwartet; trio, kwintet, sekstet, koncert, sonata, to tylko formy pochodne, rozszerzone lub ściągnięte.

Kwartet uważany jest za najczyściejszą formę muzyki. Nie towarzyszy mu program, któryby słowami objaśniał jego znaczenie; nie ma żadnego spisu rzeczy, rzadko kiedy posiada nazwę, tytuł, oznacza go się zwykle tonem, w którym jest pisany, lub zwyczajnym numerem kolejnym. Ten zupełny brak objaśnień przy utworach kwartetowych nasuwa mniemanie, że teoretycy, krytycy i słuchacze nic w nich innego nie widzą nad miłą uchu kombinacyą tonów.

Byłby to więc jedynie szereg form dźwięcznych i rytmicznych, zgoła nic nie wyrażających, pozbawionych znaczenia psychologicznego, nie pobudzających wyobraźni i uczucia. Jednakże tak nie jest.

Kwartet jest mową tonów, wyrażającą rozmaite stany duszy. Co nam jednakże pomaga w interpretowaniu tego utworu? Posłuchajmy, mówi p. Levêque, jak Eugeniusz Sanzay (1) komentuje te utwory, pozbawione tytułu i słów objaśniających. Oto jak objaśnia *andante* jednego z trzech kwartetów Beethovena, poświęconych hrabiemu Razumowskiemu, nazwane *andante quasi allegreto*: „Następuje jako *andante* temat słodki i smutny jak pieśni ludów północnych, z pośród pieśni tych zdają się naraz wybuchać wszystkie bóle artysty.“ Ten krótki komentarz składa się z dwóch części. Pierwsza zaznacza tylko to, co muzyka sama przez się zdolna jest wyrazić: słodycz i smutek niejasny, nieokreślony. Druga obejmuje rys charakterystyczny, określenie ściślejsze, wyraz co najmniéj prawdopodobny wszystkich bólów Beethovena. Zkąd pochodzi ta siła wyrażenia. Bez wątpienia z wyobraźni interpretacyjnéj muzyka-psychologa. Ale ta wyobraźnia czerpała dane téj interpretacyi we wspomnieniach życiorysu Beethovena, wspomnieniu, które zastępuje komentarz słowny, objaśnienie, program. Levêque przytaczając głębokie sądy Sanzay'a, Berlioza (2) i innych o niektórych utworach muzyki kameralnéj, przypisuje właściwe pojmowanie rzeczy, odczuwanie zawartych w nich piękności, znajomości życia, sposobu myślenia i stanu duszy mistrza. Ta znajomość jest im przewodnikiem w należytéj interpretacyi utworu.

Zresztą artysta prawdziwy, muzyk estetycznie wykształcony, człowiek wrażliwy na piękno w sztuce, dopatrzy się nici przewodniéj w kwartecie wtedy nawet, gdy ten pozbawiony jest wszelkiéj wskazówki słownéj, wszelkiego programu. Na dowód, jak indywidualną i dowolną bywa w takich razach twórczość wyobraźni, przytacza p. Levêque następujący ustęp z dzieła Sanzay'a: „Książe Golicyn, na którego żądanie Beethoven napisał te kwartety, posłał je Baillotowi z prośbą, aby mu dał swoje zdanie o tych kompozycyach mistrza. Oto jak Baillot je zdefiniował. „Beethoven cię wprowadza w świat nowy; przebywasz okolice dzikie, chodzisz po brzegach przepaści; noc cię otacza; budzisz się i jesteś przeniesiony w cudny krajobraz, raj ziemski się otwiera, blask słońca wesoło ci przyświeca, byś lepiéj przypatrywać się mógł wspaniałościom natury.“ Takie objaśnienie powstało w wyobraźni wielkiego mistrza, pobudzonéj

(1) Sanzay: *Haydn, Mozart, Beethoven, étude sur le quatuor.*

(2) Berlioz: *A travers chants.*

powyższemi kwartetami. Ale inni inaczéj je objaśniali. „Dla jednych te ostatnie dzieła są nieuzupełnionym rezultatem bolesnego życia autora; inni przeciwnie, widzą tu ideał urzeczywistniony, punkt doskonałości mistrza.“ Tak więc audytoryum wykształcone i przygotowane tłómaczyło sobie te dzieła dowolnie i rozmaicie; jednakże oceniło i odczuło piękności utworu, chociaż każdy je na swój sposób pojmował. Ale co się dziać będzie ze słuchaczem nieprzygotowanym artystycznie, pyta Levêque. Otóż z pierwszego razu nic a nic nie rozumié, pozostanie zupełnie obojętny a może i znudzony; po wielokrotném wszakże wsłuchaniu się w te formy, przemówią one wreszcie do niego. *Adagio*, które jest niczém, gdy go się nie rozumié, przez wsłuchanie się w nie staje się głosem znajomym, zrozumiałym, który płacze i żali się, jest niby głosem istoty żywéj, która zaczyna budzić zajęcie nasze, staje się duchem, którego pojmować zaczynamy. Taki jest owoc mozolny wielokrotnego wsłuchania się audytoryum w utwór muzyczny. Ale owoc ten daleko szybciéj dojrzéć może. Proste dodanie tytułu ułatwi nam zrozumienie tendencyi kompozytora, skieruje na pewne określone tory myśl i uczucie słuchacza, dany utwór nie będzie dlań zrazu oderwaną tylko kombinacyą dźwięków miłych, nie będzie dlań znakiem zapytania, na który po kilkakrotném dopiero wsłuchaniu się odpowiedź znajdzie.

Być zrozumianym i odczutym przez słuchacza, jest pragnieniem mistrzów i dla tego ci, wiedzeni niekiedy instynktem artystycznym, dodają wbrew prawidłom przyjętym objaśnienia słowne, niby drogowskazy po szerokiéj dziedzinie wrażeń muzyki. Ostatni kwartet Haydna złożony tylko z pierwszego kawałka i z menuetu, w zbiorze Imbault'a noszący nazwę: Canon Haydna, tę właśnie posiada osobliwość, iż nosi frazes wokalny, którego słowa tak brzmią: „*Hin ist alle meine Kraft, alt und schwach bin ich.*“ Jakkolwiek Carpani, historyk i przyjaciel Haydna, twierdzi, iż frazes ten nie ma na celu wskazówki naukowéj, a jest wprost tylko tkliwém przypomnieniem się osłabionego starca przyjaciołom, to jednakże słowa te, dodane do kwartetu, widocznie miały na celu ściśléj określić tkliwość jego. Autor wiele jeszcze podobnych przytacza przykładów, dowodzących, że komentarze do muzyki, czerpane bądź to ze znajomości szczegółów życia mistrzów, bądź z objaśnień słownych, dodanych przez kompozytora, rzucają światło na charakter utworu i zrozumienie jego ułatwiają.

„Przypuszczam, mówi Levêque, że siedzę w otwartém oknie drugiego piętra w Paryżu, i że z dołu dochodzi mnie świeży, piękny głos sąsiadki, śpiewającéj poprawnie śliczną melodyą romansu, któ-

rego słów dosłyszéć nie mogę. Rozkoszuję się dźwiękami, melodyą i wykonaniem; gdy w tém wchodzi przyjaciel mój i powiada mi: wiész, co twoja sąsiadka śpiewa, „Poranek majowy“ Melchiora (1). Jakkolwiek i teraz słów pieśni nie słyszę, to jednakże te dwa słowa: „Poranek majowy“ roztoczyły przed okiem mojéj wyobraźni barwy tęczowe ślicznego poemaciku, i teraz w pełni doznaję czworakich wrażeń każdéj doskonałéj muzyki instrumentalnéj i kameralnéj, wrażeń dźwięku, melodyi, wykonania i treści.“

„Co (kończy Levéque) powiada każdy instrument, co sobie instrumenty między sobą mówią, co one do nas przemawiają, tego pragnie dowiedziéć się umysł słuchacza. Jeżeli nic w pomoc nie przychodzi jego wyobraźni muzykalnéj, szuka ona rozwiązania długo i mozolnie a odnajduje je niekiedy późno, skąpo i źle, co psuje uciechę estetyczną. Kilka słów kompozytora to klucz, który drogę otwiera wyobraźni. Jedno słowo nieraz starczy. Czemuż je pomijać, czemu go odmawiać? Czyż nie dzięki temu słowu, obok udziału zmysłu muzycznego tj. władzy pojmowania tonów muzycznych, powstanie także udział uczucia muzycznego, tj. władzy rozkoszowania się dźwiękami jako wyrazem duszy ludzkiéj.“

Jakkolwiek bez zaprzeczenia dużo jest prawdy w tém, co twierdzi Levêque, na sąd jego wszakże bezwzględnie zgodzić się nie można. Dla słuchacza pozbawionego wykształcenia estetycznego, poetycznego polotu, a przedewszystkiém zdolności zrozumienia melodyjnéj kombinacyi tonów, cały nawet poemat słowny podłożony pod muzykę duszy jego na wrażenia jéj nie otworzy. Kto zaś wrażliwy jest na harmonią dźwięków i osłuchany z dobrą muzyką, czyj smak wykształcony jest na wielkich mistrzach, dla tego słyszéć to znaczy czuć i rozumiéć. Słowo i pieśń, dwie potęgi razem złączone, zdwajają bez wątpienia siłę wrażeń estetycznych i psychologicznych. Zapewne, że podkład słów Ujejskiego podnosi skalę wrażeń, jakie dać mogą utwory Szopena, ale czyż i bez słów „Dzwonów“ Marsz żałobny nie wstrząsa duszą słuchacza wybuchami szalonéj rozpaczy i nie wzrusza do głębi cichą skargą łagodnego smutku. Znam ludzi bardzo wykształconych, wrażliwych na potęgę słowa, których poruszy elegia Ujejskiego, a dla których potężne akordy „Marsza“ Szopenowskiego, są tylko chaotyczném brzmieniem; ci z uczuciem deklamować będą słowa poety, napisane do mazurków Szopena, a w tych ostatnich odczują może rytmiczność popularnéj i swojskiéj nuty, ale przebrzmią dla nich niepostrzeżenie subtelności piękna i głębie uczucia smętnego w utworach tych roz-

---

(1) Nazwa fikcyjna, zmyślona przez autora.

lane. Znałam raz natomiast prostego żydka, który przychodząc do ojca mego za interesami, na dolatujący go z salonu odgłos nokturnu Szopena, stawał w przedpokoju zasłuchany w niemém zachwycie i łzę ocierał z oka.

Zdaje mi się, że Levêque z nieco mylnego wychodzi stanowiska. Nie przez pobudzanie wyobraźni dojść możemy do zrozumienia dźwięków, ale wprost przeciwnie zrozumiane dźwięki wyobraźnię naszą pobudzają. Albowiem przez wrażenia zmysłowe, do wrażeń dochodzimy psychicznych i estetycznych.

Weźmy np. Preludyum Szopena Op. 28 N. 3; pogrąża ono nas w miłe upojenie marzycielskie; tu bowiem pełna prostoty kombinacya tonów, wciąż powtarzająca się w akompaniamencie perlistym lewéj ręki, przypomina jakiś ruch jednostajny niby goniących się fal wodnych; pobudzona tém wrażeniem zmysłowém wyobraźnia z łatwością odtwarza piękny krajobraz leśny, w którym wesoły potok górski stacza się lekko, żywo i cicho po pochyłości i z łoskotem ginie śród gąszczu bujnéj roślinności leśnego parowu.

Trudno nie przyznać, że nokturn Szopena, tak zwany szwajcarski (Opus 15 N. 2), zyskuje na przejrzystości poetyckiéj dla słuchacza uprzytomniającego sobie wspaniały poemat Słowackiego, który mistrza natchnął. Ale czyż dla prawdziwego muzyka nokturn ten sam przez się nie brzmi echami górskiemi Alp i świeżą kaskadą tonów. Levêque, przytaczając ustęp z pamiętników Beethovena z téj epoki życia, w któréj miotały mistrzem bóle i cierpienia moralne, utrzymuje, że ten tylko, kto zna wyrażoną tam skargę, zrozumie *Adagio* w 106-éj Sonacie. Otóż wydaje mi się, że zrozumie je przedewszystkiém ten, czyj zmysł słuchowy przyjąć jest wstanie wrażenie téj nader skomplikowanéj kombinacyi tonów. Ale temu tylko wpiją się one w samą głąb' duszy, kto sam cierpiał i w tych jękach cichych, nieprzebranym tchnących smutkiem, odnajduje bóle serca własnego. Któż nie zachwyca się pięknością krajobrazów żywéj natury. Działają one wprost na zmysły nasze: okiem ogarniamy malownicze grupy gór, skał i lasów, gonimy wzrokiem po dalekim widnokręgu fantastyczne kształty obłoków, śledzimy orła po przestworzu szybującego, przed nami ścielą się kwieciste błonia doliny, ucho nasze pieści tysiące odgłosów natury, upajamy się wonią świeżéj i barwnéj roślinności. Wyobraźnia nasza, tém pięknem natury rozkołysana, odrywa się od tych konkretnych przedmiotów działających na zmysły i snuje obrazy jakieś oderwane, swoiste; ogarnia nas wtedy spokojne, smętne uczucie dalekich wspomnień, lub błogie uczucie szczęśliwości, lub wreszcie wiary i nadziei uczucie w cichym zachwycie ku Bogu nas unosi. Z grupy ludzi wrażliwych na wspania-

łości natury i zachwycających się pięknem danego widoku, każdy stosownie do stanu duszy swéj i osobistéj podatności do uniesień, marzeń i wspomnień, pogrąży się w sobie i inaczéj czuć i marzyć będzie, chociaż każdemu przyświéca ten sam blask słoneczny, te same wonie niosą pola i łąki, ten sam śpiéw zawodzi ptastwo leśne. I w tém właśnie nieokreśloném uniesieniu leży tajemnica bezmiernego uroku natury, pociągającego dusze poetyczne i estetycznie wykształcone.

Podobne wrażenia daje nam muzyka.

Słyszymy sonatę Beethovena, słyszymy harmonią tonów, słyszymy kombinacyą dźwięków to słodkich i głębokich, to burzliwych, dzikich i szalonych; naprzemian jęk, płacz i skargę, wesele i radość, swary i łagodne tony zgody i miłości. Myśl, rozbujana temi falami pieśni, snuje przędzę swoistą na tle konkretnych wrażeń zasłyszanych dźwięków a w piersi słuchacza budzą się jakieś nieokreślone marzenia, jakieś obrazy urocze, jakieś dźwięki przeżytych łez i bólów, lub przeczucia spodziewanych radości. Coś w nas płacze i skarży się lub téż radością rozpiera pierś naszą, a to coś tak nieujętne, tak senne, marzycielskie i rozkoszne lub duszą naszą wstrząsające, stanowi potęgę muzyki i węzeł łączący kompozytora, wykonawcę i słuchacza.

Bronisława Lande Grynfeldowa.





PRZYCZYNEK DO BIOGRAFII
ANDRZEJA MORSZTYNA.

Przeglądając Ostrowskiego „Swadę polską i łacińską (Lublin, 1745) znalazłem między mowami weselnemi (str. 3—6) mowę (Bogusława) Leszczyńskiego z następującym napisem: Dziękowanie za I. P. Gordonównę od IM. Pana Morsztyna Referendarza koronnego przez I. W. IMci P. Leszczyńskiego podkanclerzego koronnego w Warszawie podczas Sejmu, Anno 1659. Jakkolwiek w napisie przy nazwisku pana młodego nie ma wyrażonego jego imienia, to jednak z nazwiska panny Gordon, z daty ślubu 1659 i z godności Morsztyna, referendarza koronnego, na pewno wnosić można, że nie był to nikt inny, jak Andrzej Morsztyn, znany poeta w. XVII, który jak wiemy, ożenił się w r. 1659 z panną Katarzyną de Gordon, margrabianką de Huntiley, i był referendarzem koronnym (1). Z treści mowy, która zawiera kilka nieznanych szczegółów z życia naszego poety i z której dlatego kilka odnośnych ustępów poniżej przytoczę, wynika, że wygłosił ją Leszczyński albo przed ślubem, albo po ślubie młodéj pary, słowa zaś napisu „w Warszawie podczas sejmu anno 1659“ pozwalają nam bliżéj oznaczyć czas, kiedy Morsztyn wszedł w związek małżeński. Sejm sześcioniedzielny 1659 r. rozpoczął swoje czynności 17 marca (*vol. legum* IV, 272), wielkanoc tego roku przypadała na 13 kwietnia, z tego łatwo wyciągnąć wniosek, że ślub odbył się między 13 a 27 dniem kwietnia, w którym to dniu sejm zakończył swoje obrady. Akt dziękowania za I. P. Gordonównę odbywał się w obecności króla Jana Kazimierza i królowéj

---

(1) Świderski: Andrzej Morsztyn; Przewodnik naukowy i liter. 1878, str. 812.

Maryi Ludwiki których potęgę i szczodrobliwość wychwala mówca na samym początku.

„Trudno nie przyznać tak oczewistéj prawdy codziennymi utwierdzonéj dowodami, żeć przecie niebieską władacie władzą na ziemi, W y N a j j a ś n i e j s i z i e m s c y B o g o w i e P a ń s t w o n a s z e m i ł o ś c i w e... W y j e s t e ś c i e, W y s a m i *arbitri* obojéj fortuny, szczęścia i nieszczęścia powierzonych sobie poddanych: Wy *dispensatores favorum* i dysgracyi w przypadających sukcessach spraw ludzkich, z R ę k i w a s z é j pioruny ogniste przenikają strwożone serca, z Ręki waszéj odżywiają się głodne potrzeby hojną szczodrobliwością" itd. Następnie, zwracając uwagę na młodą parę, mówił: „Żywy przykład Bóstwa tego dajecie dnia dzisiejszego, Najjaśniejsze miłościwe Państwo nasze, na widok Światu Polskiemu w osobach téj zacnéj pary łaską i dobrodziejstwem w. K. M. dnia dzisiejszego spojonéj. Wydawa się w oczach naszych dosyć łaski i faworu Pańskiego, kiedyś tego kawalera w młodym wieku jego przybrał do pokoju swego Pańskiego, aby w Pałacu Pańskim polerował młodość swoję i sposobił ją do dalszych usług Pańskich. Aliści nie tu stanęła dobroczynność W. K. M., prędko z pokoju przeniosła go do gabinetu swego Pańskiego, powierzyła mu sygnetu swego królewskiego, konkredowała mu tajemnych rad *et intimos accessus*, przypuściła do sekretnych listów, uczyniła *interpretem* i tłómaczem woli swojéj Pańskiéj intymowanéj przez najskrytsze ceduły. Aleć ledwo co i tam miejsca zagrzał, kiedy W. K. M., czynisz go do różnych Panów chrześciańskich *ministrum* wielkie domu swego i Rzeczypospolitéj powierzając mu interesa, które pod różnym niebem u różnych Panów i Monarchów piastując *pari* zawsze *dexteritate et felicitate*, gdzie był *concursus* zawsze *fortunae et prudentiae*, *raro in ministris exemplo* stawił się. Jeszcze się nie otrząsnął z podrożnego prochu, kiedyś go W. K. M. P. M. na tak wysoki powołał urząd, którym teraz między rownemi swemi *eminet* kiedyś mu powierzył *ius et iustitiam* u Bóstwa swego *super orphanos et pupillos*, boś mu powierzył W. K. M. sobie *specialiter dicatam curam* ubogich nędzarzów. A czegożby nie dostawało do doskonałéj szczęśliwości JMci Panu Referendarzowi koronnemu tak wypielęgnowanemu dobroczynnością W. K. Mci? przyznam, że wszystko było *bonum*, ale jeszcze nie *valde*. Ta dopiero *coronis coronat opus* łaski W. K. Mci, którę kładziesz na jego głowę. Dnia dzisiejszego *uxor bona corona capitis eius*: to jest *complementum* wszystkich łask i dobrodziejstw, to *monumentum*, które przydane na szalę szczęścia jego wszystkie insze przeważa szczęśliwości. O królowéj zaś Jéj mości P. N. M. co mam powiedziéć? a zaż nie temi stopniami w formowaniu swojéj

postępowała kreatury w osobie téj zacnéj Damy IMci Panny Margrabianki. Co jest za *virus* rozgniewanéj fortuny, jest wielkim dokumentem ta wielkich królów szkockich *propago* ta zacna Dama, którą wyrzuciła *ex Patriis sedibus*, nie dała się dymu napatrzeć ojczystego, zazdrościła i kolebki macierzyńskiéj" itd. do końca.

Przytoczone ustępy mowy Leszczyńskiego, napisanéj stylem właściwym XVII wiekowi, nie wiele wprawdzie dorzucają nowych szczegółów do życiorysu Andrzeja Morsztyna (że poeta był dworzaninem królewskim, że posłował do różnych dworów zagranicznych, że piastował urząd referendarza koronnego, wiedzieliśmy już z jego życiorysów napisanych przez dr. Małeckiego, Mecherzyńskiego i Świderskiego; z mowy dowiadujemy się po raz pierwszy, że Morsztyn był sekretarzem Jana Kazimierza, że godność referendarza koronnego otrzymał przed r. 1659, ponieważ jednak mowa ta nie była znaną biografom poety a zasługuje na uwagę jako wiarogodne współczesne źródło do biografii Morsztyna, jakkolwiek znacznie późniéj bo w r. 1745 ogłoszona drukiem, sądziłem, że nie będzie rzeczą zbyteczną podać z niéj odnośne wyjątki dla wiadomości przyszłych biografów.

A. Sienicki.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Dr. Leonard Piętak: „Prawo spadkowe rzymskie". Lwów. Tom I. 1882. Tom II Część I. 1888.

Nie może podlegać wątpliwości, iż dopóki trwać będzie dzisiejszy ustrój społeczeństw europejskich, dopóki nauce prawa rzymskiego przyjdzie się przyznać poważne miejsce w rzędzie nauk społecznych, a to dla téj przyczyny, że przynajmniéj znaczna część obowiązujących dzisiaj w Europie instytutów prawa cywilnego, wysnuta została i dotąd wyczerpuje się z form wyrobionych przez prawo rzymskie.

O ile pogląd ten na praktyczne znaczenie nauki prawa rzymskiego jest uzasadniony, świetnie dowodzi, ta okoliczność, że i w krajach, w których dotąd w rozwoju ich prawodawczym, wyłączano posiłkowanie się prawem rzymskiém, zaczynają się spostrzegać, że bez pomocy jego nauki nie będzie można dojść do bardziéj racyonalnego i zgodnego z wyższemi pojęciami uporządkowania i udoskonalenia swojskiego prawa cywilnego i jego praktyki. Zwracamy tu mianowicie uwagę na Anglią. Choć i w Anglii, w pierwszych czasach ustalenia władztwa normandzkiego, popłacały jeszcze przez czas niejaki, w nauce i praktyce, zapatrywania wyrobione pod wpływem pojęć rzymskich, wszakże z postępem czasu, takowe ulotniły się, a w części nawet pamięć się ich zatarła. Dzisiaj jurysprudencya angielska, ma wprawdzie przed sobą setki woluminów pojedyńczych statutów i większą jeszcze liczbę na nich opartych zbiorów wyrzeczeń sądowych, przedstawiających niezaprzeczenie nieoceniony skarb życiowego, praktycznie użytecznego materyału, ale zbywa jéj na podstawnych zasadach, regulujących braki i wątpliwe często zastosowanie prawa.

Idąc w tym kierunku kiełkujących przeświadczeń, nie małą oddał przysługę krajowi swemu, niestety zawcześnie zmarły Sum-

mer Maine, jeden z najznakomitszych współczesnych badaczy rozwoju społeczeństw ludzkich, przez ogłoszenie specyalnéj, gruntownie obmyślanéj pracy, w któréj zastanawiając się nad omawianą od dawna kwestyą, potrzeby skodyfikowania prawa cywilnego angielskiego, dowodzi, że bez gruntownego zapoznania się z prawem rzymskiém i bez upowszechnienia zasadniczych jego pojęć w społeczeństwie, kwestya ta nie da się skutecznie rozwiązać (1). Poważny głos Maina znajduje téż już co raz większe uznanie. Dosyć wskazać tu na pełną zdrowych poglądów historyą prawa rzymskiego, którą obdarzył literaturę prawną angielską profesor uniwersytetu edynburskiego Miurhaed (2).

Ztąd jednakże nie wypływa, że nauka prawa rzymskiego, we wszystkich krajach powinna oblec się w tę samę formę i przyjąć te same rozmiary. Wychodząc ze stanowiska praktycznego, i jedno i drugie zawisłém jest od historycznego znaczenia, jakie sobie wyrobiło prawo rzymskie w różnych społeczeństwach. Inaczéj rzecz się przedstawia w krajach, w których w razie niedostatku miejscowych, swojskich zachowań, uważa się prawo rzymskie dotąd za prawo pomocnicze; inaczéj tam gdzie istnieją już pełne lub częściowe kodyfikacye prawa cywilnego, wypracowane wprawdzie za pomocą niego, lecz wyłączające dalsze jego znaczenie prawnicze; inaczéj wreszcie tam, gdzie miejscowe prawo dotąd nie zetknęło się wprost z prawem rzymskiém.

W Niemczech, gdzie prawo rzymskie, od czasu jego recepcyi, uważano nietylko za prawo pomocnicze, ale za powszechnie obowiązujące, nauka jego nawet w tych stronach, w których następnie skodyfikowane zostało prawo cywilne, przybrała i dotąd, zwyczajem dawnym, przybiéra nader obszerne rozmiary i pewien właściwy sobie kierunek. Dzisiaj powszechnie rozdziela się na trzy części. Jedną stanowi historya prawa rzymskiego, drugą tak zwane instytucye, trzecią tak zwane pandekta.

Pod nazwiskiem historyi prawa zwyczajnie rozumié się tylko historya ustroju i rozwoju państwa rzymskiego. W nowszéj literaturze prawnéj niemieckiéj właściwie jeden tylko Esmarch pod nazwiskiem historyi prawa rzymskiego objął i zarys historyi prawa cywilnego aż do Justyniana. Ogłoszony pierwszy tom obszernéj pracy profesora heidelberskiego Karlowa, wyłącznie jest

(1) Pracę Maine w tłómaczeniu francuskiém pod tytułem: *Le droit romain et l'instruction juridique*, ogłosił w Paryżu księgarz Thorin w r. 1888 w zbiorze: *Etudes sur l'histoire du droit* tegoż samego autora.

(2) Tłómaczenie włoskie Miurhaeda, wydane w r. 1888 w Medyolanie, nosi tytuł: *Soria del diritto romano tradotta del Dott.* Luigi Gaddi.

poświęcony historyi prawa publicznego (1). Zapowiedziany zaś drugi tom ma dopiéro przedstawić historyą prawa prywatnego, procesu i prawa karnego, które to przedmioty zwyczajnie dotąd obrabiają się albo w pojedyńczych monografiach albo przy okazyi wykładów dogmatycznych i egzegetycznych instytutów specyalnych. Liczba tych prac tak wielka i tak nie jednostajnéj wartości, że rzeczywiście dziwić się nie należy, czemu Niemcy rezultatów tych badań nie usiłowali jeszcze zlać w jednę pełną, harmonijną całość; stoi niewątpliwie temu na zawadzie i ta okoliczność, że pomimo obfitości dotyczących wywodów historycznych, dostrzega się w nich wielkie luki, które nie tak łatwo dają się wypełnić (2), a drobiazgowych badaczy odstraszają od przedsięwzięcia czegoś wyższego.

Instytucyom w nauce niemieckiéj naznaczona bardzo skromna rola: mają one w sobie obejmować nie więcéj, jak krótkie, systematyczne streszczenie głównych zasad prawa justyniańskiego, aby posłużyć za wstęp i przygotowanie do obszernego wykładu pandektów. Właściwie więc, zgodnie z przeznaczeniem swojém, winnyby z nich być wyłączone wszelkie wywody historyczne i rozbiory szczegółowe pojedyńczych wątpliwych kwestyi, gdyż pierwsze wchodzą w zakres historyi, a drugie w zakres pandektów. Tak jednak zwyczajnie nie dzieje się, i instytucye napełniają się historyą i licznemi rozbiorami dogmatycznemi, co może być usprawiedliwione tylko tém, że zbywa jeszcze literaturze prawnéj niemieckiéj na pełnéj historyi prawa prywatnego, przynajmniéj takiéj, na jaką możnaby się już zdobyć, i że wykłady pandektów, jak to zaraz zobaczymy, zwykle odbiegają od właściwego swego przeznaczenia.

Zadaniem pandektów ma być pełny, ile być może szczegółowy, wykład dogmatyczny prawa justyniańskiego. Tak przynajmniéj zadanie to pojmowali dawniejsi pisarze. Dzisiaj przeważa w Niemczech inny sposób zapatrywania się na pandekta. Mają one wprawdzie i teraz zastąpić wykłady dogmatyczne prawa justyniańskiego ale nie wyłącznie tego, które wyszło z rąk Justyniana, lecz takiego jakiém się stało po recepcyi swéj, przez spojenie się i zlanie z prawem kanoniczném, karném i prawami miejscowemi, i jak się wykształciła praktyka sądowa i ciągle rozwijająca się nauka. Prawo takie nazwano: Prawem dzisiejszém rzymskiém. Kto-

(1) *Römische Rechtsgeschichte. I Band. Staatsrecht und Rechtsquellen.* Leipzig, 1885.

(2) Mimochodem wspominamy tu, że nie obrobiony dotąd jakby należało rozwój dzieł Juriskonsultów, owych tak wysoko cenionych twórców jurysprudencyi klasycznéj, a tém mniéj jeszcze oceniona ich wartość i stosunek jednych do drugich.

by pragnął dokładniéj zanajomić się z rzeczywistą wartością podobnego rodzaju prac i znaleść trafne ich ocenienie, tego odsyłamy do nader ciekawéj i gruntownéj recenzyi dwóch nowszych dzieł, opracowanych w tym kierunku, a ogłoszonéj przed kilku laty przez profesora uniwersytetu krakowskiego dr. Zolla (1).

We Francyi i we Włoszech, gdzie dawne prawa zastąpione zostały przez pełne kodeksa cywilne, choć w znacznéj części oparte na prawie rzymskiém, nauka jego przybrała nierównie skromniejsze rozmiary, nie przeto jednak w zarysach swoich mniéj gruntowna, a w każdym razie więcéj racyonalna i krytyczna. We Francyi albo ograniczają się na obszernym wykładzie instytucyi, z którym łączą historyą, albo oddzielają historyą i wykład szczegółowy prawa justyniańskiego, albo téż prócz historyi i instytucyi zajmują się jeszcze wykładami egzegetycznemi ważniejszych tekstów *Corpus juris.* Następnie dopiéro przy wykładach kodeksu cywilnego we właściwych materyach, wyjaśnia się stosunek, jaki zachodzi między kodeksem a prawem rzymskiém i o ile prawo dzisiejsze z niego korzystało, a nawet jeszcze korzystać może, co doprowadza do krytycznego ocenienia prawa rzymskiego ze stanowiska naszéj wiedzy i nowszego rozwoju stosunków społecznych. Rozkład ten nauki uważamy za zupełnie racyonalny, dostrzegamy tylko, że zbywa mu wogóle na dokładniejszych wywodach historycznych, a niekiedy na głębiéj sięgającém opracowaniu krytyczném. Niedostatki te zdaje się być powołaną wypełnić dzisiejsza nauka włoska. W rzędzie prac włoskich nad prawem rzymskiém szczególniéj zaczynają na siebie zwracać uwagę badania historyczne. Mamy już w literaturze prawnéj włoskiéj zwięźle, wybornie opracowaną historyą prawa prywatnego, pełną wyższych nowych poglądów zawcześnie zmarłego profesora uniwersytetu rzymskiego Padaletti (2), następnie specyalną historyą prawa za czasów rzeczypospolitéj, dzieło profesora w Modenie Cogliolo (3) i zapowiedzianą a w połowie już wykończoną szczegółową historyą prawa rzymskiego publicznego i prywatnego przez Lando Landucci, profesora w Padui (4). Jedne i drugie dopełnia genialne studyum profesora Carla w Tury-

(1) Recencya ta zamieszczona jest w *Zeitschrift für das privat und öffentliche Recht der Gegenwart.* XV. 1887. W obronie tego samego poglądu występuje także prof. Zrzódłowski w piśmie *Codificationsfrägen.* Prag. 1888.

(2) *Storia del diritto romano.* Firenze 1878. Poleca się mianowicie drugie wydanie, opatrzone licznemi dopiskami przez prof. Cogliolo.

(3) *Storia del diritto privato romano.* I. II. Firenze. 1889.

(4) *Storia del diritto romano dalle origini fino a Justiniano.* Padova Dotąd jedénaście poszytów, str. 708.

nie pod tytułem: Początki prawa rzymskiego, w którém autor sięgając pierwszych zawiązków społeczeństwa rzymskiego, szczegółowo wyjaśnia historyą prawa aż do XII Tablic (1). Prócz tego Włosi od niejakiego czasu zaczynają się skrzętnie zajmować badaniami porównawczemi starego prawa rzymskiego ze staremi prawami narodów aryjskich. Dość tu powołać piękną pracę profesora w Katanii Zocco-Rosa (2).

O stanie nauki prawa rzymskiego w innych krajach nie rozwodzimy się, gdyżby to nas za daleko od celu obecnego przeglądu odwiodło i dla tego, że wszędzie, gdzie nauka ta jest uprawiana, przybiéra ona kształty mniéj więcéj podobne do wyżéj nacechowanych (3).

W tém położeniu nauki, nader ciekawą jest rzeczą przyjrzéć się dokładniéj, jaką poszedł drogą autor pracy na czele niniejszego przeglądu wskazanéj i jakie zajął w niéj stanowisko.

Przedmiotém pracy jest, nie cały obszar prawa prywatnego rzymskiego, lecz tylko jednéj ważnéj jego części, a mianowicie szczegółowy wykład prawa spadkowego. Mamy dotąd przed sobą pracy téj cały tom pierwszy i pierwszą połowę tomu drugiego.

Autor, jako profesor w kraju, w którym oddawna obowiązuje pełne skodyfikowane prawo cywilne, oparte w znacznéj części na staréj nauce prawnéj niemieckiéj, nie wziął jednak sobie za wzór wykładu swego tak zwanego prawa dzisiejszego rzymskiego, ale bardzo trafnie obdarza nas pracą, mającą jedynie na celu przedstawienie i objaśnienie samego czystego prawa rzymskiego.

Całość przedstawia autor w ten sposób, że poczyna od wykładu głównych zasad prawa spadkowego testamentowego, następnie zaś przechodzi do wyczerpującego skreślenia prawa spadkowego beztestamentowego, aż do chwili wydanéj przez Justyniana pamiętnéj Nowelli 118, reformującéj całe prawo spadkowe. Za tém pójdzie dopiéro szczegółowe opracowanie prawa całego spadkowego justyniańskiego wedle zasad téj Nowelli, która jak wiadomo w historyi prawodawstw tém odznacza się, że przygotowała główne podstawy, na których wszystkie niemal nowsze prawa spadkowe oparły się. Wykład ten stanowić będzie ostatni oddział całéj pracy, na który z prawdziwą niecierpliwością oczekujemy.

Całe opracowanie zasad zawarte jest bardzo właściwie w tekście dzieła, a kwestye pojedyńcze, wątpliwe i sporne, zamieszczono

---

(1) *Le origini del diritto romano.* Torino. 1889. Obejmuje str. 693.

(2) *La palingenesi della procedura civile di Roma.* Roma. 1887.

(3) Nie możemy jednak w tém miejscu pominąć, i to z wielką pochwałą, obszernego wykładu historyi prawa prywatnego rzymskiego, aż do czasów Justyniana, wydanéj w Moskwie w r. 1883 przez byłego profesora Sergiusza Muromcewa (stronic 697).

w przypiskach, przytém cytowane wszędzie odpowiednie prace naukowe, mianowicie mające niejaką powagę w literaturze niemieckiéj a ściągające się do obrabianego przedmiotu.

Wydana część dzieła odznacza się jasnością i skrupulatną chęcią wyczerpania każdego przedmiotu, tak, że pod tym względem nie ustępuje w niczém podobnym traktatom niemieckim, mogąc takowe w zupełności zastąpić, i to tém więcéj, że bardzo często w ocenieniu licznych spornych kwestyi przyznać wypada naszemu autorowi pierwszeństwo.

Jeżeli nasz autor, czego się spodziéwać należy po zamiłowaniu, z jakiém się poświęca swéj nauce, zechce z czasem przystąpić do wydania drugiéj edycyi swego użytecznego dzieła, natenczas życzyćby sobie można, aby ustępy jego, poświęcone wywodom historycznym, zlał w jedną całość i oddzielił je całkowicie od części szczegółowego, dogmatycznego wykładu prawa justyniańskiego i aby im nadał bardziéj szerokie rozwinięcie, więcéj zbliżone do dzisiejszego stanu badań historycznych. Już dzisiaj przy rozważaniu historyi, a mianowicie zawiązków prawa spadkowego rzymskiego, nie można się obejść bez wskazania ścisłego jego związku z prawami Grecyi, a co więcéj przy objaśnieniu obowiązku dziedziców do pełnienia po spadkodawcy pewnych ofiar i obrzędów religijnych, nie można nie sięgnąć aż Indyi, i to tém bezpieczniéj, że ma się tu do czynienia, nie z prostemi hipotezami, ale z niewątpliwemi pewnikami. Dość powołać w tym względzie na gruntowne prace Leista (1). Zresztą nie potrzeba powtarzać, że podobnego rodzaju wywody nadzwyczajnie podnoszą urok, często bardzo suchéj nauki i otwiérają oczy na rozwój stopniowy społeczeństw ludzkich, bez zrozumienia którego wiele w nauce naszéj pozostanie ciemném i niezrozumiałem. *R.*

= *Stanisław hr. Rzewuski.* **Młoda Francya**, studya literackie (Kraków, 1888, str. 391). Książka, tak bezwzględnie, tak entuzyastycznie wysławiająca autorów cudzoziemskich społecznych, jak studya p. Rzewuskiego, jest u nas bardzo rzadkiém, a może nawet jedyném zjawiskiem literackiém. O ile przypomnieć sobie można, nigdy nawet najwięksi gieniusze poezyi nie wywoływali u nas roz-

---

(1) Dziełami temi są: *Graecoitalische Rechtsgeschichte.* Jena. 1884, i nowe, wielce interesujące dzieło: *Alt-Arisches Jus gentium*, Jena, 1889. Z pierwszego korzystał już Sohm w dwóch *Institutionen des römischen Rechts.* 2 Aufl. Leipzig. 1887. Ciekawe także co o owych *sacra* Rzymian przytacza Rönnberg: *Das Erbrecht von Gortyna.* Berlin, 1889, str. 39—41.

praw i studyów, w którychby słowa uznania, czci i miłości lały się tak nieprzerwanym strumieniem, jak obecnie u autora „Młodéj Francyi“, mówiącego o czterech pisarzach francuskich młodszego pokolenia: Guy de Maupassant, Paweł Bourget, Gabryel de Séailles i Henryk Becque. Nie uważam ja bynajmniéj zapału za rzecz złą i szkodliwą w pracach krytycznych; chciałem tylko naprzód zaznaczyć sam fakt a powtóre zauważyć, że autor chcący osiągnąć zamierzony przez się rezultat zapalenia miłością i uwielbieniem dla pisarzów, których przedstawia, musi połączyć z zapałem dokładną znajomość nietylko tych pisarzów, lecz także wybitniejszych przedstawicieli i kierunków literatury powszechnéj, oraz dobrze wyrobiony sąd krytyczny, ażeby módz wykazać istotne zasługi swoich ulubieńców i określić rzeczywiste ich znaczenie w rozwoju piśmiennictwa. P. Rzewuski niejednokrotnie w swéj pracy powołuje się na wielkie imiona poetów i krytyków, przytacza sceny lub zdania, dowodzące, że imiona te są mu znane z czytania ich dzieł lub przynajmniéj z dobrych monografii o nich; ale niezawsze okazuje, iżby sobie jasno zdawał sprawę z zagadnień, które porusza, iżby w danéj chwili uprzytomniał sobie ogół kwestyi w odniesieniu do jakiegoś szczegółowego jéj punktu. Autor pociągnięty myślami pisarza, przedstawionego przez się, w pewnym oznaczonym kierunku, idzie za nim niemal na oślep, nie troszcząc się o to, czy w inném miejscu, z powodu innego pisarza, nie wypadnie mu znacznie odmienić swe poglądy. Wezmę za przykład pytanie, dotyczące tendencyi utworów artystycznych, gdyż wraca ona we wszystkich czterech studyach p. Rzewuskiego. Rozbierając dzieło Gabryela Séailles p. n. „*Essai sur le génie dans l'art*“, dochodzi wraz z nim do tego przekonania, które uważa za nowe, chociaż jest stare i trochę jednostronne, że ostateczną siłą, skupiającą wszystkie żywioły pomysłu artystycznego w jednę całość, jest „siła natchnienia, emocya rządząca umysłem artysty w chwili twórczości“ nie zaś „refleksya, rozumowanie, pewna moralna dążność“. I to przekonanie prowadzi go do gwałtownéj wycieczki przeciwko estetykom i krytykom, poszukującym tendencyi w dziełach piękna. Wynik badań p. Séailles obala, zdaniem jego, całkowicie, bezmyślną metodę do dziś dnia kwitnącéj, szczególniéj w naszéj i ruskiéj literaturze, pseudo-estetycznéj krytyki, przedewszystkiém szukającéj, ganiącéj lub chwalącéj zamiary, intencye, tendencye autora i temu (!) podobne brednie“ (str. 234). Gdyby p. Rzewuski pamiętał pisząc o Séailles to, co poprzednio wygłosił, idąc za Bourgetem, byłby nie nazwał bredniami tego, co zarówno uprawnione z utworami „natchnienia“ artystycznego poczytywał. Tam, w artykule o Bourge-

cie, słusznie zaznaczył, że istnieją „dwie wielkie i kardynalnie przeciwne grupy umysłów: rozumujących indukcyjnie i wszystko analizujących dedukcyjnie, że „artysta może należéć do téj lub owéj kategoryi psychicznéj i być wielkim artystą“, że „chciéć zamknąć wszystkie indywidualności literackie w sferze realistycznéj obserwacyi jest nonsensem“, że obraz twórczy może być realnym, wyraźnym i świetnie zbudowanym nawet u pisarza, który widzi w nim tylko uosobienie pewnéj *a priori*, abstrakcyjnie osnutéj tezy“ (str. 182, 183). Na podstawie tych i tym podobnych twierdzeń i wywodów, idąc za Bourgetem, trafnie zauważył, że nie ma „absolutnéj estetyki i doskonałéj szkoły, a tendencyjność tak samo jak sztuka dla sztuki, te dwa staroświeckie terminy, mają swoję racyę bytu w ogólnych prawach rozwoju ludzkości i ewolucyi pojęć literackich“. Szczególniéj dobrze byłoby, gdyby p. Rzewuski pamiętał był, chcąc mówić o „bredniach“ tendencyjnych, swe własne słowa ze str. 187: „Nie uznawanie legalności istnienia tych dwóch, wzajemnie uzupełniających się obozów jest poprostu nieporozumieniem, wynikającém z braku ścisłéj metody krytycznéj i naukowego poglądu na dziejowy pragmatyzm artyzmu“. Obok tego zapominania o wyrzeczonych przez się opiniach,. drugą wadą p. Rzewuskiego jest, iż częstokroć nie umié uzasadnić swego uwielbienia odpowiedniemi dowodami. Nieraz się zdarza w jego książce, że nasłuchawszy się o gienialności, wzniosłości, pomysłowości itd. pewnego autora, czytelnik napróżno w przytoczonych przez krytyka-entuzyastę zdaniach lub scenach doszukuje się śladów owéj epokowéj doniosłości, o któréj go zapewniono, i odkłada książkę wcale nieprzekonany. Widać to zwłaszcza wyraźnie w dwu studyach o Gabryelu Séailles i Henryku Becque; ani głębokości pierwszego ani nadzwyczajnéj pomysłowości dramaturgicznéj drugiego czytelnik zgoła nie widzi przed sobą: owszem dowodów pospolitości zdań i pomysłów u obu można tu znaleść, wbrew dążności krytyka, podostatkiem. Daleko lepsze pod tym względem są rozbiory utworów Maupassant'a i Bourget'a. Język p. Rzewuskiego jest niepoprawny, pełen wyrazów i zwrotów cudzoziemskich, a styl całkiem na sposób francuski urobiony, przyczém doznaje się wrażenia, że autor z trudnością tłómaczy frazesy pomyślane po francusku.

= **Zygzaki**. *Szkice Józefa Waśniewskiego* (Warszawa, 1889, str. 200). Ponure, smutne, bolesne, przygnębiające wrażenie wywiéra większość drobnych utworów, zawartych w tym tomiku, którym nowy autor przedstawił się czytelnikom. O ludziach zwłaszcza bogatych ma on wogóle złe wyobrażenie: są to samoluby dbające

tylko o własną wygodę, zabawę, korzyść i wyzyskują wszystko i wszystkich, dopóki mogą; nawet cierpienia i nędza są dla nich dziedziną, w której szukają zaspokojenia swoich chuci (jeden epizod w szkicu „Miłosierdzie“): bezmyślność, zepsucie, nikczemność, są powszechnemi cechami zarówno starych, jak młodych (jasnowłosa siostrzenica w opowiadaniu „Mój waryat“); sumienie budzi się w nich rzadko i bodaj tylko na chwilę („W półświetle“). Wśród takiego otoczenia jednostki biédne, szlachetne, uczciwe prowadzą życie ciężkie, pełne przejść strasznych, tragicznych. Biédny kataryniarz (niewątpliwie osobistość wyjątkowa), mający delikatne poczucie piękna i miękkie serce, zapracowuje się od rana do nocy, od ust sobie odejmuje, byle mógł uzbiérać sumkę na wykupienie słowika, osadzonego w klatce i puszczenie go na wolność, a gdy już miał gotówkę, dowiaduje się, że słowik został zabity; właściciel jego Niemiec, chciał pokosztować wątroby śpiéwaka z sardelowym sosem... („De gustibus...“). Dziewczynka dwunastoletnia, dla ulżenia matce w szpitalu i sprawienia sobie sukienki .. do pierwszéj komunii, roznosi kwiaty i chodzi do panów... starych rozpustników, którzy smak znajdują w niedojrzałych wdziękach („Wpół świetle“). Stary woźny na kolei, myśląc o choréj śmiertelnie córce, zapomina odnieść listu naczelnika do panny Fifiny, i skazany zostaje na zapłacenie rubla kary za opuszczenie się w służbie („Nie bez przyczyny“). Chora wyrobnica z kilkorgiem dzieci musi patrzéć na zaprawianie się najstarszego synka do kradzieży, gdyż tym tylko sposobem otrzymuje jéj rodzina trochę pokarmu, musi patrzéć na śmierć najmłodszego, nie mającego co wyssać z wyschłéj piersi, próbuje się topić, lecz miłosierni ją ratują, ażeby daléj w nędzy i utrapieniu żyła, póki się nie powiesi, chcąc zapewnić siérotom opiekę miłosierdzia („Miłosierdzie“). Takie i tym podobne obrazy przesuwa przed oczyma naszemi autor, nigdzie nie wpadając w deklamacye, nigdzie własnych nie wypowiadając sądów i uczuć, lecz starając się tylko wiernie odtworzyć prawdę i zaprawić ją to satyrą („Pod schodami“), to humorem, to ironią. Czy wszędzie bierze materyał z obserwacyi własnéj, trudno odpowiedziéć twierdząco, ale, że wszędzie głęboko odczuwa autor co pisze, to pewna. Wiele scen z życia warszawskiego ma cechy istotnie obserwowanych rzeczy, ale niektóre pomysły (sukienka do pierwszéj komunii, waryat, który z kupczyka i lektora wyrabia się na filozofa) zdają się być płodem fantazyi, pobudzonéj lekturą francuskich impresyonistów. Do téjże kategoryi odniósłbym nowelkę „Dysonanse“ i obrazek „Będzie“. W „Dysonansach“ opowiada p. W. historyę zakładu, zrobionego przez artystę-malarza z kolegami, iż zbałamuci ucz-

ciwą pannę, sierotę, grającą wieczorami w restauracyi. Zaznajomienie się z nią, rozkochanie i zakochanie się w niéj następuje łatwo i ostatecznie powątpiewania w czytelniku nie budzi. Ale ostatnia scena, kiedy zdecydowawszy się zaślubić pannę i oświadczywszy jéj to, pierwszy raz wchodzi do jéj mieszkania i proponuje, żeby dla wygrania zakładu został u niéj przez noc, jest już w wysokim stopniu naciągniętą, bo zgodniejszą z charakterem nikczemnika niż człowieka uczciwego, za jakiego chce autor podać swego malarza. Środek zaś, którego się chwyta panna, nic nie mówiąc ukochanemu, to jest zaczadzenie, jest wprost pomysłem melodramatycznym, czysto efekciarskim, bez prawdy psychologicznéj i w charakterze panny Wandy i w sytuacyi. W obrazku „Będzie“ odmalowany został stary wojak, obecnie roznosiciel Kurjera, wspominający ciągle dawne czasy, mający wielką cześć dla drukowanego słowa, myślący o tém, żeby uczucia lepsze i chęci gorętsze nie zamierały. Raz opowiedział sekretarzowi redakcyi wiadomość o ukazaniu się słupów ognistych, którą tenże dla zapełnienia miejsca, nie sprawdziwszy, pomieścił. Zmartwiło to strasznie starego roznosiciela, gdy się przekonał, że wydrukowano bajkę; chcąc zatrzéć to wrażenie, spisał swoje wspomnienie z lat dawnych, gdzie także była mowa o słupach ognistych, i oddał to pisanie sekretarzowi. Gorączkowo oczekiwał spełnienia obietnicy, że to jego pisanie zostanie wydrukowane i z tą nadzieją umarł. Zdaje mi się, że idealizacya za daleko tu posunięta została. Język p. Waśniewskiego jest czysty; czasami tylko zdarzą się takie niepolskie wyrażenia jak: odnosił się do lokatorów apatycznie, zwątpić *w* co.

= **Wlazł na gruszkę**. *Satyra biograficzna Sęka. Nakładem przyjaciół na korzyść ociemniałego autora* (Warszawa, 1889, str. 20). Jest-to jedna z najdawniejszych, bo przed 20 zgórą laty napisana praca poetycka Teodora Sęczkowskiego, który w sile wieku dotknięty został tak strasznèm kalectwem. Jakby przeczuwając swą przyszłość w satyrze swojéj autor opowiedział dzieje człowieka, któremu od kolébki już się nie szczęściło. Opowiedział to lekkim tonem, ale przebijają się w nim nieraz łzy tłumione i obrazy straszne, odganiane siłą woli. Gdy obecnie satyra ta szła do druku, Sęk ją trochę przerobił i dopełnił, wpadając w jednèm miejscu w rytm Baki. Rozkupienie téj książeczki, która nikogo chyba znudzić nie może, powinnoby nastąpić rychło i przynieść autorowi pomoc materyalną; bo Sęk ani poezyami swemi ani guwernerką nie mógł zebrać żadnych zasobów na ciężkie lata, w których mu praca jest tak utrudniona.

— **Zbiór rot przysiąg sądowych** poznańskich, kościańskich, kaliskich, sieradzkich, piotrkowskich i dobrzyszyckich z końca wieku XIV i piérwszych lat wieku XV wydał *Romuald Hube*. (Warszawa, 1888, 8-o, str. VIII i 161). Starodawnych pomników języka naszego nie mamy wydanych zbyt wiele; dla tego każdy nowy przybytek wielce jest pożądany, choćby to były krótkie roty przysięgi, w aktach sądowych, grodzkich, czy ziemskich, zapisane. Zabytki tego rodzaju ważne są mianowicie z tego względu, że zawiérają teksty nie tłómaczone z obcych języków, lecz polskie oryginalne; że mają ściśle oznaczoną datę i że zawsze znana jest miejscowość, w któréj tekst został spisany, co dla dyalektologii polskiéj może nieraz pożądanych dostarczyć wskazówek. Dla historyi prawa roty przysiąg również nie mogą być obojętne. Wdzięczność się przeto należy senatorowi Hubemu, który przed trzynastu laty wydał już zbiorek 73 rot krakowskich, że ponownie zwrócił uwagę na ten naukowy materyał i obdarzył nas w zeszłym roku zbiorem bezporównania bogatszym, bo 1140 rot obejmującym, a zaczerpniętym z różnych ksiąg sądowych, nie każdemu badaczowi dostępnych. Zasługa wydawcy jest tém większa, że ogłaszając swój zbiór, postarał się o wzbogacenie go objaśnieniami, które na jego prośbę wygotował znany lingwista, dr. A. Brueckner. W ułożonym przez niego słowniku wyrazów i spisie nazw osobowych, znajdujemy i trafne zestawienia porównawcze i sprostowania błędów, które pisarze sądowi obficie płodzili, i uwagi etymologiczne i poprawne lekcye, i wytłómaczenie tekstów niejasno napisanych, jak np. zapiski Poznańskiéj 309, pod wyrazem „zapowiedź“. Nie siląc się na dłuższe pochwały dla téj wybornéj pracy berlińskiego profesora, wolimy tu przytoczyć uwagi, któreśmy sobie przy jéj odczytywaniu zanotowali. W rocie Kościańskiéj 44 napisano: „ane zwanl Broguvszy“, co w słowniku objaśniono: a nie wziął brogu *w wsi* (str. 127); sądzę, że trzeba czytać: brogu rży, tj. żyta. Zamiast wyrazu „klothka“ wolałbym postawić: półkłodek od wyrazu kłoda, jak mamy od kwarty półkwartek, od beczki półbeczek, od grosza półgroszek. Pod wyrazem „obręczyć“ mieści dr. Brueckner z roty Dobryszyckiéj 32 wyrażenie: „ymal *obranicz*... dotalicium“; należało tu czytać: *obrauicz*, tj. oprawić, bo chodzi o wiano. Zamiast: odganić dziewstwa, trzeba było czytać: odjąć dziewstwo (w rocie: „odganl“=odganl=odjął). Wyrażenie: Więcław się pokłonił—nie znaczy: poddał się, lecz: prosił; pokłon — dziś, to podarek wieśniaka przychodzącego z jakąś prośbą. W rocie Poznańskiéj 69: „ten lud poueszil“, znaczy może: powięził. W rocie Dobrysz. 80: „bega szarana y vynami“, możnaby czytać: biega za raną i winami, to jest: biega po

sądach za nawiązką. W rocie Sier. grodz. 67 stoi: „yze szc ten kon voczil na dworze vbartholomeie y giescze yego macze yma", co dr. Brueckner czyta: i jeszcze jego Maciéj ma; ponieważ sprawa toczy się między Bartłomiejem a Dobiesławem, więc o żadnym Macieju nie może tu być mowy, wolę przeto czytać: iże sie ten koń rodził (lub wodził) na dworze u Bartłomieja i jeszcze jego macię (t. j. matkę tego konia) ima (rozumie się: Bartłomiéj). „Sep" wolałbym objaśnić: danina w ziarnie, aniżeli opłata. „Strawa" może nie znaczy *expensa*, lecz żywność, karm. Wątpliwém mi się wydaje, czy niezrozumiałe wyrażenie: „v steley a vstel nacz sme", słusznie pomieszczono pod wyr. „sto". Ujazdy (*v.* uwrocia), ściśle biorąc, nie znaczą granic, lecz miejsca, gdzie podczas orki zawraca się woły z pługiem nazad; oczywiście, przy granicy zawsze trzeba było zawrócić, ale zawracano i na krańcu pola, lubo nie na granicy leżącego. Słowo „wadzić" objaśniono prze *nocere*; właściwszém jednak, jak sądzę, jest: przeszkadzać, a w rocie Pozn. 262 znaczy kłócić. Słowo „wręczyć" znaczy w rotach nie to, co dzisiejsze wręczyć, lecz tyle co poręczyć, zaręczyć; dla tego w rocie Pozn. 263 słowo „wroczala" nie znaczy: wręczyła, ale raczéj: zwróciła, zwracała. Przy słowie „wściągnąć" znajdujemy objaśnienie *arrestare*; słuszniejszém jednak wydaje się znaczenie: pociągnąć do sądu, pozwać. Słowo „wybić" dobrze przetłómaczono w rotach Pozn. 408 i Sier. grod. 46 przez *expellere*; czasem jednak znaczy ono toż samo, co słowo „odbić" (użyte w Pozn. 58), to jest odebrać siłą, jak to widzimy w wyrażeniu „odbić jęcca", przy którém cytatę uzupełnić należy tak: Sier. ziems. 58. Słowo „wywieść się" w Kość. 37 nie koniecznie użyte jest w znaczeniu *expurgare se*. Obok formy „urządzić" istniała téż forma „rządzać"=umawiać się: „yakom randzal" (Piotrk. gr. 46). Imie żeńskie Baldama zbliża dr. Brueckner z imionami Baldemia i Baldoina; wspomniéć tu można, że wcześniéj spotyka się to imię w dyplomatach (ob. Kok. dypl. Wielkop.). Imię Teodor, w postaci Czader lub Cedro, także w dyplomatach się natrafia. Obok formy Dolebor możnaby postawić prawidłową Dalebor. Imię „Chebda" wywiedziono od „chebd" *sambucus*; dodam, że dziś u Wołyniaków, pod Starym Konstantynowem, „chept" znaczy chwast. Jaksę właściwiéj było pomieścić pod Jakóbem, Jakuszem, aniżeli pod Janem. Jarant=Arent, Arnold. Jaracz nie pochodzi od Jarosława, lecz jest spolszczeniem Horacego (cf. Stenzel, Urk. zur Gesch. d. Bisth. Bresl. str. 38—40). Kozanka i Cosczanka — to dwie różne nazwy: jest wieś Kościanki w Kaliskiém, pod m. Stawem, wieś zaś Kozańki między Uniejowem a Dąbiem. Olszam, jako imię osobowe, nie ulega żadnéj wątpliwości, spoty-

kamy je bowiem często w księgach sądowych XV wieku; pamiątką po niém jest dotąd wieś Olszamowo w Płockiém, pod Bodzanowem. Stwierdzając teoryę p. J. Karłowicza o skracaniu imion, dr. Brueckner utrzymuje, że imię Grzymek jest skróconém z Pielgrzymek; w rotach jednak nie znajdujemy na to dowodu. Mniemamy téż, że imię Pielgrzym, z łacińskiego *Peregrinus* jest wcale różném imieniem aniżeli Grzymek, zdrobniałe od Grzymisława; że zaś to ostatnie jest samoistném imieniem słowiańskiém, o tém wnioskujemy z téj okoliczności, iż w XII wieku znajdujemy księcia tego imienia na Pomorzu gdańskiém, gdzie książęta imiona wyłącznie słowiańskie nosili; co ważniejsza, żona Leszka Białego, księżniczka ruska, zwała się Grzymisławą, a na Rusi przecież łacińskie imię *Peregrina* nie mogło być używane. Z wyrażenia roty: „Stasconis sczirczconis" wyprowadza Dr. Brueckner wątpliwy *nominativus* „Scirzek"; sądzimy, że brzmiało to: Szczérczek, czego śladem jest nazwa miasteczka Szczérców. Imię Świędzeń jest niewątpliwe, jak wskazuje dawna nazwa wsi Swiędzieniewice. Wata lub Watta, to znany przydomek wielkopolskiéj rodziny z Nądna. Imiona Waniek, Wańkowa, nie mają nic wspólnego z Więcławem, lecz pochodzą od imienia Iwan, używanego niegdyś u nas w téj formie, z któréj powstały nazwy miejscowe Iwanowice, Iwaniska. Wacław, a raczéj Więcław, książe mazowiecki nie był nazywany Wańkiem, lecz Wanckiem, Więckiem.—Podajemy wreszcie kilka sprostowań omyłek drukarskich. Przy wyrazach: „drzwi" i „na dzale" (str. 129) wykreślić znaki zapytania; pod wyrazem „jeśm" cytatę S. 128 poprawić na: S. 28; przy wyr. „kowanie" zamiast S. 174 ma być S. 175 pod słowem „postać" brak przy pierwszym przykładzie cytaty: Pozn. 92; pod wyrazami „sien" i „siepać" odsyłacze są błędne; pod wyr. „winne" zamiast P. 62, ma być P. 65.—Na zakończenie, godzi się wspomniéć, że lubo drukarnie warszawskie nie odznaczają się wogóle wykwintnością swoich produkcyi, i wśród nich nie łatwo spotkać się z czcionkami tak zniszczonemi, jak w książce niniejszéj, co tém więcéj zadziwia, że „zakłady S. Orgelbranda Synów", w których ją tłoczono, posiadają własną gisernię i na brak dobrych czcionek cierpiéć by nie powinny.

= **Podręcznik metryki łacińskiéj i greckiéj** *ułożył Marcin Sas.* Kraków 1889. Str. 40. Dziedzina filologii klasycznéj od pewnego czasu coraz więcéj leży u nas odłogiem, dlatego téż z uznaniem powitać należy każdą nowozaciężną siłę, poświęcającą się umiejętnym na tém polu badaniom. Jeden z nielicznego grona tutejszych jéj adeptów p. Marcin Sas, znany już z kilku rozpraw drukowanych

w „Muzeum“, ogłosił świeżo cytowany wyżéj podręcznik metryki łacińskiéj i greckiéj. Jesto druga dopiero z rzędu z tego zakresu praca, jaką posiada nasza literatura. Jest ona pod pewnym względem uzupełnieniem ogłoszonéj w r. 1869 pracy prof. Brandowskiego „Wykład budowy wierszów Owidego, Wergilego i Horacego“. Wobec tego, że gramatyki używane w gimnazyach galicyjskich, bardzo pobieżnie przedmiot ten traktują, praca p. Sasa okazuje się ze wszech miar pożądaną. Poucza ona o miarach i budowie wiersza wszystkich w gimnazyach czytywanych poetów klasycznych łacińskich i greckich, a pod względem ścisłości oraz jasności i przystępności wykładu czyni zadość wszelkim wymaganiom.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Klasa ludności znana z ideału, a nieznana z nazwiska. — Rzemieślnicy nasi i postęp rękodzieł.— Sprowadzanie wyrobów zagranicznych. — Współzawodnictwo wytwórczości obcéj.—Podoficerowie przemysłu. — Szkoły fachowe. — Nauka i praktyka. — Głos pracodawcy i wyrobnika. — Czy brak nam pracy czy ludzi? — Uprzywilejowanie cudzoziemców.—Na czém polega wartość majstra.—Niemcy u p. Gostyńskiego. — Co robią małoletni usunięci z fabryk. — Łobuzerka czy praca nad siły? — Nowe kasy oszczędności. — Brak wprawy.—Przyjemny wyjątek.—Osobliwość przyszłéj wysstawy.—Dwie nowe metody. — „Najnowsza i najpraktyczniejsza“ tandeta. — P. S. Eugieniusz Dziewulski.

„Kuryer codzienny“ — sądzisz może czytelniku, że rozpocznę opowiadanie o sięgających dna reformach, które mają niebawem z postaci i z ducha odmienić dziennik, noszący to miano, a których świat dziennikarski oczekuje z głośną lub ukrytą niecierpliwością— otóż nie; mówię zupełnie o czém inném, mianowicie o podniesionéj przez „Kuryer“ kwestyi „szkół specyalnych i praktyki“. Biorąc rzecz ściśle, chodzi o jeden ze środków rozwinięcia, podniesienia, a może nawet wprost wytworzenia klasy, potrzebnéj nam jeszcze za czasów Kazimierza, syna Łokietkowego, a dotychczas znanéj głównie pod postacią ideału lub okazów zagranicznych. Jestem w kłopocie, jak klasę tę ochrzcić jednym przymiotnikiem, najwłaściwiéj byłoby może powiedzieć r z e m i e ś l n i c z a, ale zaraz przyjdzie na myśl typ, znany doskonale z teatru i powieści, z rysunków Kostrzewskiego, a nieco i z życia, posiadający postać beczki, czerwony, rozrosły nos, świętujący w poniedziałki i niedoścignięty pod względem punktualności w niedotrzymywaniu przyrzeczeń. Tymczasem chodzi o klasę pod wieloma względami, nietylko odmienną, lecz nawet biegunowo przeciwną.

Pomijając zaszczytne, bardzo nawet zaszczytne wyjątki, majstrowie nasi i czeladź rzadko wychylają się po za mrok wykształcenia elementarnego, zarówno fachowego jak i ogólnego. W wyszukiwanie i wyliczanie przyczyn zjawiska nie ma się co wdawać, wszyscy przytoczyć jesteśmy w stanie racye historyczne, potrafimy wymienić przesądy współczesne, umiemy także prawie wszyscy

te ostatnie hodować wytrwale. Udział nasz w postępie rzemiosł, już nie twórczy, lecz naśladowczy tylko, jest prawie żaden. O tém, co wytwarza pracująca nieustannie myśl i praktyka ludzka, rzemieślnik prowincyonalny nie wié wcale, a warszawski słyszy lub widzi czasami niedokładnie, niesystematycznie. Pism cudzoziemskich rękodzielnik nasz nie czyta i w większości wypadków czytać nie może. Organów zaś miejscowych nie ma i próby stworzenia takowych nigdy wielkiego powodzenia nie spotkały, co dowodzi najlepiéj, że majstrowie nasi dosyć obojętnie traktują swą sztukę i doskonałość. U krawców tylko, modniarek i najbardziéj postępowych fryzyerów znaléść można wycinki z „żurnalu" i malowanki, reprezentujące mody paryskie. Kilku majstrów, którzy wyjechali na wystawę, aby się czegoś nauczyć, oznajmiło o tém narodowi przez ogłoszenia w kuryerach. Niejednokrotnie pisma nasze piętnowały ludzi, sprowadzających sobie ubranie, meble i t. p. rzeczy z zagranicy, rzeczywiście jednak nikt nie zastanowił się nad tém, czy postępowanie podobne nie ma na swe usprawiedliwienie poważnych przyczyn i czy przez to ci potępieni nie oszczędzili sobie wielu przykrości, zawodów, a nawet może pieniędzy.

Nie mieliśmy takich dzielnych rękodzielników, artystów w zawodzie swoim, jak tkacze holenderscy lub złotnicy weneccy, słyną co prawda do dziś klingi augustówek i złotolite pasy słuckie, ale po za tém na coś więcéj powołać się trudno. Niegdyś przytém łatwiéj dało się wytłómaczyć nasze w tym względzie zaniedbanie. Szlachcic żył sobie gdzieś na Polesiu, za piaskami i lasami, kupił to, co mu kramarz miejscowy przyniósł do domu lub pokazał na jarmarku; słusznie czy nie słusznie rękodzieła uważane były za pośledniejsze i mniéj do życia potrzebne dodatki, od tego na świecie byli Niemcy, Włosi i Angielczykowie. Dzisiaj zarobkowanie warsztatowe staje się, a z czasem stanie się jeszcze bardziéj, jedyną ucieczką i głównem źródłem zaspakajania potrzeb materyalnych ogółu; z chęcią lub z boleścią będziemy musieli synów naszych oddawać do warsztatu. Z drugiéj strony, szczęśliwe zapiecki, zakątki i zagrody poznikały, koleje żelazne dochodzą wszędzie. Kto się opuści, zginie, bo go ze wszech stron zaleje i nie oszczędzi konkurencya. Kilka miesięcy temu, w dwu miastach szewcy nasi w niebogłosy krzyczeli, wszystkich potęg ziemskich wzywali na ratunek, gdy im niemiec pogroził ulepszonym sposobem szycia butów.

Kwestya więc rozwinięcia i utrwalenia bytu rękodzielnictwa swojskiego, oraz wyhodowania odpowiedniéj klasy ludności jest potrzebą pierwszorzędnéj wagi.

Nietylko warsztat rękodzielniczy, ale przemysł większy potrzebuje majstrów różnych rodzai (werkmajstry, werkfirerzy, monte-

rzy, sztygarze i t. d.) i tych także nie posiadamy. Wyrobić majstrów trudniéj niż posiąść inżynierów, najlepszy dowód tego mamy na sobie. A tymczasem majster w fabryce jest tém, czém podoficer w wojsku, od niego wprost zależy wartość szeregowca, umiejętność wykonywania rozkazów, duch armii. Bez majstrów krajowców przemysł nie przestanie być, pomimo licznych dyplomów z Instytutu Technologicznego z Zurychu, Wiednia i t. d., w znacznéj części niemieckim. Tak daléj trwać nie powinno.

Za przyczynę dotychczasowego smutnego stanu p. S. K., publicysta z „Kuryera Codziennego“, uważa wadliwe wychowanie domowe i szkolne, przeciążające młodzież nawałem niepotrzebnych wiadomości, nie wdrażające powoli do ciężkiéj pracy fizycznéj, a czego najbliższym skutkiem jest nieznajomość roboty.

Łatwo temu da wiarę każdy, kto, nie znając nawet urządzeń szkół średnich specyalnych, zastanawiał się nad programami szkół wogóle. Autorowie ich widocznie hołdują zasadzie: sztuka dla sztuki, stąd utwory ich, może idealne, piękne, żadnemu realnemu celowi nie odpowiadają.

Kurs teoretyczny w szkole specyalnéj trwa 3 lub 4 lata, wykład nauk jest obszerny, ucznia przytłacza chaos i nie pozwala mu zrobić rozsądnego wyboru, témbardziéj, że nie ma pojęcia o tém, co mu się w przyszłości przyda. Wychowańcy szkół takich są to mniéj więcéj młodzieńcy dwudziestoletni; w wieku, w którym się człowiek łatwo nagina i urabia, przyzwyczajono ich do stolika, książki, pióra i ołówka. Nagle, bez żadnego stopniowania przerzuceni oni zostają do warsztatu, fabryki lub kopalni. Takie przejście nie może nie zniechęcać. Zamiast o godz. 8-éj, praca rozpoczyna się o 6-éj, zamiast czystéj sali szkolnéj, trzeba przepędzać dni w dusznéma, brudném zabudowaniu fabryczném. Wszystkie zmysły cierpią, praca wyczerpuje, przechodzi siły nie wyrobione w swoim czasie; na samym progu zawodu, paraliż rozczarowania ścina zapał młodzieńczy. Dla zaradzenia złemu autor proponuje wprowadzenie systematu zagranicznego. Chłopiec 14 lub 15-o letni powinien iść wprost do warsztatu i dopiéro w 18 lub 20 roku wstąpić na rok do szkoły.

Ponieważ kwestyi bliżéj nie znam, nie mogę więc wdawać się w roztrząsanie słuszności projektu powyższego, ograniczam się tedy na podaniu czytelnikom zdania cudzego, pozwalając sobie na postawienie jednego tylko pytania: Czy chłopiec, przez lat kilka pracy fizycznéj odzwyczaiwszy się od książki i od zajęć umysłowych, będzie zdolny powrócić do nich późniéj? Sądząc na podstawie własnych, nie licznych coprawda obserwacyj, skłonny byłbym przypuszczać, że raczéj nie.

Artykuł p. S. K. nie przeszedł bez wrażenia, redakcya „Kuryera“ otrzymała wiele listów, z których dwa podaje w streszczeniu: jeden pochodzi od majstra-robotnika, drugi od przemysłowca-pracodawcy, p. Bernarda Hantkego.

P. Hantke przedewszystkiém zaprzecza twierdzeniu jako by u nas brakowało pracy; wedle jego zdania, jestto fałsz wierutny. Pracy, zajęcia i chleba jest aż zanadto, tylko pracowników sumiennych brak na każdém polu. Dobry pracownik nie szuka u nas zajęcia—jego poszukują. Fakt, że nieustannie istnieją masy włóczęgów bez roboty, p. H. przypisuje trzem przyczynom: 1) słabéj moralności ludzi, wiecznie bez chleba będących, 2) brakowi zamiłowania do pracy i fałszywym a zgubnym ambicyom, słabo wykształconych osobników, 3) zupełnie nieudolnemu przygotowaniu fachowemu. „Jak uczeń—dowodzi p. H., tym razem z zupełną słusznością,—który pragnie się czegoś nauczyć, oprócz programu szkolnego sam po za szkołą pracuje nad sobą, tak téż i w wieku starszym każdy może i powinien, idąc za przykładem ościennych narodów, kształcić się w obranym zawodzie, śledząc ciągle za postępem“. Ostatecznie p. H. radzi nie tyle myśléć o reformie szkół, co od nas nie zależy, ile dbać o udoskonalenie wychowania w domu i o gruntowną reformę własnéj natury.

Majster-robotnik téż powiada, że takie lub inne urządzenie szkół wielkiéj zmiany nie przyniesie, wobec istniejących stosunków, a mianowicie wobec upośledzenia majstrów krajowców na rzecz cudzoziemców, głównie zaś, naturalnie, Niemców. Żadne przygotowanie, żadna biegłość fachowa, żadna cnota na nic się nie przyda—w walce konkurencyjnéj Niemiec zwycięży, dla tego tylko, że Niemiec. „Jestem—opowiada o sobie autor listu—wychowańcem jednéj ze szkół fachowych, przez dwa lata pracowałem w mym zawodzie jako robotnik, dalsze dwa lata praktykowałem za granicą w celu wydoskonalenia się w obranym przezemnie fachu i obecnie, jeszcze po kilku latach pracy, doszedłem do stanowiska majstra, który musi robotą zarządzać, przeprowadzić ją, wszelkie maszynerye utrzymać w porządku, a w razie potrzeby urządzić coś nowego. Jako rzecz mniejszéj wagi nadmieniam, że zawsze byłem i jestem zajęty najmniéj 12 godzin na dobę, a mimo to zawsze zarabiam nie więcéj jak średni urzędnik w Warszawie. Tymczasem inni koledzy moi po fachu, ale cudzoziemcy, mają pensyą odemnie 3 lub 4 razy większą... We wszystkich prawie fabrykach Polakowi mniéj płacą niż Niemcowi, chociaż jednakowe mają zajęcie i z jednakowym skutkiem rzecz swoją spełniają. Oh nie, zaiste, ironią jest chyba narzekanie właścicieli fabryk na brak uzdolnionych krajowców, pod-

czas gdy ci, nie znajdując kawałka chleba u siebie, daleko od swoich kątów szukać go muszą".

Z tych dwu tak sprzecznych z sobą zdań, więcéj słuszności zdaje się zawierać głos przemysłowca, gdyby nie był wypowiedziany tak bezwzględnie, gdyby nie zwalał wszystkiego na jedną przyczynę, gdzie ich niewątpliwie istnieje wiele i to różnorodnych. Skargi na zabijającą konkurencyę cudzoziemców, na dawanie pierszeństwa Niemcom jedynie dla ich narodowości, rozbrzmiewają u nas oddawna, i naturalnie trafiają wprost do serca, znajdują łatwo wiarę i oddźwięk, drażnią nabrzmiałą niechęć, przejmują zgrozą i oburzeniem. Jeżeli jednak gorycz sercową zechcemy spokojnie zanalizować beznamiętnym rozsądkiem, to rzecz straci wiele na prawdopodobieństwie.

Łatwo jest zrozumiéć i uwierzyć, że jakiś panicz, któremu w czubku świta, otacza się cudzoziemcami dla szyku i blagi, niemieckiego pastucha robi lokajem, a lokaja angielskiego bierze na rządcę. Jest jednak zupełnie pewném, że przemysłowcom nie chodzi o podobne względy w ponurych wnętrzach ich fabryk. Tego im nikt zaprzeczyć chyba nie zechce, że materyalny interes swój rozumieją i na blichtr cudzoziemskiego szwargotu wziąć się nie dadzą. Gdzie rządzi prawo podaży i popytu, tam ani względy, ani uczucia narodowe doniosłéj roli grać nie mogą, a przecie u nas wielu jest właścicieli krajowców i przeciwko tym głównie ostrze skargi bywa skierowane. Jest téż zupełnie niezrozumiałém, dlaczego by jakiś fabrykant, a szczególniéj Polak, płacił chętniéj drożéj Niemcowi niż równie dobremu majstrowi krajowcowi, kiedy ten ostatni ma stanowczą przewagę, potrafi dokładniéj porozumiéć się z robotnikami i z publicznością, zna miejscowe warunki i potrzeby, wié gdzie czego szukać, gdzie i jak z kim gadać.

Z drugiéj strony istnieją poważne przyczyny, dla których w tym razie bezwzględnie, bez poważnych dowodów polegać nie można na skargach robotników. Nikt z nas spewnością nie spotkał ani krawca, ani szewca, chociażby partacza z Ryczywołu, który by nie uważał, że on potrafi równie poprawnie uszyć tużurek lub skroić buty, jak najlepszy majster warszawski lub paryski. Jestto złudzenie bardzo naturalne i właściwe przyrodzie ludzkiéj, ambicya jak mgła mroczy umysł i nie pozwala na sąd słuszny. Dla tego, gdy jakiś majster ogłasza się za równie biegłego jak jego kolega, bardziéj przez przemysłowca ceniony, to właściwie nie mamy jeszcze żadnego dowodu dla decydowania w téj sprawie. Nie zapominajmy także, iż biegłość fachowa stanowi połowę zaledwie wartości majstra, druga połowa zależy od jego przymiotów moralnych i sumienności, aku-

ratności itd. Nie możemy zaś przypuszczać, aby ogół majstrów Polaków dorównywał pod tym względem ogółowi majstrów Niemców, jeszcze bardziéj Francuzów, a szczególniéj Anglików, kiedy, wogóle biorąc, stoimy niżéj. Kto z nas zresztą nie nawyrzekał się, ile razy zdarzyło mu się miéć do czynienia z majstrem naszym. Nie jest przecie nikomu tajném, że w przemyśle naszym jest więcéj daleko „fuszerki" niż na Zachodzie, wszak dzięki téj fuszerce, a więc niesumienności, wiele wyrobów warszawskich utraciło wziętość na rynkach wschodnich.

To téż skargi na rozmyślne a niepojęte upośledzanie krajowców w przemyśle, o ile zanoszone bywają z wskazaniem na wypadek szczegółowy i spowodują wyjaśnienie, okazują się zwykle niedokładnemi. Świeżo postawiono zarzut znanéj i szanownéj fabryce wyrobów metalowych p. Gostyńskiego, że usunęła dwu Polaków, pracujących przy ambonie do kościoła Wszystkich Świętych, za to, iż żądali podwyższenia swego skromnego wynagrodzenia, a jednocześnie przyjęła dwu Niemców, którym płaci znacznie więcéj. P. Gostyński, powołując się na fakty, dowodzi w liście do redakcyi „Głosu", że o dobro robotników miejscowych dbał zawsze. Ozdobne ślusarstwo, a w szczególności sztuka trajbowania do ostatnich czasów nie miały przedstawicieli wśród robotników krajowych. Niemców uniknąć niepodobna było, ale od nich uczyli się Polacy i z biegiem czasu zastępowali ich miejsca. W ten sposób umiejętność trajbowania posiadł w wysokim stopniu p. Małecki i w niższym p. Burba. Tymi téż dwoma trajberami rozporządzała fabryka w chwili obejmowania robót kościelnych. Po roku, gdy już ambona była na ukończeniu, p. Małecki usunął się wcale nie z powodu nieporozumień o płacę, ale że dostał miejsce majstra w innéj fabryce. P. Burba rzeczywiście wyszedł z fabryki z powodu wyższych żądań, ale w żadnym razie roboty koło ambony nie byłby wstanie wykończyć, to téż zajęty był jedynie innemi mniejszemi robotami. Fabryka została bez trajbera, pomieszczono trzykrotne ogłoszenia w trzech najpopularniejszych pismach codziennych, ale nikt się nie zgłosił. Nie było rady, musiano uciec się do Niemca, któremu za warunek położono, aby pracując, uczył tutejszych robotników, dodano mu téż zaraz do pomocy zdolniejszych uczniów Polaków.

Wypadek ten świadczy dobitnie, w jak trudnych warunkach znajduje się przemysł nasz z powodu braku sił. Wciąż trapi nas sprzeczność dwustronnie fatalna: ludzie mrą z głodu, poszukując pracy, a jednocześnie nie ma kto pracować. Młodzież zamiast zapełniać stojące otworem pola pracy, wyciera przedpokoje protektorów, marząc o posadach. Jest prawie pewném, że wszyscy lub przynajmniéj wię-

kszość ślusarzów w fabryce p. Gostyńskiego uważa się za pokrzywdzonych, będąc przekonana, iż wcale bez nauki trajbowania, potrafiłaby zrobić tak samo jak ów drogopłatny Niemiec. My zawsze uważamy się za zdolnych od urodzenia do wszystkiego.

Ponieważ mowa o szkołach i o fabrykach, więc potrącę tu o jednę jeszcze kwestyą, która nie jest związana z żadnym miesiącem, ani nawet z żadną porą roku, która nie jest przypadkiem lecz trwa nieustannie. Od lat kilku obowiązują u nas i surowo podobno bywają przestrzegane przepisy, wzbraniające zatrudniania dzieci w fabrykach. Przepisy takie na zachodzie znane są oddawna i wydały rezultaty pożądane. Nad szkodą, jaką ponosi młody organizm wskutek nadmiernéj pracy, rozwodzić się nie warto, wszyscy o niéj dobrze wiedzą. To téż przepisy fabryczne powitane były z gorącą radością, co stanowi bardzo pomyślny objaw uczuć humanitarnych i popędów szlachetnych. Ile razy jednak idę po ulicach Warszawy, zawsze napada mnie wątpliwość, czy rzeczywiście zakazy co do pracy małoletnich dadzą u nas te same rezultaty, co gdzieindziéj i jakich spodziewali się prawodawcy. Gdzieindziéj inne są warunki, usuniętych z fabryki malców przygarnia szkoła. Nie trzeba chodzić nad Wisłę, gdzie jest matecznik zepsucia, zkąd zaraza w postaci skończonych zbrodniarzy rozpełza się po całém mieście, a może i po całym kraju—na każdéj ulicy w Warszawie, o każdéj godzinie widzi się dziesiątki niedorostków i wyrostków, zajętych psiemi figlami i uczących się wszelkiego szelmostwa. A dzieje się to nietylko na zaułkach. Po Saskim Placu nawet włóczą się oberwańcy, najwyraźniéj czyhający na portmonetki i chustki przechodniów, szykanujący ich w razie niepowodzenia, a skracający sobie czas bójkami. Wyjeżdżam na pierwszą lepszą stacyę i opada mnie zgraja chłopaków od 10—15 lat, żebrzących o otrzymanie tłomoczka do zaniesienia. Pod wsiami i miasteczkami łobuzy ćwiczą się w zasmolone i nieznanego dziś typu karty, tak samo jak pod szychtami w Warszawie. Mimowoli nasuwa się wtedy pytanie: czy, wybierając z dwojga złego, nie lepiéj byłoby trzymać małoletnich w fabrykach, niż pozwolać na wolności bez żadnéj kontroli i opieki rozrastać się fatalnemu chwastowi zwyrodnienia obyczajowego? Tu grozi kalectwo moralne, tam fizyczne, ale jednocześnie z tém ostatniém ma miejsce wdrażanie się do pracy, ładu i porządku.

Dziwna rzecz, społeczeństwo, społeczeństwa wogóle okazują zwykle większą pieczołowitość dla odpadków, dla minusów, niż dla tych części młodego pokolenia, które zdrowemi sokami zasilić winny przyszłość. Większa czujność przewidywania oszczędziłaby może mozołów niewdzięcznych przy tępieniu skutków złego, gdzie

osiągnięcie celu jest więcéj niż wątpliwe. Mamy przytułki dla przestępców, schronienia dla prostytutek, dla kalek, opiekę nad zwierzętami, dbamy, aby pensyonarze dobroczynności publicznéj nie doznawali braku żadnego, jakby to były perły szacowne; a jednocześnie na oczach naszych marnieją się, psują i gniją dziesiątki natur zdrowych, wśród których kryje się zarodek na niejednego może dzielnego obywatela. Postępowanie takie odpowiada zupełnie przypowieści biblijnéj, która każe dla jednéj zbłąkanéj owieczki opuszczać stado całe; jest ono może sympatyczne i pocieszające z wielu względów moralnych, ale praktyczne rezultaty daje niewątpliwie ujemne. Gruszkę w ogrodzie hodujemy, aby nie zdziczała, a naturę ludzką, podatną na wszelkie wpływy, pozostawiamy na igraszkę losów.

Odmienne rezultaty pożądanych instytucyj w różnych krajach trują mi nieco radość z powodu nowo ustanowionych kas oszczędności przy biurach pocztowych i telegraficznych. Tu przynajmniéj jest ten szczęśliwy wypadek, że kasy takie złych skutków pociągać nie mogą. Nie będziemy tu powtarzać ustawy—mieli ją czytelnicy w pismach codziennych; nie będziemy również wyszukiwać, ani powtarzać uwag krytycznych, o każdéj rzeczy mogą być zdania różne, żadna od wad wolną nie jest, natura każdéj pozwala na reformy, rozwój i doskonalenie się. Najważniejszém zagadnieniem jest, czy ludność korzystać z nich zechce w należytym stopniu? I pod tym względem niepodobna niestety oddawać się zbyt różowym marzeniom. Umiejętność oszczędzania wymaga przyzwyczajenia i wprawy. We Francyi, gdzie dziś oszczędność najbardziéj może jest rozwiniętą, długo i mozolnie wpychano ogół na ścieżkę, prowadzącą do kasy. Z masą prawie zawsze naśladować trzeba legendę o kartoflach, to jest zwabiać ją jakąś sztuczką.

Ponieważ ustawa nowa pozwala zakładać kasy oszczędności przy fabrykach, a na ludność robotniczą łatwiéj jest wywiérać wpływ, skłaniać a nawet zmuszać do pewnych pożytecznych zwyczajów, więc przedsiębiorcy powinni wziąć sprawę do serca i nie odkładać jéj na lepsze czasy. Gdy dobre skutki występować poczną, zmysł oszczędności sam przez się rozwijać się będzie. Dotąd niestety o kasach bardzo nie pamiętamy. Przedsionki ich nie roją się tłumami, a przedstawicieli pewnych klas niezamożnych przydybać tam wcale niepodobna. Jestem przekonany, że wielu ludzi wstydziłoby się spotkać ze znajomymi przy kasie oszczędności.

* * *

Mam czytelnikom do zakomunikowania bardzo — wedle mego zdania—pomyślną wiadomość literacką. Dziennikarze nasi, szczególniéj młodzi i mający pretensye do naukowego przodowania narodowi, a za nimi wydawcy trapieni są słabością czy manią, którą nazwałbym, niekoniecznie zresztą gramatycznie, „najnowsze wyniki wiedzy". Kto nigdy nad tém nie zastanawiał się i nie bolał, ten nie może od razu domyślić się o ile mania powyższa jest szkodliwa. Porównać ją można do pogoni galanternika za coraz to nowymi figlami w budowie portmonetek i ramek do fotografii, do usiłowań dandysa posiadania wciąż nowego kroju i nowéj barwy na inekspryrnablach. Tylko, gdy chodzi o wiedzę, skutki są inne. Zdobycze myśli idą niezmiernie wolnym krokiem, szczęśliwie, jeśli lata i dziesiątki lat poszukiwań mozolnych są w stanie jedną kroplę wsączyć do skarbnicy. Dzieła prawdziwie wielkie, reformujące pojęcia, zjawiają się bardzo, bardzo rzadko. W roku 1883 słyszałem z katedry uniwersyteckiéj z ust Karola Vogta, że biologia od czasu Darwina stoi wciąż w miejscu, nie dodano istotnego nic, a próby rozwijania jéj były przeważnie błędnemi zboczeniami. Przypuszczam, że Vogt powtórzyłby dziś zdanie swoje z równym naciskiem; prawdopodobnie wiele lat jeszcze biologia czekać będzie, aż zjawi się nowy gieniusz, który stopić potrafi w organiczną całość olbrzymi materyał, nagromadzony przez mrówczą pracę pokoleń. Ale koło mrowiska nauki kręci się zawsze wiele koników polnych, wesołych braci literatów, którym koncept jeden wystarcza do stworzenia naukowéj teoryi, których działa opiérają się raczéj na twórczéj fantazyi niż na danych nauki. Najbardziéj może klasycznym typem takiego konika polnego jest Kamil Flammarion, bardzo i w naszym kraju popularny. Niektóre dzieła jego mają całkowicie i pozory i reputacyą naukowości, a tymczasem są to poprostu pomysły literackie, w pewnéj części wprost szkodliwe, gdyż fałszują naukę. Oczywiście, wytwory konceptu, wobec poważnéj pracy umiejętności, wyglądają jak złocone łupiny przy szarém ziarnie orzecha, wabią niedoświadczonych i bałamucą. Dzięki téj manii „najnowsze wyniki wiedzy", myśl czytelników naszych skacze po różnych oryginalnych dziwactwach, a z prawdziwą pracą nauki spotyka się rzadko zaledwie. Niejako zatraca się pojęcie samo, co jest dowodzenie poważne, co metoda ścisła. Umysły czytelników obcują przeważnie z dowcipnymi koncepcistami, zamiast przestawać z wielkimi myślicielami, jedynymi prawowitymi mistrzami. Ile razy „Kasa Mianowskiego" wyda dzieło, którego wartość zwycięsko przeszła przez próbę czasu, powstają krzyki, mające za jedyną podstawę argument: to takie stare, tyle jest „najnowszych wyników

wiedzy", bezwzlędu na to, czy na umysły nasze nie wpłynie dobroczynnie przepędzenie kilku godzin z Platonem, Descartesem lub Hypokratesem. Mania, o któréj mowa, jest powszechna, szerzy się ona między poważnymi Anglikami i flegmatycznymi Niemcami, to téż wśród obu tych narodów powstają projekty ułożenia i polecenia publiczności stałéj biblioteki, złożonéj ze 100 dzieł, czytanie których chroniłoby od stykania się z tandetą.

Wskutek takiego widzenia rzeczy ucieszyłem się bardzo, przeczytawszy, że „Prawda" jako dodatek kwartalny wydaje „Historyę Rewolucyi" Mignet'a. Ze względu na wielką ilość autorów bardzo silnie dotkniętych manią „najnowszych wyników" i lubujących się w zadziwianiu publiczności konceptami lekkozbrojnych historyków, socyologów i. t. d., bardzo szczęśliwy to objaw, że redakcya, wybierając dzieło do przetłómaczenia, nie szukała go wśród utworów, wyszłych wczoraj z pod prasy. Nie wiem dokładnie, kiedy Mignet dzieło swoje napisał, zawsze jednak liczy ono już zapewne pół wieku, a może i więcéj, jest zaś rzeczywiście znakomite, zarówno pod względem treści, jak i formy. Lepszego wyboru zrobić nie podobna było. Dziwić się tylko należy, iż tak długo na przekład téj niepospolitéj książki musieliśmy czekać.

W ostatnich tygodniach piśmiennictwo nasze zbogaciło się dwoma nowemi metodami: „Łatwą metodą gruntownego nauczenia się w krótkim czasie języka angielskiego", oraz „Nąjnowszą i najpraktyczniejszą metodą języka niemieckiego".

Ponieważ na przyszłéj wystawie paryskiéj umysł ludzki będzie musiał bardzo pracować, aby coś nowego wyszukać, mam więc nadzieję, że zostaną tam okazani światu ludzie, którzy się nauczyli jakiegoś języka z metody. Najprzód zajmie to niewiele miejsca, bo wątpię, aby liczba tych szczęśliwców na obu półkulach ziemi przeszła liczbę dziesięciu, a powtóre będą to okazy ze wszech miar godne widzenia; będzie im można polecić przebiéranie maku palcami, lub wykonanie innéj jakiéj roboty, wymagającéj bezmiaru cierpliwości. A jednak liczba metod mnoży się przedziwnie, niektóre staną może do konkurencyi z liczbą wydań dzieł p. Ćwierczakiewiczowéj, a są tak dobrym interesem wydawniczym, że je ojciec dzieciom zostawia, jako obfite źródło dochodów. Przyczyna tego widoczna: każdego człowieka nauka języka męczy, probuje więc wszelkich środków, kupuje jednę metodę i drugą, aby się w końcu nauczyć cudzoziemszczyzny zupełnie innym sposobem. Co do mnie, znałem jednego tylko wybrańca, co miał siły przejść całego Ollendorfa. Naturalnie wszystkie metody są albo najlepsze, albo najnowsze, albo najpraktyczniejsze.

O metodzie pierwszéj (p. Bergera) nic powiedzieć nie mogę, pozory ma całkiem przyzwoite, czy zaś jest łatwą i daje gruntowną wiedzę przekonać się nie mogłem, gdyż na przejście jéj brakowało mi nietylko cierpliwości, ale i czasu.

Natomiast nie potrzeba zbytniego zgłębienia, aby dojrzéć, że metoda niemiecka jest bardzo wesołym i ciekawym okazem blagi i reklamy autorskiéj i wydawniczéj. Rozpoczyna się od przedmowy, napisanéj bardzo koślawo i niegramatycznie, gdzie autor we wstępie urąga poprzednikom, oznajmia, że przed nim nie było u nas nic, a na końcu wykazuje, jak wielkie są zasługi wydawców i jego, że dla dobra społecznego podjęli się tak trudnéj i niewdzięcznéj a doniosłéj pracy, jak wydanie najnowszéj i najpraktyczniéjszéj metody. Od lat już kilku za przykładem Sienkiewicza szydzenie w rozmowie potocznéj i w druku z niedorzecznych zdań metod stało się najpopularniejszym konceptem. Niepodobna, żeby ktoś tego nie słyszał, niepodobna, żeby nie uznał słuszności powszechnego śmiéchu; można więc było przypuszczać, że konie sąsiadów, pożerające guziki i materace przyjaciół, pozostaną już na zawsze wspomnieniem przeszłości. Gdzie tam; metoda, któréj autor i wydawca mają pretensyę do uznania ogółu, widocznie starają się pod tym względem naśladować Ollendorfa. Obok tego przykro razi nieznajomość języka polskiego (dzwoni się nie na kogoś, lecz komuś. Lek. 21). Niedbalstwo gramatyczne wielkie, przymiotniki nie zgadzają się z rzeczownikami, podmiotowi w liczbie mnogiéj odpowiada orzeczenie w liczbie pojedyńczéj (np. str. 12) i t. d. i t. d.

Do najnowszéj i najpraktyczniejszéj metody dodany jest słownik niemiecko-polski, o którym wydawca powiada, że z pewnością zyska sobie uznanie ogółu. Tymczasem o metodzie i słowniku powiedzieć można, że wart Pac pałaca. Ułożony on jest, jak słówka w książkach szkolnych, każdemu słowu polskiemu odpowiada jedno lub dwa niemieckie, o przytoczeniu jakichś zdań, któreby wyjaśniły użycie wyrazów, mowy nie ma. Co więcéj znaléść tu można słowa wcale w języku naszym nie znane. Biorę piérwszą kartkę, na któréj znajdują się str. 1 i 16, i odrazu wpada mi w oczy: *Biegas*, *Biegasowy* (znaczy *zu Fuss*), *Biegę*, *Biegiwać* i t. d. Odwracam kartkę, tu znowu: *Bezuszczerbny*, *Bezwlenna* (znaczy *ohne Mahlschatz*), *Austernik* i t. d. i t. d.

Licha książka nie jest osobliwością, nie wartoby więc było zaprzątać niczyjéj uwagi „najlepszą metodą“, gdyby nie była ona skąd inąd objawem ciekawym, niemal charakterystycznym. Metod jest dużo, wydania nie są wyczerpane. Zdawałoby się więc, że nowy konkurent powinien postarać się w swém dziele o jakieś

cenne, wyróżniające przymioty. Gdzie tam! daje tylko większą tandetę. Wyda się nie wiele, a zawsze za pomocą reklamy i natrętnego kolporterstwa, wciśnie się ludziom sporo egzemplarzy. To jest znamię wielu gałęzi naszego przemysłu. Pomimo kilku poważnych firm, księgarstwo nasze zawsze miało wielu tandeciarzy, a z biegiem czasu — i to jest najsmutniejsze—liczba ich nie maleje, lecz wzrasta. *Lus.*

P. S. Do skończonéj już kroniki musimy dorzucić jeszcze kilka słów żalu i boleści z powodu śmierci zasłużonego człowieka. W ostatnim dniu ubiegłego miesiąca zgasł Eugieniusz Dziewulski, w sile wieku, bo nie dobiegł lat pięćdziesięciu.

Pomiędzy wybranymi Dziewulski należał do najpierwszych. Krzątał się gorliwie, bo wiedział, że starczyć trzeba za wielu. Pozostały po nim prace naukowe, nie pierwszorzędnéj może doniosłości, ale świadczące o głębości umysłu, o poważném stosunku do wiedzy, o czujném obserwowaniu jéj postępów, o wytrwałości i sumienności. Szczególniéj zasługują na pamięć mozolne i prowadzone bardzo umiejętnie badania jezior tatrzańskich. Rezultaty téj pracy znaleść można w tomach „Pamiętnika Fizyograficznego". Spotkała go za to nagroda, jaka na jego ziemi rodzinnéj spotyka często cichych a rzetelnych pracowników, przekładających istotną korzyść, nad błyskotki taniéj popularności: ogół o prawach i zasługach jego nie wiedział nic, bo nie czytał, a krytyków urągających nie zabrakło. Urąganie, jak cierń ostry, utkwiło mu głęboko w sercu.

Przez lat 16 zajmował Dziewulski stanowisko asystenta i preparatora przy katedrze fizyki w Szkole Głównéj i w Uniwersytecie. Przez dwa lata także wykładał fizykę studentom medycyny. Wedle zdania znawców był on doskonałym eksperymentatorem, doświadczenia jego znacznie podnosiły wartość wykładów. Korzystał przytém z laboratoryum dla badań czysto naukowych z dziedziny elektryczności i optyki.

Ale działalność naukowa, chociaż ją za wzór pod wieloma względami postawić można, nie stanowi najważniejszéj karty zasług nieboszczyka. Przy prawym charakterze, wielkiém sercu i niepospolitym umyśle, cechowały go jako najwybitniejsze rysy natury: rzutność, energia, przedsiębierczość, wytrwałość. Nie tylko sam chciał i umiał pracować, ale do stworzonych przez siebie ognisk potrafił przyciągać innych, potrafił przekonywać i wlewać w serca zapał własny.

Koledzy i bliżsi współpracownicy Dziewulskiego dadzą nam niewątpliwie szczegółowy obraz jego wielostronnéj działalności. My ograniczyć się musimy na suchém wyliczeniu. Przedewszystkiém zasługą talentu organizacyjnego nieboszczyka jest powstanie

i żywot „Wszechświata“ i „Pamiętnika Fizyograficznego“. A było to niełatwe zadanie.

Rozprzedaż „Pamiętnika“ pokrywała cząstkę tylko niemałych wydatków, „Wszechświat“ przez czas długi się nie opłacał. Walczyć trzeba było z brakiem współpracownictwa, z brakiem pieniędzy, z obojętnością ogółu. Wydawnictwa te były—wedle wyrażenia redakcyi—delikatną latoroślą, którą wyhodować należało w lodowatéj atmosferze, ogrzewać ciepłem własnéj piersi, zapałem własnego uczucia. Dziewulski téż wkładał tam ciepło i energię wielu lat życia swego.

On organizował szeregi odczytów popularnych, związanych pokrewieństwem tematów (o żelazie, o elektryczności). Kto choćby tylko słyszał, ile odczyty takie mają do przełamania trudności materyalnych, technicznych, moralnych i innych, ten ocenić potrafi zasługę, szczere przejęcie się potrzebami ogółu i ofiarność.

On należał do twórców i do najczynniejszych członków „kasy Mianowskiego“. Jego inicyatywa i umiejętność wzięcia się do rzeczy niemało przyczyniła się do urządzenia stacyi meteorologicznych w Warszawie i na prowincyi. On nareszcie rozwinął pożyteczną działalność jako pierwszy inspektor oświetlenia naszego miasta.

Równie ważnym, a wiele jeszcze sympatyczniejszym tytułem do serdecznego wspomnienia i głębokiego żalu była gorliwość Dziewulskiego w niesieniu pomocy każdemu, o kim tylko zasłyszał, że pomocy potrzebuje, a może pożytecznie pracować dla ogółu. Przytoczę tu tylko wypadek ostatni. W tym roku ukończył wydział przyrodniczy tutejszego uniwersytetu p. Józef M. i otrzymał złoty medal za rozprawę. Rozprawę tę, poświęconą badaniom mikroskopowym skał, profesor przesłał d-rowi B., polecając autora. Dziewulski dowiedział się o tém i w téj chwili zajął się młodzieńcem. Rozprawę wziął do „Pamiętnika“, a dla autora wystarał się o zapomogę na wycieczkę naukową. Wreszcie zaprosił go do siebie do Zakopanego, aby i w ten jeszcze sposób umożliwić przedłużenie wycieczki, któréj część poświęconą być miała Tatrom.

Jakiém dobrodziejstwem dla młodzieńca wstępującego w odmęt życia jest ta ręka opieki i pomocy! Jak obowiązywać go będzie na całe życie i przypominać o obowiązkach ta bezinteresowna a serdeczna przychylność nieznajomego człowieka, ofiarowana w imię wspólnych a idealnych celów! Umysły młode pojone nieraz bywają niewiarą w ludzi, wprzód nim poznają, rzucają na społeczeństwo gromy potępienia za samolubstwo, spodziewają się spotkać samą tylko walkę i zawiść. Gdy, zamiast tego, otacza ich życzliwość serdeczna, przepada robota złych duchów. W ten sposób nawiązuje

się nić sympatyczna, która pracę pokoleń łączy w nierozerwalną całość.

Słyszałem powyższą opowieść z ust samego p. M. i widziałem rozrzewnienie młodego serca, wtedy cześć moja dla Dziewulskiego wzrosła jeszcze.

Niestety p. M. nie mógł już w Zakopanem korzystać z gościnności Dziewulskiego, gdyż zastał go na łożu boleści, skazanego na nieuchronną, a rychłą śmierć.

NEKROLOGIA.

† **Ignacy Zakrzewski,** poseł na sejm pruski, zakończył życie dnia 7 sierpnia r. b. w Kissingen. Zmarły przysłużył się nauce historyi przez wydanie czterotomowego „Kodeksu dyplomatycznego wielkopolskiego“, który wyszedł z druku nakładem Biblioteki Kórnickiéj (1877—1881),—a w ostatnich czasach pracował nad wydaniem ważnego dla historyi zatargów Polski z Krzyżakami pomnika „*Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum*“. Zakrzewski pisał téż rozprawy historyczne, dotyczące po większéj części dziejów Wielkopolski, które pomieszczał już to w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego, już w „Zapiskach archeologicznych“.

† **Jadwiga z Jaczewskich hr. Rzewuska**, ur. w r. 1843, zmarła w Wierzchowni, w pow. Skwirskim, 23 lipca r. b. Pod pseudonimem Piotra Leliwy wydała książkę treści genealogicznéj p. n. „Wielka rodzina w wielkim narodzie“ (1879), a następnie „Krzyżem a mieczem“ (1880), „Jan Sobieski i wiek jego“ (1883), wreszcie „Credo“ i „Myśli szlachcica polskiego“.

SPROSTOWANIE.

Omyłki w zeszycie sierpniowym.

Str.	356 w.	6 z g.	*zamiast*	Kończugą	*czytaj:*	Kanczuge
„	„ „	5 z d.	„	famulas	„	famulos
„	357 „	10 z d.	„	cellanti	„	cellandi
„	358 „	21 z g.	„	eilabi	„	ellabi
„	359 „	18 z g.	„	io	„	in

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w Kwartale III-gim 1889 r.

1. **Życie i listy Karola Darwina** oraz Autobiografia autora, wydana przez jego syna, Franciszka Darwina, przełożył *Józef Nusbaum*, Dr. Zoologii (Premium bezpłatne „Przeglądu Tygodniowego"). Zeszyt I (str. 1—72).
2. *H. Spencer*. **Zasady socyologii** (Wydawnictwo Redakcyi „Głosu"). Tomu II-go Zeszyt 2 (str. 113—208).
3. **Jak mówić po polsku**. (Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa). Zeszyt 9 (str. 181—204), zeszyt 10 (str. 205—228), zeszyt 11 (str. 229—252), zeszyt 12 (str. 253—276), zeszyt 13 (str. 277—300), zeszyt 14 (str. 301—324).
4. **Antropologia.** (Dodatek do Prawdy „Kwartał" II — 1889 r.) arkusze 18—24.
5. **Wisła**. Tom III: kwiecień, maj, czerwiec. Warszawa, skład główny w księgarni M. Arcta, 1889, str. 237—478 (z rysunkami).
6. **Pojęcie nauki skarbowej** napisał Dr. *Stanisław Głąbiński*. Sambor, nakł. autora, 1889, 8-o, str. 63.
7. **O systemie fizyokratów** w ekonomice społecznej napisał Dr. *Stanisław Głąbiński*. Sambor, nakł. autora, 1888, 8-o, str. 167.
8. **Baśń nad baśniami** napisał *Wojciech Dzieduszycki*. Lwów, u Gubrynowicza i Schmidta, 1889, 8-o, dwa tomy: I, str. VIII i 340, II, od str. 341 do 685.
9. *Dr. Witold Załęski*. **Zasady ekonomiki**. (Nauki gospodarstwa narodowego). Dzieło wydane z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowém imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa 1889, 8-o.
10. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Zeszyt V, str. 321—400 (Bezrobocie—Bibliografia); zeszyt VI, str. 401—480 (Bibliografia—Brona).
11. **Spadek po metropolicie** suczawskim Doziteuszu i jego losy przez *Maryana Sokołowskiego*. Kraków, 1889, 8-o, str. 68.
12. **Łatwa metoda** gruntowego nauczenia się w krótkim czasie **Języka Angielskiego** z pomocą, lub bez pomocy nauczyciela. (Z wymową w języku polskim przy każdem słowie) ułożył *H. Berger* nauczyciel języka angielskiego. Warszawa, nakład autora, skład w księg. Paprockiego i S-ki, 1889, 8-o, str. III, 382 i IV.
13. *Wita Korczewskiego*. **Rozmowy polskie** łacińskim językiem przeplatane. 1553. Wydał *Jan Karłowicz*. Kraków 1889, 8-o, str. VI i 87.
14. **Fortuny i cnoty różność** w historyi o niektórym młodzieńcu ukazana. 1524. Wydał *Stanisław Ptaszycki*. Kraków, 1889, 8-o, kart nlb. dwie i stron 27.
15. **Siły przyrody**. Popularny wykład fizyki i główniejszych jej zastosowań. Podług dzieła A. Guillemina „Le monde physique" opracowali *Józefowa Nusbaum* i *Henryk Silberstein* Warsz. nakł. H. Olawskiego, 1889, 8-o, zeszyty 4 i 5 (str. 97—160).
16. *K. Waliszewski*. **Polsko-francuzkie stosunki** w XVII wieku, 1644—1667. Kraków, 1889, 4-o, str. VII i 335.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1889, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава. 23 Августа 1889. г.